

Zygmunt Sztaba

nie pij dżinu bosmanie



Zygmunt Sztaba

Nie pij dżinu, bosmanie

Pojezierze, Olsztyn 1975

Rozdział I

Dwukołowy wózek zachybotał się niebezpiecznie na wyrwie w asfalcie, ale Michał w porę przytrzymał najwyżej umieszczony transporter z ostatnią na ten dzień butelką mleka.

Pochylił niżej dyszel - koła wtoczyły się na chodnik i dalej w szeroko otwartą, niską bramkę, której jedna połowa, jak zwykle, wisiała żałośnie na zardzewiałym zawiasie.

Żwirowa dróżka obsadzona była równo przyciętym, niskim żywopłotem. Po lewej stronie zielenił się gęsty maliniak, po prawej - na wyrudziałej w słońcu trawie - stała niewielka altanka z ażurowymi ścianami z listewek. Od słonecznej strony ocieniała ją rozłożysta akacja.

Michał podjechał pod pierwszy schodek przed wejściowymi drzwiami, wyjął z transportera butelkę, lecz nie postawił jej od razu na ganku; obszedł dom i zajrzał w pierwsze okno za narożnikiem.

- Nie śpi! - ucieszył się.

W oknie, w obramowaniu zsuniętych na boki barwnych zasłonek wisiała dziwaczna klatka. Siedziała w niej wielka, purpurowo-błękitna papuga z białym czubem na łbie. A klatka była istotnie dziwaczna: zbudowana w kształcie mauretańskiego pałacu miała wiele ganeczków, krużganków i wieżyczek, a najwyższą z nich, sięgającą karnisza, zdobił pozłacany półksiężyc.

- Nie śpi - powtórzył ciszej chłopiec, to stwierdzenie nie odnosiło się do papugi, lecz do jej właściciela.

Błażej Kiernicki - od kilkunastu już lat emerytowany bosman Polskiej Marynarki Wojennej, który służbę na morzu zaczynał w carskiej Flocie Czarnomorskiej - wśród wielu marynarskich nawyków zachował również zwyczaj wczesnego wstawania. Budził się między piątą a szóstą, wypijał przygotowane wieczorem mleko z miodem i odstawiając szklankę, sięgał po fajkę. Wprawdzie palenie w łóżku, to rzecz brzydka, bosman jednak mógł sobie na to pozwolić - mieszkał sam i nie było nikogo, kto mógłby go strofować. Później rozsuwał w oknie firanki, zdejmował z klatki jedwabny, turecki szal, co rozbudzona papuga kwitowała różnym: „Cześć, stary byku!” i na powrót kładł się do łóżka. Ale już nie zasypiał - czytał.

Miał dwóch ulubionych pisarzy: Conrada i Londona. Posiadał też pełne wydanie ich dzieł. A że jedna książka starczała mu przeciętnie na trzy dni, jeśli zaczynał, powiedzmy, od Londonowskiej „Przygody”, a kończył drugi cykl „Lordem Jimem” Conrada, do tej pierwszej wracał mniej więcej po pół roku.

Bosman miał dwóch ulubionych pisarzy, a jego papuga Fela, w swoim niezbyt zresztą urozmaiconym słowniku, dwa ulubione zwroty: „Cześć, stary byku” i „Nie pij dżinu, bosmanie”.

Pierwszy zapożyczyła od przyjaciela bosmana - cieśli okrętowego, Walerego Kępki.

Cieśla, zachodząc tradycyjnie co wieczór do bosmańskiej kajuty na partyjkę tysiąca i szklaneczkę dżinu, witał nieodmiennie starego kumpla rubasznym „Cześć, stary byku”.

Papuga podchwyciła to i używała tego zwrotu w okolicznościach nierzadko całkiem niestosownych.

Zdarzyło się więc, że krążownik, na którym służył bosman, stał któregoś dnia na redzie portu w Odessie. Kiernicki siedział na koi w swojej kajucie, a na pokład wszedł wiceadmirał, dowódca Floty. Była to jedna z licznych i nie zapowiedzianych inspekcji, jego ekscelencja wiceadmirał bowiem uwielbiał niespodzianki i zaskakujące sytuacje.

I tym razem było tak, jak to lubił dowódca Floty.

Drzwi kajuty szarpnięte gwałtownie otworzyły się na całą szerokość i stanął w nich w pełni swojej admirałskiej wspaniałości pierwszy przed wszystkimi pierwszymi po Bogu na całym Morzu Czarnym. Za jego plecami tłoczyła się kilkuosobowa świta, a ponad nią, jak tarcza słonecznika nad sztachetami w płocie, kołysała się w niemym oburzeniu jajowata głowa komandora, dowódcy krążownika. Dla ścisłości należy dodać, że choć podobieństwo komandorskiej twarzy do słonecznika podkreślały dzioby po ospie, tło przypominało raczej czerwony zachód słońca.

- Myślałem, że starego krew zaleje - wspominał później bosman, który na odgłos otwieranych energicznie drzwi oderwał się od pożytecznej czynności, jaką było obcinanie ostrym, marynarskim nożem mocno wyrośniętych paznokci u nóg. Ujrzał nabiegłą krwią twarz komandora.

Zaskoczenie bosmana to jednak nic w porównaniu zaskoczeniem lubiącego niespodzianki wiceadmirała.

Ledwie stanął na progu, z głębi kajuty powitał go okrzyk:

- Cześć, stary byku!

Nie wasza ekscelencjo, nawet nie panie admirale, ale po prostu i serdecznie - stary byku!

Na szczęście okrzyk został wzniesiony po polsku i wiceadmirał, choć znał dobrze ten język, postąpił bardzo rozsądnie udając, że nie zrozumiał. A że na papudze nie mógł się zemścić, zrobił to na bosmanie, skazując go na dwa tygodnie paki za używanie służbowego noża do... brudnych celów. Paznokcie bosmana istotnie nie były wypielęgnowane.

Tyle o pierwszym zwrocie z papuziego repertuaru. Drugi...nie, o tym drugim niech najlepiej powie Michałowi sam bosman. Michał postawił właśnie butelkę przed drzwiami i zgodnie z umową nacisnął dzwonek na znak, że mleko już przyniesiono. Czekał, aż bosman przyczłapie, aby otworzyć.

Najpierw jednak kilka słów o ich znajomości i przyjaźni, bo tak bez przesady można nazwać uczucie łączące posiwiąłego w sztormach i wichrach morskiego wilka z lądowym szczurem, na dodatek młodszym o kilkadziesiąt lat. Tyle, że Michał nie był ot takim sobie zwykłym lądowym szczurem, a jeżeli już, to przynajmniej wodnym.

Zaczęło się to po tygodniu od objęcia przez Michała funkcji roznosiciela mleka. Przed nim robiła to tęga kobieta, która sobie dorabiała w ten sposób do zarobków w fabryce, ale wyszła za męża i przeniosła się do innego miasta. Michał dowiedział się o tym w sklepie, gdzie sam kupował mleko. Pomyślał, że u nich w domu przydałby się również dodatkowy zarobek; było ich dwoje, matka-wdowa pracowała jako sprzątaczką w Instytucie, Michał zdawał wtedy do ósmej klasy.

Matka w pierwszej chwili nie chciała o niczym słyszeć.

- Nie dasz rady - stwierdziła, ostrym tonem maskując wzruszenie. - Pewnie, że przydałoby się trochę pieniędzy, ale nie opłaci się skórka za wyprawkę. Zarobisz na mleku - stracisz na nauce. Pomyślałeś o tym, że o piątej rano musisz już być na nogach?

- To będę - odpowiedział stanowczo. - Wiesz, że w ogóle lubię wcześniej wstawać.

- O piątej nie wstajesz. Co ja mówię, gdybyś, poważnie o tym myślał...

- Kiedy ja poważnie. Chciałaś powiedzieć, że musiałbym wstać o wpół do piątej, aby o piątej zacząć roznosić, tak?

- No więc widzisz...

- To będę wstawał o wpół do piątej i będę się kładł wcześniej.

Postawił na swoim. Kładł się punktualnie o ósmej od razu zasypiał. Budził się bez zegarka punktualnie o wpół do piątej. Wstawał wyspany i rześki; przed szóstą mleko było już rozniesione, a Michał miał jeszcze prawie dwie godziny dla siebie na śniadanie, na powtórzenie zadanych lekcji, przejrzenie gazety.

W tydzień po podjęciu pracy spotkał bosmana. Postawił wtedy butelkę przed jego drzwiami i gdy już schodził ze schodków, usłyszał za sobą tubalny głos:

- A cóż to, zmiana wachty? To teraz ty zamustrowałeś na ten frachtowiec?...

Szybko obejrzał się. Na ostatnim schodku stał potężnie zbudowany, łysy mężczyzna z czerwoną twarzą w obramowaniu siwych bokobrodów. Uśmiechał się przyjaźnie i fajką z długim cybuchem wskazywał na Michałowy wózek z butelkami. Chłopcu mocniej zabiło

serce. Ten marynarski słownik, bokobrody, fajka... Tak właśnie powinien wyglądać prawdziwy wilk morski. Był przekonany, że tylko morze mogło wyrzucić tego łysego olbrzyma na spokojną mieliznę zoliborskiej uliczki.

- Zgadł pan, bosmanie! - roześmiał się zuchowato, maskując tym śmiechem wzruszenie i zmieszanie.

- Zaraz, zaraz - zdziwił się łyśy - a skąd ty, chłopcze...

Michał ucieszył się, trafił w dziesiątkę.

- Skąd wiem, że pan jest bosmanem? A tak sobie powiedziałem - mówił prędko bojąc się, aby tamten nie odszedł. - Od razu poznałem, że z morza. A bosman, to dla mnie ładniej niż kapitan. Kapitan może być i w wojsku, i w drużynie piłkarskiej...

- I w straży pożarnej - odpowiedział zadowolony olbrzym.

- Właśnie. I w straży pożarnej... A bosman tylko na morzu.

- No to chodź tu bliżej - bosman kiwnął na niego fajką. - Lubię takich rezolutnych chłopaków jak ty. Pamiętam, jak kiedyś w Stambule... I co tak sterczysz jak majtek na oku - wrzasnął zniecierpliwiony i Michał w paru susach znalazł się na ganku.

- Wejdz, proszę... - olbrzym usunął się na bok wpuszczając go do mieszkania.

- Ale ja tylko na chwilę - zastrzegł się chłopak. - Widzi pan, że mój frachtowiec czeka jeszcze na rozładowanie...

- Widzę, widzę, włącz - położył mu rękę na ramieniu i lekko popchnął do środka. - Mam coś dla ciebie za tego bosmana - dodał wchodząc z Michałem do mieszkania.

Już przedpokój nie wyglądał jak zwykle przedpokoje w zwykłych M-ileś tam. Ściany były obwieszane rybackimi sieciami, na wprost drzwi do wchodzących szczyrzyła zęby murzyńska, obrzędowa maska pomalowana w czerwone i granatowe pasy, spod sufitu zwisała stara, zaśniedziała lampa rufowa, a stojak na parasole zajmowała, wbrew jego przeznaczeniu, okazała kolekcja wędek. Ale dopiero pokój, do którego wprowadził go bosman, przyprawił Michała o zawrót głowy. Było to prawdziwe, choć miniaturowe, muzeum morskie.

- O, „Dar Pomorza” - ucieszył się, rozpoznając wśród wielu modeli piękną sylwetkę naszego szkoleniowego żaglowca.

- I na tej łajbie też się pływało - zahuczał gospodarz z wyraźną dumą w głosie. - Między wojnami - dodał. - Dobry statek. Kapitana też miał dobrego...

- A pan tam był także bosmanem?

- A jak by inaczej? - zdziwił się łyśy.

- To pan się nazywa Kiernicki! - wykrzyknął triumfująco Michał. - Bosman Błażej Kiernicki!

- Patrzcie, patrzcie - bosman pokręcił głową. - Nawet nie wiedziałem, że taki sławny.

A ty gdzieś słyszał o mnie?

- Nie słyszałem, czytałem.

- Jeszcze lepiej. Pewnie w „Rejsie przez siedem sztormów”.

- Mam tę książkę w domu. Prawie na pamięć ją znam - gorączkował się Michał. - Na przykład taki fragment: „Z Liverpoolu wyszliśmy o świcie. Nikt z nas nie przypuszczał, że przyjdzie nam tego dnia przeżyć naszą największą przygodę w tym rejsie...”

- Możesz dalej nie mówić. Ja też to znam na pamięć - zaśmiał się bosman mile zaskoczony entuzjazmem chłopca. Wiedział już, że to przypadkowe spotkanie przerodzi się w przyjaźń. - Przysiądź sobie o tam - ruchem głowy wskazał na wygodny fotel w rogu - a ja coś dla ciebie poszukam...

- Ale ja tylko na chwilę - przypomniał Michał.

- Wiem, wiem - przytaknął bosman nachylony nad dolną szufladą pękatej komody. - Musisz dokończyć rozładunku frachtowca...

Michał czekał więc cierpliwie, aż bosman skończy gmerać w szufladzie i nie trzeba chyba dodawać, że czas mu się nie dłużył, w którą stronę obrócił głowę, wszędzie widział coś ciekawego. Ot, choćby i ta mapa na honorowym, centralnym miejscu, naprzeciw drzwi. Niby mapa jak inna, a przecież nie zwyczajna. Z daleka zauważył na niej okręty i jakieś malowanki po bokach, a w dolnym, prawym rogu ozdobny napis wkomponowany w laurkową ramkę.

- Ma pewnie ze sto lat... - wyszeptał nabożnie Michał.

- Kto? - bosman odwrócił się od komody.

- Ta mapa...

- Sto, powiadasz? A dodaj jeszcze ze dwieście. Za tę mapę, mój chłopcze - sapnął pochylony znowu nad szufladą - pewien antykwariusz w Londynie dawał mi dwieście pięćdziesiąt funtów! W trzydziestym drugim roku. Wyobrażasz sobie, co to była wtedy za forsa!

Wprawdzie Michał nie wyobrażał sobie, ale gorliwie przytaknął.

- Od razu pomyślałem, że bardzo cenna - powiedział uroczyście. - Wystarczy na nią spojrzeć...

- No to patrz i nie przeszkadzaj. Do stu garbatych rekinów! - warknął, zatrzasnąwszy szufladę i odsuwając drugą, górną. - To tak zawsze, jak chcesz coś prędko znaleźć.

- Ma pan rację - zgodził się Michał. - Ja kiedyś w trolejbusie przez dziesięć minut szukałem biletu. A kontroler stał i czekał.

- I co? Znalazłeś?

- Pewnie. Ale już w domu, bo to był miesięczny. A dlaczego powiedział pan - do stu garbatych rekinów. Widział pan może garbatego rekina?

- Po pierwsze - bosman nie przerywał szukania - nie powiedziałem, a zakląłem. To zasadnicza różnica. A po drugie - już zwykły rekin jest dość odrażający, a co dopiero garbaty. Rozumiesz?

- Rozumiem. To żeby było okropniej i dziwniej. Ja bym jeszcze mocniej powiedział...

- Chłopcom nie wolno kląć - bosman wyprostował się wreszcie. - Ale powiedzieć możesz. To jak byś powiedział?

- Do stu garbatych i łysie... - Michał urwał i poczerwieniał. - Ja... ja przepraszam...

- Za co? Czy to twoja wina, że wyłysiałem na starość. A wiesz, że to niezłe. Do stu garbatych i łysiejących rekinów! - ryknął tak głośno, że w zasłoniętej dotąd klatce zawieszanej w oknie zatrzepotały nagle skrzydła i w sekundę później dobiegł stamtąd równie głośny, tyle że skrzekliwy głos: - Cześć, stary byku!

- Co... co to było? - spłoszył się Michał.

- Fela. Trochę mi wczoraj słabowała, chciałem jej dać dłużej pospać. Normalnie to się budzi dopiero, jak zdejmę szal z klatki... - Podeszedł do okna, jednym szarpnięciem ściągnął barwną tkaninę. W głębi mauretańskiej budowli niespodziewanie zaśniła jaskrawą czerwienią i błękitem wspaniała papuga. Była najwyraźniej zdenerwowana, bo jej białe czub na łbie podrygiwał w gwałtownych skrętach głowy.

- Cześć, stary byku! - powtórzyła histerycznie.

- Już dobrze, dobrze - uspokajał ją nieco zmieszany gospodarz. - Cześć, stara pokrako!

- Pokraka, pokraka! Sam jesteś pokraka! - odcięła się papuga, a Michał aż się zatoczył ze śmiechu, nie potrafił się powstrzymać. Bosman uśmiechnął się kwaśno.

- Aha! - przypomniał sobie zadowolony, że ma okazję wybrnąć z kłopotliwej sytuacji.

- Znalazłem. To dla ciebie - podsunął Michałowi pod nos rozprostowaną wielką dłoń.

Chłopiec pochylił się z zaciekawiony.

Na dłoni błyszczała niewielka, żółta blaszka z misternym ornamentem. Była na niej wyryta sylwetka dwumasztowego brygu z rozwiniętymi żaglami, a poniżej dwie ręce splecione w uścisku i jeszcze jakiś mocno zatarty napis, którego nie potrafił odczytać.

- Dla mnie? - upewnił się.

- Po polsku mówię, nie? - bosman podał mu blaszkę. - Nie pytasz czy ze złota - powiedział przysuwając sobie drugi fotel.

- A czy to ważne z czego?

- Pewnie, że nieważne - potwierdził Kiernicki - ale ze złota. Gdyby nawet była z miedzi albo i ze zwykłej blachy, takiej co to wiesz, robi się z niej puszki do konserw, byłaby tyle samo warta. - Rozsiadł się wygodniej, z kieszeni domowej, sztruksowej kurtki wyjął fajkę, kapciuch z tytoniem. - Pływało nas wtedy dziesięciu na krążowniku „Bystry”. Dziesięciu Polaków z jednej guberni - radomskiej. Prędko się skumaliśmy. Wiesz, jak to jest - zapalił fajkę. - No i co kiwasz głową - zamruczał, wypuszczając kłąb dymu. - Pewnie, że nie wiesz.

No bo skąd mógłbyś wiedzieć? U ciebie na pokładzie... w klasie - poprawił się. - U ciebie w klasie sami swoi. A tam, ludzi kilka setek i dziesiątka swojaków. A był taki jeden, najmłodszy z nas, ale i najmądrzejszy. Na lekarza miał się uczyć, tyle że mu nie wyszło. To kiedyś powiada: podajmy sobie łapy, że jeden za drugiego i dla drugiego - wszystko, nawet życie.

No i podaliśmy sobie.

- To dlatego te ręce na dole znaczka - domyślił się Michał.

- Dlatego. Ale nie przeszkadzaj. Do znaczka zaraz dojdę. Temu, o którym mówię, Michał było...

- Mnie też! - ucieszył się Michał.

Bosman uśmiechnął się serdecznie. - Więc ten mój Michał powiada, że na tym nie koniec. Może się zdarzyć, że któryś z nas będzie potrzebował pomocy, że będzie musiał wysłać kogoś po tę pomoc. W dawnych czasach takim znakiem rozpoznawczym był pierścień. Dawano pierścień posłańcowi, żeby było wiadomo, od kogo przychodzi...

- Wy nie mogliście nosić pierścieni - wyrwał się Michał.

- Niby dlaczego?

- Bo takie jednakowe pierścienie mogłyby podpaść. Mogliby pomyśleć, że to jakieś sprzysiężenie. Na przykład przeciw carowi.

- Mądry to ty jesteś - pochwalił bosman. - Malańka blaszka była bezpieczniejsza.

Staliśmy wtedy w Singapurze, chiński złotnik zrobił nam te odznaki. Pokaż ją na chwilę - wziął blaszkę od Michała. - Zauważyłeś napis?

- Od razu, tylko nie mogłem odczytać.

- Cóż chcesz, tyle lat. Tu pisze tak: „Jestem z tobą na morzu i na lądzie”.

- I zawsze was było dziesięciu?

- Przynajmniej z dziesięć razy po dziesięciu. Każdy z nas miał prawo w każdym porcie i na każdym statku wciągnąć do naszego bractwa każdego, kto mu się widział, że jest

tego godny.

- Ale tylko Polaka, prawda?

- Nie tylko. W naszym bractwie... Nazwaliśmy się bractwem Garbatego Rekina...

- Aha, teraz rozumiem...

- Niczego nie rozumiesz. Było już niejedno takie marynarskie bractwo - Złotej Kotwicy, Wesołego Rogera, Samotnego Żagla... Chcieliśmy, aby nasze było jedyne. I mogę się jeszcze dziś założyć, że nikt nigdy nie wymyślił garbatego rekina.

- Na pewno nie - potwierdził gorliwie Michał. - A co z tą pomocą? Czy ta blaszka - popatrzył z szacunkiem na odznakę - uratowała już komukolwiek życie?

- Choćby i mnie - bosman przytknął zapalną do wygasłej fajki, pociągnął mocno kilka razy, aż wydmuchnął z niej potężny kłęb dymu. - Wyciągnęła mnie kiedyś z więzienia w Dakarze. A krucho było ze mną! Zaszedłem do takiej jednej zakazanej tawerny, bo najbliżej, sam, bez kumpli. Doszło do bójki. Nie, nie - zastrzegł się szybko. - Nie myśl, że maczałem w tym palce. Byłem niewinny jak... jak - szukał porównania - jak moja Fela...

Papuga usłyszawszy swoje imię przekręciła łepkę.

- Cześć, stary byku! - zaskrzeczała przyjaźnie.

- Cześć, cześć - odkrzyknął bosman, pociągnął z fajki. - No i wygarnęli mnie. Zdążyłem jeszcze szepnąć barmanowi nazwisko Michała i wsunąć mu w łapę złotą blaszkę, żeby oddał.

Dziesięć dolarów też mu wsunąłem - dodał po chwili.

- I co, uratowali?

- Jak widzisz. A za takie rzeczy, za morderstwo, bo jednego tam wtedy wykończyli, mogłem zejść wysoko. Domyślasz się...

- Jak pana uratowali?

- Kiedy indziej ci opowiem. To dłuższa historia, ty przecież się spieszysz.

- Zapomniałem o mleku! - Michał poderwał się. - To ja jeszcze mogę tu kiedyś przyjść?

- Będę na ciebie czekał.

- A to... to naprawdę mogę sobie zatrzymać - Michał niezdecydowanie obracał blaszkę w palcach. - To dla pana pamiątka...

- Swojej ci nie daję - bosman zasepił się. - Ta, co ją masz, to Michała. Zginął w konwoju do Murmańska - dodał ciszej. - Chciałem ci dać jakiś drobiazg, może muszlę albo kawałek koralowca. A że daję ci to, po Michale - mówił teraz z naciskiem, uroczyście - to dlatego, że jesteś dobry chłopak. Poczciwy i mądry.

- Skąd pan wie? - Michał poczerwieniał.

- Choćby i stąd, że nie wstydzisz się tego wózka i butelek z mlekiem. I morze, jak widzę, ciebie także urzekło.

- Żeby pan wiedział!

- Trzymaj się, Michał - położył mu ciężką dłoń na ramieniu. - I nie zapominaj o starym.

Gdzieżby mógł zapomnieć. Od tego dnia urządzał się tak, że bosman odbierał mleko jako ostatni klient. Miał więc zawsze przynajmniej pół godziny na ranną pogawędkę. Czasem wpadał także wieczorem. Po kilku dniach wiedzieli już o sobie wszystko. Bosman zszedł ze statku w czterdziestym ósmym roku. Był załamany nerwowo, niedomagał i w ogóle świat wydawał mu się nie najlepiej urządzone. Najbardziej dokuczała mu samotność. Odnajmował sublokatorski pokój we Władysławowie. Początkowo codzienne spacerowanie nad morze zamiast przynieść ukojenie, jedynie drażniły go. Po paru tygodniach zdecydował się i przyjął kilkakrotnie ponawiane zaproszenie siostry - pojechał do Warszawy. Po śmierci siostry zniósł ze strychu wszystkie swoje skarby i przemeblował mieszkanie w sposób zaskakujący rzadkich gości, którzy, jak Michał, stawali w progu z otwartymi ustami. Co robił poza czytaniem Conrada i Londona? Prowadził w żoliborskim domu kultury sekcję szkatulniczą. Nad Wisłę także chodził, bo blisko.

Tyle usłyszał Michał. Bosman z kolei został wtajemniczony w domowe i szkolne sprawy chłopca. Dowiedział się, że choć morze było od lat życiową pasją Michała, tak się składało, że jeszcze go nie widział. Zbierał na bieżąco wszystkie egzemplarze „Morza”, „Modelarza” i sam robił w domu modele kartonowe i prawdziwe w pracowni Pałacu Młodzieży. Miał mnóstwo książek o morzu i chodził na każdy film o tematyce morskiej.

- No tak, z teorii to ty jesteś mocny - stwierdził któregoś dnia bosman. - Na gadane, to mógłbyś być bez mała kapitanem żeglugi wielkiej. Gorzej z praktyką. Założę się, że najprostszego węzła nie zawiązałbyś.

- Najprostszego - oburzył się chłopak. - Jaki pan chce?

Bosman uśmiechnął się.

- No, powiedzmy, refowy.

- Refowy, z pętlą na końcu, żeby można go było szybciej rozwiązać. Służy do refowania, czyli zmniejszania powierzchni żagla - wyrecytował Michał.

- No proszę, znowu teoria.

- Teoria? Niech pan mi da kawałek sznurka. Nie, dwa kawałki... No i co? - zawołał po chwili, podając Kiernickiemu gotowy węzeł. - Teoria? A zobaczy pan po wakacjach, jak się

zapiszę do klubu żeglarskiego...

- Czemu dopiero po wakacjach? Jedź na Wybrzeże, dam ci trzy nazwiska: w Jastarni, w Gdyni i w Gdańsku. Do którego z nich pójdziesz i pokażesz blaszkę, na pewno cię urządzi.

No i powrócisz do Warszawy z dyplomem żeglarza. I co ty na to?

- Dobrze by było... - Michał zwiesił głowę.

- Ale co?

- Ja już mam zaklepane wczasy wędrownie. Wie pan, takie z PTTK. Z kolegą jadę, z Markiem.

- Z tym maminsynkiem? - skrzywił się bosman.

- On wcale nie jest maminsynkiem - Michał czuł się zobowiązany stanąć w obronie kolegi. - Czy to jego wina, że koło niego tak skaczą?

- Koło mnie nikt nigdy nie skakał - zauważył bosman i w tym stwierdzeniu kryła się ledwo uchwytna nutka szczerego żalu. - No cóż, to życzę ci przyjemnego wędrowania.

Stoi teraz Michał przed drzwiami przyjaciela w ostatnim dniu roku szkolnego z butelką mleka przy nodze. Następną przyniesie mu dopiero za dwa miesiące.

- Przyszedłem się pożegnać - wykrztusił, kiedy otwarte szeroko drzwi wypełniła ogromna postać bosmana.

- To co, nie zajdziesz do mnie?

- Tak, ale nie na długo. Muszę się jeszcze rozliczyć w mleczarni.

Fela powitała Michała jak zwykle: „Cześć, stary byku!” Jak zwykle usadowili się blisko siebie w bliźniaczych fotelach, ale długo siedzieli, milcząc. Ciężła im obu świadomość rychłej rozłąki.

- To co? Dzisiaj odcumowujecie? - odezwał się wreszcie bosman. - A może by tak po kielichu pod pomyślne wiatry?

- Przecież pan wie... - zaczął Michał.

- Wiem, wiem. Dostałem wczoraj od przyjaciela kilka puszek grejpfrutowego soku.

Zobaczymy, czy to coś warte.

Dźwignął się ciężko z fotela, wyjął z kredensu dwa kieliszki i otworzył puszkę.

- Pomyślnych wiatrów - podał Michałowi kieliszek.

- Nie pij dżinu, bosmanie! - rozdarła się papuga. Obaj się roześmieli.

- Cicho, głupia - Kiernicki pogroził jej palcem. - Nie czujesz, że to soczek? Starzejesz się Fela, zapomniałaś, jak pachnie prawdziwy dżin.

- A jak pachnie dżin? - zaciekawił się Michał.

- Jak jałowiec.

- Miał mi pan powiedzieć, skąd u Feli to: Nie pij dżinu...

- Miałem, powiadasz, no to powiem. Dlaczego nie, teraz już mogę powiedzieć - bosman ucieszył się, że znalazł weselszy temat do rozmowy. - Moja siostra, widzisz, to była kobieta z zasadami. Miała też i taką zasadę, że jeśli mężczyzna pije coś mocniejszego, to wprawdzie zabronić mu tego nie można, ale strofować jak najbardziej. No i widzisz, ledwie wzięłem kieliszek do ręki, ona już swoje: Nie pij dżinu, bosmanie!

- Mówiła do pana „bosmanie”?

- Tak niby żartobliwie. A dlatego - dżinu, bo dla niej każdy marynarz, jeżeli już coś pił, to obowiązkowo dżin. Czytałeś Stevensona? - zapytał podnosząc kieliszek.

- Pewnie, że czytałem. „Wyspę skarbów”?

- A pamiętasz piosenkę z tej książki?

- Jasne! „Piętnastu chłopów na Umrzyka Skrzyni - Jo-ho-ho! I butelka rumu!”

- Rumu, mówisz? Nie pokręciłeś?

- Na pewno rumu.

- Nie dżinu?

- Pamiętam dobrze, rumu.

- No to tamten coś pokręcił. Prawdziwy marynarz pije tylko dżin. A ja chyba jestem prawdziwym marynarzem. Byłem - poprawił się - bo ani teraz nie pływam, ani nie piję dżinu.

- To pana siostra często musiała powtarzać o tym dżinie, że aż papuga się nauczyła - zauważył Michał.

- Jeżeli Feli coś się podoba, wystarczy, że raz usłyszy - stwierdził sucho bosman. - A w ogóle papuga to głupi ptak. Niby zmyślna, bo potrafi gadać, a głupia, bo tylko powtarza. Z siebie niczego nie wymyśli.

- A pamięta pan to: „sam jesteś pokraka!”

- Nie możemy mówić o czymś innym? - rozeźlił się bosman. - To było wtedy - niespodziewanie uśmiechnął się rozrzewniony - jak przyszedł do mnie, już tutaj w Warszawie, ten Kępka z „Bystrego”. Pamiętasz, wspominałem ci o nim.

- Pamiętam. To ten, co mówił do pana - „Cześć, stary byku!”

- Cześć, stary byku! - zaskrzeczała papuga.

- Będziesz ty cicho! - warknął bosman w stronę mauretańskiego zamku. - No więc przyszedł Kępka, Z butelczyną przyszedł. I wyobraź sobie, Michał, że zaplątał się w sieci w przedpokoju. Szamotał się w tej sieci jak zwariowana makrela.

- Albo jak garbaty rekin - parsknął śmiechem Michał.

- Albo jak garbaty rekin - zgodził się Kiemicki. - Najgorsze, że w tej szamotaninie

butelczyna wymknęła mu się z kieszeni i po zabawie. A dobry dzin przyniósł, prawdziwy, angielski. To sam powiedz, nie mogłem się zdenerwować? Mogłem. To powiedziałem, że pokraka. To on się odgryzł, że ja sam też, bo niby mogłem butelkę wyłuskać z siatki - najpierw się w siatce zaplątała. No nic - machnął ręką.- To powiadasz, że dzisiaj odbijacie?

- Nie dzisiaj, jutro. Dzisiaj dostaniemy świadectwa.

- Ty tam o swoje nie musisz się chyba martwić?

- Nie muszę - Michał powiedział to z ważną miną. - Pewnie będzie tak, jak na półrocze - tylko jedna czwórka.

- A reszta?

- Piątki!

- A ta czwórka to z czego?

Michałowi zrobiło się głupio. Wiedział, jaka będzie reakcja bosmana.

- Z gimnastyki - wyszeptał.

Nie omylił się. Bosman aż się złapał za łysą głowę.

- Z gimnastyki, powiadasz!?! Chłopaku, i ty chcesz być matrosem?! Wiesz przecież...

- Wiem, wiem - Michał pokiwał głową - marynarz musi być jak małpa.

- Coś ty powiedział?

- Że musi być zwinny, wygimnastykowany. O tym myślałem.

- No właśnie, a ty najgorzej z gimnastyki. Czekaj - zastanowił się nagle - a dawniej?

Jak było z tym dawniej?

- To znaczy kiedy?

- No, powiedzmy przed rokiem.

- Miałem piątkę. Ze wszystkiego miałem piątki.

Bosmanowi zrobiło się przykro. Przecież to na pewno to ranne, bardzo wczesne wstawanie musiało się odbić na kondycji chłopca. No, proszę, ty stary byku - strofował w duchu sam siebie. - Dzieciak stara się, żeby pomóc matce, poszedł na to, na co niewielu w jego wieku mogłoby się zdobyć, a on jeszcze robi mu wymówki.

- Weź to - powiedział podając mu raketnicę i paczkę z nabojami. - Może wam się przydać.

- Myśli pan? - Michał obracał w dłoni ciężki przedmiot. - A może i ma pan rację.

- Ja przeważnie mam rację - uśmiechnął się bosman. - Na takiej wędrownicy nie wiadomo gdzie...

- My mamy ustaloną trasę.

- Nie szkodzi. Bierz, kiedy ci daję i życzę ci, żebyś jej w ogóle nie potrzebował

używać.

Pamiętaj, masz uważać na siebie. To znaczy jutro jedziecie, a dzisiaj? Nie wpadłbyś jeszcze wieczorem?

- Nie mogę, naprawdę nie mogę. Już dawno umówiliśmy się, że w dniu rozdania świadectw zrobimy sobie u Marka prywatkę. Wszystko gra - próchno się z dziupli wysypało...

- Próchno z dziupli? - zdziwił się bosman. - Wytłumacz mi, za głupi jestem na wasz słownik...

Michał opuścił głowę, kątem oka zerknął na twarz bosmana, na jego białe bokobrody, na twarz czerstwą wprawdzie i rumianą, ale pooraną gęstą siecią bruzd i zmarszczek.

- To ja już pójdę - wyciągnął rękę na pożegnanie.

- O, nie ma tak dobrze! - zaprotestował bosman.

- Miałaś odwagę powiedzieć coś, czego się teraz wstydzisz, miej odwagę wytłumaczyć.

- Próchno... próchno... - stękał Michał - to wapniaki...

- Aha! - bosman leciutko się uśmiechnął. - A dziupla, to pewnie mieszkanie. Że wyszli z domu...

- Wyjechali - ucieszył się chłopak, rad, że bosman za niego dokończył.

- Próchno wysypało się z dziupli - Kiernicki roześmiał się głośno. - Wiesz, że to nawet dowcipne. Złośliwie dowcipne. A ile to próchno ma lat, ci rodzice Marka?

- Starzy - Michał lekceważąco machnął ręką. - Pewnie gdzieś po czterdziestce. Nie, ja pana bardzo przepraszam - zreflektował się i spieszył po raz trzeci - ale co dzisiaj powiem, to bez sensu. Pan się nie gniewa, prawda? Przecież pan wie...

- Wiem. No idź już, nie zatrzymuję cię - popchnął go lekko w kierunku drzwi. - Pamiętaj o raketnicy - zawołał za nim jeszcze z wysokości schodków. - Jak by coś nie tego, od razu strzelaj. Zobaczę, to przykuśtykam na pomoc.

- Dobra, będę strzelał! - odrzyknął z udawaną wesołością. Wiedział, że będzie mu brakowało starego. Nawet jego papugi. Będzie mu brakowało tego całego domu, tego mieszkania, które wyglądało jak marynarska kajuta zamieniona w muzeum.

Rozdział II

- Jak po pożarze, co? - Marek, wpołleżąc w klubowym fotelu z nogami wyciągniętymi na środek pokoju, ruchem głowy wskazał na stół zavalony naczyniami, sztucami, talerzami z resztkami potraw i kanapek. - No, tak - mruknął po chwili, odrzucając czubkiem buta

kawałek ogórka. - No, tak... - powtórzył.

- Tak, tak - przytaknął Michał w drugim fotelu odsapujący trudy prywatki. - Musimy to wszystko pozmywać, posprzątać. Nie myślisz chyba cały ten bałagan zostawić rodzicom.

- Nie truj - Marek z niesmakiem spojrzał na przyjaciela. - Da się rano dozorczyńni pięć dych i będzie grało. Wiesz o czym myślę - podciągnął nogi, przechylił się do Michała - o tych wędrownych wczasach, że to żaden interes.

- Co cię znowu ugryzło?

- Jeszcze nic. Zacznie gryźć, jak nas wpakują na nocleg do jakiejś chałupy. Pchły, pluskwy, karaluchy...

- Karaluchy nie gryzą.

- Ale łażą. Brrr - Marek otrząsnął się. - Wlezie ci taki bydlak za koszulę...

- Możesz spać bez koszuli.

- Żeby był potem cały podrapany słomą albo innym sianem. Ani mi się śni.

- Jeżeli siano, to w stodole, nie w chałupie - Michał lubił dokładność. - A w sianie karaluchów nie ma.

- Może. Nie znam się na tym. Za to na pewno przecieka dach i człowiek obudzi się przemoczony, z grypą...

- I co jeszcze?

- Dużo. Pomyślałeś, co tam będziemy jeść?

- To, co dostaniemy.

- Właśnie. Co dostaniemy! Zsiadłe mleko i kartofle u chłopca albo mielony w gospodzie.

Ja mielonego do ust nie wezmę. A po mleku i po kartoflach już po godzinie marzysz o jakimś przyzwoitym obiedzie.

- Słuchaj, Marek - Michał popatrzył uważnie na kolegę - czy ty przypadkiem...

- Czy się nie rozmyśliłem? Jeszcze nie całkiem. Na razie tylko zastanawiam się. Nie naskocz na mnie - powiedział po chwili niepewnie - ale czy my musimy się włóczyć, zamiast gdzieś przyzwoicie spędzić wakacje.

- Przyzwoicie, to znaczy jak?

- No... jak normalni ludzie.

- Mów, mów - Michał poprawił się w fotelu - jestem ciekaw, co wymyśliłeś.

- Wymyśliłem. Teraz mi do głowy przyszło, żeby zamiast na te zakichane wędrownie wczasy z karaluchami i zsiadłym mlekiem... Żeby pojechać gdzieś w nieznane! - wystrzelił z dumną miną. - No i co ty na to?

- W nieznane, to niby gdzie?

- Nie wiem.

- A kiedy będziesz wiedział?

- Zaraz! - Marek poderwał się, przeszedł szybko do sąsiedniego pokoju i wrócił z książką telefoniczną.

- Chcesz, zadzwonimy do informacji, zapytamy o najbliższy pociąg i pojedziemy nim do końca. I co ty na to? - powtórzył poprzednie pytanie.

- Nic. Jestem pełen podziwu dla twoich genialnych pomysłów. A na który dworzec chcesz dzwonić?

- Na Główny.

- Dlaczego akurat na Główny? Jeśli to ma być prawdziwa podróż w nieznane, wszystkie dworce i wszystkie pociągi powinny mieć jednakowe szanse.

- Masz rację - przyznał Marek. Wyjął notes, wyrwał parę kartek, podzielił na połówki.

- Główny, Wschodni, Wileński, Zachodni - mrucał wypełniając karteczki. Zwinął je później w rolki, ścisnął w dłoni i wyciągnął rękę do Michała. - Losuj!

Wyszedł Dworzec Wschodni.

Numer informacji był stale zajęty i dopiero po kilkunastu minutach chłopcy dowiedzieli się, że najbliższy pociąg odchodzi ze Wschodniego do Gdyni o godzinie dwudziestej trzeciej trzydzięci.

Ich reakcja była krańcowo różna. Michał szczerze się ucieszył - przecież Gdynia, to morze. Morze, które znał jak kogoś najbliższego, i które pozostawało jedynie w sferze jego marzeń.

- Wiesz, że to był chyba niezły pomysł - trzepnął Marka w plecy. - Dobra, jedziemy nad morze!

- Nad morze - skrzywił się Marek. - Od takiego szczeniaka - pokazał ręką nad ziemią - moi starzy taszcą mnie co rok nad to morze. W nocy może się przyśnić - powiedział wyraźnie zniechęcony. - Znam to wszystko nie gorzej niż nasz Żoliborz...

- Akurat! - zachnął się Michał. - Wydaje ci się, że znasz. Leżysz plackiem na plaży albo opychasz się lodami w kawiarni. Dobrze, jeżeli wypłyniesz statkiem na zatokę. A czy wiesz, jak wyglądają porty? Czy byłeś kiedy w stoczni? A potrafisz odróżnić kecz od jolki?

- Jolkę to ja jedną znam - roześmiał się Marek. - I ty ją także znasz. Ta od Żmichowskiej.

- Jolka? Jolka?...

- Taka wysoka, ładna, z czarnymi włosami i piwnymi oczami - równa babka. Nie

pamiętasz? Poznaliśmy ją w zeszłym roku na plaży przy Poniatowszczaku.

- Aha, już wiem. Chciały ją poderwać jakieś chuligany...

- A myśmy im dali łomot - przypomniał Marek, prostując się i wypinając pierś, co miało chyba znaczyć, że gotów był w każdej chwili stanąć znowu w obronie pięknej Jolki. -

Nam też się dostało - dodał gwoli ścisłości. - Pamiętasz, jak ci podbili oko?

- Tobie rozkwasili nos - uzupełnił Michał. - Krew leciała jak z prosiaka.

- Nie masz lepszego porównania?

- To było najlepsze - Michał spojrzał na przyjaciela i roześmiał się. Porównanie istotnie było dość trafne. Marek miał okrągłą, różową twarz z grubymi, małymi wargami, układającymi się czasami w zabawny ryjek, bardzo jasne, na jeża przystrzyżone włosy i niemal białe brwi nad niewielkimi, mocno niebieskimi oczami.

- No i czego rechoczesz - zdenerwował się Marek. - I co się tak gapisz. Pierwszy raz mnie widzisz?

- Twój widok jest dla mnie zawsze prawdziwą rozkoszą - Michał lekko skłonił głowę.

- Ale wracając do jolki...

- Właśnie - podjął żywo Marek. - A może byśmy ją tak zagarnęli, co? Ona lubi takie nie zaplanowane numery.

- Dobra, możemy ją zabrać - zgodził się Michał. - Ale ja nie o niej. Jolka to mała łódź.

A od kecza różni się ustawieniem bezana za urządzeniem sterowym.

- Tak jest, kapitanie! - Marek przyłożył rozwartą dłoń do czoła. - Różni się skośnym bezanem sterowego półtoramasztowca.

- Idiota! - Michał wzruszył ramionami. - No, nic, ja jeszcze z ciebie, szcurze, zrobię morskiego wilka.

- Tak jest! Ale zanim to zrobisz, pozwolisz, że przyszedł wilk zawiaduje do telefonu w wiadomej sprawie.

- A wyjże sobie, proszę cię bardzo. Tylko się nie dziw, jak cię dziewczyna obsztorcuje.

Wiesz która godzina?

- Wiem - Marek spojrzał na zegarek - wpół do jedenastej.

- I uważasz, że to pora...

- Jak najbardziej. Ona też jest pewnie po jakimś ubawie. Albo w ogóle nie ma jej jeszcze w domu. Zadzwonimy, zobaczymy.

- A wiesz, jak się nazywa?

- Mowa! Kamerska. Mieszkają na Dziennikarskiej - przerzucał niecierpliwie kartki

książki telefonicznej.

- Kamiń... za daleko. Jest! Doktor Stefan Kamerski, Dziennikarska siedem.

Wykręcił numer i czekał, trochę niepewnie patrząc na Michała.

- Jolka? Tu Marek! Przepraszam, że tak późno, ale jak się dowiesz, spadniesz z krzesła.

Co, leżysz w łóżku? To lepiej, bo nie spadniesz - paplał szybko, sztucznym ożywieniem maskując treść, która dopiero teraz zmroziła go. - Nie pojękuj, jeszcze się wyśpisz. Masz całe wakacje, żeby się wyspać...

Powoli opanowywał się, udawało mu się nawet być w miarę dowcipnym, a co najważniejsze Jolka nie przerwała rozmowy. Po dobrych dziesięciu minutach odłożył wreszcie słuchawkę, wymownym ruchem zgarnął z czoła niewidoczne kropelki potu.

- Ufff! - zwałił się ciężko na fotel. - Jedzie! - podsumował rozmowę, po czym zrelacjonował ją, uzupełniając fragmentami spoza drugiej strony przewodu telefonicznego.

- Jolka, uważasz - sięgnął do stołu po jedną z ocalałych kanapek - jest tak, jak i my słomianą, sierotą... Przegryź coś, Michał - zrobił zapraszający gest w kierunku poprzywatkowego pobojowiska. - Przy jedzeniu lepiej się gada.

- Co to znaczy słomiana sierota? - Michał wybrał kanapkę z najgrubszym płatem szynki.

- Jeżeli facet, którego żona pojechała na wczasy, nazywa się słomianym wdowcem, to tacy jak my są. słomianymi sierotami. Twoja mama, moi starzy i starzy Jolki - wszystko się rozjechało. Twoja jest w sanatorium, moi w Bułgarii, ojciec Jolki pojechał na jakiś zjazd do Brukseli... No to co, nie jesteśmy słomianymi sierotami?

- Jesteśmy - zgodził się Michał. - No i co ta sierota z Dziennikarskiej?

- Miała pojechać do Krynicy. Oni tam co roku rezerwują pokój w „Orbisie”.

Powiedziałem jej, że do Krynicy jeżdżą przede wszystkim starsze babki, żeby sobie kogoś podłapać.

- Słyszałem.

- I jeszcze, że jej to niepotrzebne, i że nie ma o czym gadać, bo jest już przez nas poderwana.

- Też słyszałem.

- Dobrze powiedziałem, nie?

- A ona?

- Trochę jęczała, że miejsce zarezerwowane, że ojciec będzie pisał do niej do Krynicy, ale ważne że przeszło. Ma znajomego w „Orbisie” na Brackiej i ten jej załatwi odmówienie

miejsca. Mało tego - sypialny też jej załatwi. Bo ona, uważasz, nie ma zamiaru jechać na stojąco w korytarzu. Tak powiedziała. Niech załatwi - przełknął ostatni kęs kanapki i sięgnął po następną. - Jedz - zachęcił Michała. - To już prawie pierwsze śniadanie.

Michał długo nie mógł zasnąć. Zbyt wiele wrażeń jak na jeden dzień. Do Marka, choć uprzednio bardzo się cieszył na tę prywatkę, wybierał się niechętnie. Zastanawiał się nawet, czy z niej nie zrezygnować. Powodem było ubranie. Przypuszczał - i nie mylił się - że zaproszeni przyjdą wyelegantowani, prezentując najlepsze ciuchy. Sam miał ciemnoszary garnitur sprzed roku, z którego zdążył już wyrosnąć - przyciasny i przykrótki, koszulę zwykłą, białą za siedemdziesiąt dwa złote z pedeciaka.

Jego samopoczucie mocno poprawił Marek. Otworzył mu drzwi z serdecznym, zapraszającym gestem, a był ubrany w pocerowane džinsy i golf wytarty na rękawach.

- Aleś się wyelegantował, chłopie - stwierdził, obracając go w koło. - A ja, jak widzisz...

Co się mam wygłupiać? Przecież to zabawa, a nie rewia mody.

Wyglądało na to, że Michał się wygłupił. Zresztą nie miał czasu zastanawiać się, bo Marek otworzył drzwi i wepchnął przyjaciela do jadalni spełniającej w tym dniu rolę sali balowej.

Dekorowali ją obydwaj. Komiczne maski i kartony z równie śmiesznymi rysunkami zrobił kuzyn Marka - student Akademii Sztuk Pięknych; festony i lampiony wykonali sami.

Zwykły pokój zmienił swój charakter. W stonowanym świetle lamp, przesłoniętych kolorowymi bibułkami, było przyjemnie i nastrojowo.

Obficie zaopatrzony bufet również miał wpływ na humory gości. O stronę gastronomiczną prywatki, a raczej o wykorzystanie zapasów nagromadzonych przez matkę Marka już znacznie wcześniej na tę okazję, zadbały dziewczęta.

Spośród chłopców największe powodzenie miał Michał. Wysoki i zgrabny, o cygańskiej urodzie - śniada cera, zrośnięte brwi nad czarnymi oczami, bujna, również czarna czupryna krótko przycięta na karku. Jego skromne ubranie zdystansowało i skórzaną marynarkę Stefana, i włoskie wdzianko Jacka.

Bawili się do dziesiątej, bo kilkoro z nich już następnego dnia rano wyjeżdżało na wakacje. On i Marek także, tyle że w nocy.

- No proszę - podłożył ręce pod głowę, zapatrzył się w sufit, po którym przemykały pasma światła rzucanego w rytm wahań ulicznej lampy kołysanej wiatrem. - Morze! Nie jakies tam wczasy wędrowne beskidzkimi ścieżkami - od wioski do wioski, od schroniska do schroniska, ale to wymarzone i wyśnione, znane i nieznanne, dalekie i bliskie, niepowtarzalne

jak przeczuwał, przerastające wszystko, co o nim wiedział. Morze... Powinno być zielone.

Ciemnozielone, jak... - szukał porównania - jak sukienka Grażyny. Tak, właśnie jak tamta sukienka. Uśmiechnął się.

Grażyna gasiła pozostałe dziewczęta i urodą, i strojem. Miała mini-sukienkę z ciemnozielonej koronki. I zielone oczy. I krótko przyciętą czuprynę koloru dukatowego złota.

Tańczyli prawie cały czas. Raz poderwała go pulchna i malutka Mirka, ale do następnego tańca znowu poprosił Grażynę.

- Gdyby tak ona mogła z nami pojechać - westchnął.

Niestety, nie mogła. Wyjeżdżała z matką do dziadków w Góry Świętokrzyskie.

Żałowali tego oboje, ona chyba bardziej niż on.

Z właściwą dla swego wieku niefrasobliwością przerzucił się od Grażyny do Jolki.

Zapamiętał, jak wtedy na plaży wysoka i zgrabna w szafirowym, jednocześnie w kostiumie krążyła wokół nich niby ringowy sędzia. W piwnych oczach paliły się jej złote iskierki, zdyszczanymi okrzykami podtrzymywała na duchu swoich obrońców i bodajże palnęła któregoś z chuliganów raketką od kometki.

Znów się uśmiechnął. Tym razem do niej. Grażynę zdecydowanie zastąpiła Jolka, dziewczyna, z którą jutro, a właściwie już dzisiaj mają się spotkać na dworcu.

Zasnął uśmiechnięty z jej obrazem w pamięci.

Śniło mu się, że spaceruje z Jolką brzegiem plaży, po piasku twardym i pociemniałym od wody, pod jasnoblękitnym niebem, pocętkowanym ruchomymi przecinkami mewich skrzydeł. Jolka ujęła go pod ramię, czuł przy swoim boku przyjemne ciepło promieniujące z jej smukłego, opalonego ciała. Tak, to był miły sen. Niestety, nieoczekiwanie, bez żadnego przejścia, przekształcił się w koszmar. W małej, ale silnej ręce Jolki pojawiła się nagle raketka do kometki. Nie ta zwyczajna, z siatką naciągniętą na owalnej ramce, ale rakietka, rzecz można, wycięta z grubej blachy i Jolka tą raketką zaczęła go tłuc po głowie. A co uderzy, to zaraz guz wyskakuje. Moja głowa wygląda pewnie jak mina okrętowa - stwierdził Michał; nawet w takiej sytuacji potrafił myśleć morskimi kategoriami. Ale że Jolka tłukła go coraz mocniej i coraz zapalczywiej, zrobił to, co mógł zrobić najlepszego - obudził się.

Najpierw sprawdził, czy nie ma na głowie guzów, a później spojrzął na stojący obok tapczanu budzik - była dopiero siódma. Odwrócił się na drugi bok i zaraz znowu zasnął. Tym razem przymykając oczy wolał dla pewności zamiast o Jolce pomyśleć o bosmanie Kiernickim. Papuga mogła mu się przyśnić. Najwyżej nawymyśla mu od starych byków i nie każe pić dzinu.

Michał obudził się dość późno. Cały dzień zszedł mu na przygotowaniach do podróży.

Umówili się na godzinę dwudziestą trzecią w bufecie stacyjnym. Marek ze zdenerwowania, jak tłumaczył, jadł już szóstego pączka, kiedy wreszcie nadeszła. Pięć minut przed odjazdem pociągu.

- Przestań się opychać - naskoczyła na Marka. - Nie mamy za dużo czasu. A ty co się tak gapisz? - natarła z kolei na Michała. - Weź lepiej mój plecak. No szybciej, szybciej chłopcy - popędzała ich. - To zwykły osobowy, nie salonka, nie będzie na was czekał.

Szła przed nimi, jeszcze smuklejsza, w granatowych dżinsach i w czarnym swetrze, zręcznie wymijając podróżnych biegnących truchcikiem i taszczących walizy. Do odjazdu pociągu pozostało zaledwie dwie minuty. Dobiegli w chwili, gdy konduktor podnosił latarkę.

- Tylko bez głupich min - ostrzegła odwracając się ze stopnia. - Mamy przedział rodzinny.

Mimo tego ostrzeżenia Michał naprawdę miał głupią minę. Rodzinny... to znaczy, że będą spać w jednym przedziale. I jak tu się rozbierać przy dziewczynie?

Jolka od razu usunęła wątpliwości.

- Wy tu sobie postoić w korytarzu - oświadczyła - a ja się rozlokuję. Oczywiście, na dolnym łóżku. Jak będę gotowa, dam wam znać, zapukam. Wcześniej nie ważcie się włączyć, bo dostaniecie butem.

Ten mój sen, to było ostrzeżenie - pomyślał Michał. Stanęli tyłem do okna, wpatrzeni w drzwi, które jak sezam miały się przed nimi otworzyć na umówiony sygnał. Mijały minuty, za oknami uciekały stacyjki i stacje, minęli już Modlin i Mławę, a sygnału nie było.

- Może usnęła - zaniepokoił się Michał.

- Do niej to by pasowało - Marek potwierdził jego obawy. - Mówiła mi kiedyś, że ledwie przyłoży głowę do poduszki, od razu zasypia. I nie obudzi się, choćby z armat walili.

- Armat nie mamy...

- Przecież mówię, że też by nie pomogły.

- To co, do rana będziemy tu sterczeć? A może jednak wejdziemy... Jeżeli śpi, nie będzie nas walić butem. Na pewno śpi - nacisnął lekko klamkę. Drzwi były zamknięte.

- Trudno. Musimy poprosić konduktora, żeby je otworzył.

Konduktor - rudy drągał z wąsikami - także spał wtulony w kąt ławki w swoim przedziale. Trochę nieprzytomny poczłapał z nimi w koniec wagonu.

- Bo z siostrą tak zawsze - tłumaczył Michał. - Jak zaśnie, śpi jak kamień. Za nic nie można jej obudzić.

- Można jej z armat strzelać koło ucha. - Marek znowu wytoczył te swoje armaty. - A pan ma klucz od tych drzwi?

- Pewnie, że mam - konduktor otworzył drzwi i zaraz okazało się, że są dodatkowo zamknięte na łańcuch.

- No tak - zafrasował się rudy. - Teraz to już klops. Łącucha nie zdejmę.

- Do stu garbatych i łysiejących rekinów! - zaklął cicho Michał. - Mieć łóżko w przedziale i spać na korytarzu to już szczyt wszystkiego. Mam pomysł! - wrzasnął.

- Ciszej! - konduktor położył palec na ustach. - Ludzie śpią.

- My też ludzie. I też chcemy spać. Mam pomysł - powtórzył. - Drutem.

- Co drutem? - rudy spojrział na niego podejrzliwie.

- Gdyby pan miał jakiś drut, można by wsunąć przez tę szczelinę i poszturchać ją.

- Kobietę? - oburzył się konduktor. - Kobietę drutem? Nic z tego moi drodzy.

Dwadzieścia lat jestem konduktorem w sypialnych i nigdy jeszcze nikogo drutem nie szturchałem, a co dopiero kobietę, to nawet wstyd pomyśleć. Drutem można poszturchać świnię, kiedy wejdzie w szkodę.

- Ona też jest świnią - stwierdził z przekonaniem Marek.

- Prawdziwa - poparł go przyjaciół. - Najpierw się chwali, że skombinuje sypialny...

- Skombinowała dla siebie.

- Popatrz, niby równa babka, a przy pierwszej okazji wyłazi raptem garb.

- To ona jest ułomna? - zafrasował się rudy.

- Kto, Jolka? - Marek roześmiał się. - Dziewczyna jak świeca. Ja mówię o garbie moralnym. O moralnym skrzywieniu charakteru.

Teraz roześmiał się Michał.

- No, niechby tak ona usłyszała! Zaraz byś był wyprostowany.

- Garbata, nie garbata, a ja tu nic nie zdziałam. Idę spać - zdecydował konduktor. - I wam też radzę się zdrzemnąć. Przycupnijcie na korytarzu. Trudno i darmo - rozłożył ręce - nic nie poradzimy.

- Darmo - Michał opuścił boczne siedzenie, usiadł wygodnie, głowę oparł o parapet okna. - Darmo - powtórzył. - Za dwieście złotych.

Obudziło go szarpanie za ramię. Stała przed nim Jolka - odświeżona, uczesana, w tych samych dzinsach, ale w innym sweterku: ciemnozielonym, wyciętym w duży trójkąt. Na szyi miała czerwone, drewniane korale i takie same klipsy. - Jaka ona ładna - pomyślał chłopiec. - Ładna, ale świnią -omalże nie powiedział tego głośno i zaczerwienił się.

- Ale z ciebie śpioch! - piwne oczy skrzyły się wesoło. - Z pięć minut musiałam cię tarmosić. A w ogóle, to czemu spaliście na korytarzu. Baliście się wejść? Przecież nie gryzę.

- O to cię nie posądzaliśmy - Michał stanął obok niej przy oknie. - Nawet gdybyś

gryzła, także bym wszedł, ale zamknęłaś drzwi na łańcuch.

- Od tego jest łańcuch.

- Czy u was uczą logiki? - dołączył się do nich Marek.

- Uczą. Bo co?

- Bo po tobie tego nie widać.

- Dlaczego - Michał pozornie stanął w obronie dziewczyny. - Nie słyszałeś? Skoro jest przy drzwiach łańcuch, to po to, aby drzwi nim zamknąć. Proste?

- Masz rację, proste.

- Skończcie już z tym łańcuchem - zachnęła się Jolka. - I doprowadźcie się jakoś do porządku. Wymięte to, rozczochrane - zlustrowała ich krytycznym wzrokiem. - Przemyjcie przynajmniej oczy, jeżeli boicie się wody. Gdańsk! - krzyknęła opuszczając okno. - No, szybciej, chłopcy. Zaraz wysiadamy. Do Sopotu z Gdańska tylko parę minut.

Chłopcy przeszli do przedziału.

- Popatrz jaka przyjemna, świeża pościel - Michał położył rękę na środkowym łóżku. - To miało być moje... Dobrze by się spało, nie?

- Dobra, dobra - Marek ustąpił koledze miejsca przy umywalce. - Myj się szybko, bo nie ma czasu.

- To jednak wysiadamy w Sopocie?

- Przecież ustaliliśmy.

- Bo mówiłeś, że w Orłowie masz ciotkę.

- Nie, ciotka odpada. Nie pomyślałem, że do wszystkiego by się wtrącała, czulibyśmy się tak, jak na szkolnej kolonii. Pozostaniemy przy Sopocie. Dziura, bo dziura, ale tobie będzie się pewnie podobało.

- A tobie nie?

- Ograny. I przereklamowany. Czytałeś, co o nim napisał Jacek Wołowski w „Życiu Warszawy”?

- Nie.

- Grójec z widokiem na morze.

- Dobrze! - Michał zaśmiał się głośno.

- Z czego się tak śmiejecie - do przedziału zajrzała Jolka. - Może ze mnie?

- Nie z ciebie, z Grójca - uspokoił ją Marek. - Z Grójca z widokiem na morze.

- Aha - domyśliła się - z Sopotu.

Pierwszą wizytówką miasta jest dworzec. W przypadku Sopotu była to skromna, ale wytworna wizytówka - nowoczesna w kształcie, prostokątna bryła z płonącym czerwienią

neonem u wejścia na perony.

- Sopot - odczytał głośno Michał. - Grójec - dodał ciszej - z widokiem na morze.

Grójec, nie Grójec - nieważne. Najważniejszy był tu właśnie ten widok na morze.

- Jemy śniadanie i idziemy się kąpać - oświadczył.

- Akurat! - zaprotestował Marek. - Śniadanie tak, ale ja najpierw muszę się przespać.

- Tylko pytanie gdzie? - Jolka, którą dotąd bawiła ta wyprawa w ciemno, zaczynała się niepokoić, czy zdobędą jakąś kwaterę.

W biurze nie mieli dla nich odpowiedniej kwatery - urządziły ich dwa oddzielne pokoje w jednym domu. Obok pawilonu, gdzie mieściło się biuro zakwaterowania, obstała ich gromada „koników”. Oferowano pokoje z łazienkami i bez, w centrum, w górnym i w dolnym Sopocie, dwu-trzyosobowe, w różnych cenach w zależności od położenia i wygód. Po rozważeniu kilku propozycji poszli wreszcie ze schludną, drobniutką staruszką, która zaprowadziła ich na Grunwaldzką do okazałego gmazyska będącego, jak wiele podobnych budynków w Sopocie, zlepkiem paru pseudostylów, obwieszonych balkonami i werandami, z fikuśnymi ornamentami i z posągami jakiejś otyłej boginki na kopulastym zwieńczeniu dachu.

- Myślałam, że coś podobnego może się tylko przyśnić - zauważyła Jolka wchodząc za staruszką do sieni wyłożonej kafelkami o wesołych roślinnych motywach.

- Ja mam bardziej emocjonalne sny - mruknął Michał i machinalnie pomacał się po głowie.

Z ogromnego, lecz nadmiernie zagraconego przedpokoju dwoje drzwi prowadziło do ich „apartamentów”.

- To dla panów - staruszka pchnęła pierwsze drzwi.

Pokoik kontrastował z zewnętrznym wyglądem gmazyska. Od ścian malowanych na jasnołososiowy kolor odcinały się przyjemnie wielobarwne zasłony, dwa wąskie tapczaniki były przykryte cepeliowskimi narzutami. Stały tam jeszcze: szafa, stolik i dwa foteliki, a w kącie umywalka, wiadro i dzban:z wodą.

Sąsiedni pokoik przeznaczony dla Jolki wyglądał podobnie, tyle że ściany miał pomalowane na różowo.

- Łazienka jest naprzeciw - poinformowała staruszka. - Na węgiel. Palimy w piecu raz na tydzień, w sobotę.

Wręczyła im jeszcze klucze, każdemu po dwa: od pokoju i od wejściowych drzwi, i zniknęła gdzieś w głębi przedpokoju, między potężnymi szafami zdobnymi w kolumnienki a toaletkami.

Chłopcy rozpakowali się, umieścili swoje rzeczy w szafie i Marek zaraz wyciągnął się na tapczanie.

- Ty rób, co chcesz - oświadczył - a ja muszę się przespać.

- To i ja się położę na pół godziny.

W sąsiednim pokoju Jolka już oczywiście spała. Ta dziewczyna mogła spać dwanaście godzin bez przerwy, zjeść śniadanie albo obiad - na co tam była pora - i dalej spać.

- Sen jest najlepszym kosmetykiem - powtarzała chętnie zdanie wyczytane w jakimś tygodniku kobiecym. Nawiasem mówiąc, w przeciwieństwie do swoich koleżanek, nie używała w ogóle kosmetyków. Nie były jej zresztą potrzebne.

Wszyscy troje obudzili się niemal równocześnie.

- Michał, wiesz, która godzina! - rozdarł się Marek - ósma! Oczywiście wieczorem.

Spaliśmy przeszła dwanaście godzin.

- To co? - spod przeciwległej ściany rozległo się potężne ziewnięcie. - Jesteśmy na wakacjach? Jesteśmy. No to o co ci chodzi?

- Ktoś chciał zaraz lecieć nad morze.

- Prawda! - Michał zerwał się z tapczanu. - Idziesz ze mną?

- Wariat. Najpierw na kolację. Nie jesteś głodny?

- Pytanie. Nie jedliśmy ani śniadania, ani obiadu.

- Zjemy wszystko razem - Marek także wstał, przeciągnął się. - Zapraszam was do „Ermitażu”. Jolka! - załomotał pięścią w ścianę - Idziemy na kolację do „Ermitażu”.

- Nie usłyszysz, musisz przejść się do niej. Te mury, to nie ścianki w nowym budownictwie.

- Też racja. - Marek ruszył do drzwi. - A ty już się ubieraj - odwrócił się jeszcze z ręką na kłamce. - Zabrałeś chyba jakieś przyzwoite ubranie?

- Mam tylko jedno, to, co wtedy u ciebie.

- Właśnie o nim myślę. Zabrałeś?

- Właściwie to nie wiem po co.

- Zawsze w dzinsach nie będziesz łąził. I białą koszulę wyciągnij. Ten „Ermitaż”, bracie, to taki sopocki „Bristol”.

- Akurat - do pokoju weszła Jolka. Odsunęła Marka z przejścia, przysiadła na tapczanie.

- Jeżeli już „Bristol”, to taki w wydaniu dla najuboższych.

- Też wyskoczyła! - Marek parsknął śmiechem. - Dla najuboższych! W „Ermitażu”, siostrzyczko, faceci płacą rachunki po dziesięć kół i więcej.

- A czy to tylko pieniądze są ważne. - Jolka wzruszyła ramionami. - Styl, atmosfera...
A tego cinkciarze ci nie stworzą.

- Ale jeść dają dobrze - Marek uciął dyskusję. - A to w tej chwili ważne, prawda? I potaćzyć też można.

Nadmorski Grójec oszołomił jednak Michała. Całą szerokością Monte Cassino sunęły tłumy ludzi w obu kierunkach. Dziewczeta - te najzgrabniejsze, długonogie i opalone, w króciutkich mini do pół uda, inne w maxi rozciętych z przodu lub po bokach. Górą girlandy kolorowych lampek i kołyszące się w lekkim wietrze ogromne prostokąty płótna z herbami miast. I grupki brodaczy, na ogół schludnych, ale i brudnych także, w poprzecieranych dzinsach, pozujących na hippisów. - Popatrz, wariat! - chwycił za ramię Marka. O parę kroków przed nimi sunął drobnym kroczeniem czarnobrody, starszy mężczyzna z długimi, również czarnymi włosami, w damskiej sukni, w ogromnym kapeluszu przyozdobionym kwiatowym ogródkiem, w bucikach na wysokich obcasach i z parasolką. Towarzyszyła mu spora grupka ciekawych.

- Jaki tam wariat! - Marek roześmiał się. - Parasolnik. To taka żywa, sopocka atrakcja.

Niektórzy powiadają, że pracuje na etacie Miejskiej Rady Narodowej.

Do „Ermitażu” wpuścili ich bez żadnych zastrzeżeń. Marek wykupił trzy karty wstępu i przez dużą, długą salę zeszli parę stopni w dół na niższy poziom, gdzie od ścian w rogu kelner wskazał im wolny stolik. Stał teraz obok nich z serwetką przewieszoną przez ramię czekając na zamówienie.

- Wybierz coś - Marek podał kartę Jolce. Zamówili przystawki, bulion i steki z pieczarkami. Kelner nie odchodził.

- Napijemy się czegoś? - Marek nachylił się do przyjaciela. - Może po koniaku?

- Coś ty! Ty zresztą pij, jak chcesz. Ja - nie.

- A może ty, Jolka? - Marek nie ustępował. Jolka także odmówiła. - To wszystko - naburmuszony odprawił kelnera.

Jego zły humor zaciążył nad kolacją. Od czasu do czasu pomrukiwał coś na temat, że z dziećmi nie powinno się przychodzić do lokalu.

- Chcesz, idź do baru i zalej się w trupa! - wybuchnęła Jolka.

- I w ogóle nie zgrywaj się - poparł ją Michał. - Wypiłeś kiedyś dwa kieliszki wina i musiałeś wyłopać parę butelek mineralnej, żeby ci przeszło. Kozak się znalazł.

- Kozak, nie Kozak - Marek trochę się spieszył - a po kieliszku moglibyśmy wypić. Po prostu wypada.

- Wypadałoby, żebyś sobie przeczytał napisy, jakie tu wszędzie porozwieszali:

„Nieletnim do lat osiemnastu alkoholu się nie podaje”.

- Właśnie - Jolka z aprobatą pokiwała głową. - I dziwię się, że kelner wyraźnie czekał, żebyśmy coś zamówili. A przecież wystarczy na Marka spojrzeć...

- I co? Wyglądam na szczeniaka - wyprostował się w krześle. - No powiedz, wyglądam.

Musieli przyznać, że nie. W białych spodniach i białym golfie, w granatowej marynarce ze złotymi guzikami, wysoki, szeroki w barach, sprawiał raczej wrażenie typowego playboya i to naładowanego forszą. To ostatnie, zresztą, częściowo się zgadzało.

Do takiego wniosku doszli chyba także przy sąsiednim stoliku, bo towarzysząca dwom młodym ludziom szalowa blondynka najwyraźniej kokietowała Marka. Jej znajomi wyglądali dość osobliwie. Wyższy i grubszy łysiejący blondyn podnosząc kieliszek trzymał rękę tak, żeby każdy mógł zobaczyć grubego sygneta z rubinem; mały, szczerbaty brunecik mógłby być żywą reklamą jakiegoś zachodniego pisma prezentującego nowości męskiej mody.

Kiedy orkiestra zaczęła grać jakiś ogłuszający bitowy utwór, Marek pod wpływem aż nadto już wymownego spojrzenia blondynki, a może i po to, aby zrobić na złość swoim, wstał od stolika i skłonił się tamtej babce. Jej towarzysze skinęli głowami, dziewczyna poderwała się - uśmiechnięta, zalotna.

Tańczyli dobrze, co gwoli prawdzie przyznali zgodnie podrygujący w pobliżu nich Michał z Jolką.

- Wyraźnie go poderwała - skrzywiła się Jolka. - Paskudne, stare pudło.

Stare pudło było najwyżej o dwa lata starsze od Jolki - nie miało na pewno więcej niż dziewiętnaście lat. Ale poderwało Marka tak gruntownie, że po skończonym tańcu przysiadł się do tamtego stolika.

Oczywiście, że ich przeprosił, że tylko na chwilę. Przedtem jeszcze odwołał na bok kelnera i zapłacił rachunek.

- Założę się - Michał wyciągnął z tego oczywisty wniosek - że wsiąkł tam na amen.

- Byle nie na całe wakacje - nachmurzyła się Jolka.

- Tak ci na nim zależy?

- Zależy, nie zależy, ale w końcu to on nas tutaj ściągnął. A teraz - sam widzisz...

- Widzę - Michał dyskretnie zerknął na sąsiadów - że nareszcie dorwał się do kieliszka.

No proszę - informował po chwili - a teraz on zamawia.

- Stary jest teraz w Bułgarii - z wyraźnym zgorszeniem słuchali głosu Marka. - Niby,

że na wczasach, ale będzie musiał wpaść do Sofii na taki międzynarodowy zjazd elektroników.

Czytaliście może? Pisali o tym w prasie - podniósł kieliszek. - Zdrowie mojego starego.

Poznacie go, to równy chłop.

- Kaktus mi tu wyrośnie, jak go poznają - mruknął Michał. - Dobrze sobie! Profesor doktor inżynier Zagajewski i playboye. Już go widzę w tym towarzystwie.

W chwilę później przy sąsiednim stoliku padło to samo nazwisko.

- Stary nazywa się Zagajewski. Ja oczywiście także - Marek zaśmiał się głośno. Tamci mu zawtórowali. - Jeśli czytaliście o zjeździe, to o nim też. Napisali, że Polskę będzie reprezentował znakomity uczony, profesor Witold Zagajewski. - To „znakomity” oczywiście odpowiednio zaakcentował. - Pracuje w Instytucie. Ja się nie chwale - chwalił się dalej - ale nie wiem, co by tam bez ojca zrobili.

- A ja wiem, co zrobić - Michał przymrużył oczy, co było u niego oznaką narastającej wściekłości. - Wstanę i dam mu w ucho.

- Wstań, ale nie bij go w ucho, tylko go stamtąd zabierz.

Nie było to łatwe, ale gdy Michał nachylony do Markowego ucha - tego właśnie, w które miał go trzasnąć - zagroził złowieszczym szeptem, że jeśli natychmiast nie wróci, oni wrócą do Warszawy, a przedtem jeszcze Jolka da mu po buzi (dziewczyna upoważniła go, żeby tak powiedział), Marek ustąpił.

Zrozumiałe, że po tym wszystkim długo już nie zostali w „Ermitażu”. Kiedy wychodzili z lokalu, odprowadzały ich trzy pary oczu.

Rozdział III

Cienkie zasłony nie chroniły pokoju przed ulewą promieni słonecznych. Wielobarwne, duże kwiaty na jasnym tle lnianej tkaniny płonęły jak nasycone światłem witrażowe szkiełka.

Michał przez chwilę urzeczony gapił się w okno, nie bardzo wiedząc, gdzie się znajduje. I nagle to światło oraz świadomość, że niemal tuż za domem ma plażę i morze, poderwały go z posłania. W popłochu spojrzął na zegarek. No nie, nie zaspał - dochodziła dopiero siódma.

Spojrzął na sąsiedni tapczan. Marek miał twarz błyszczącą od potu, włosy zlepione w kosmyki. Z otwartymi ustami cicho pochrapujący skojarzył mu się z rybą wyrzuconą na brzeg. Dobrze mu tak - pomyślał wciągając spodnie. - Po co się zgrywał. I to przed kim.

Przed playboyami i jakąś... flądrami - odgrzebał z pamięci wyzwisko, które w opowiadaniach bosmana Kiernickiego łączyło się z kobietami czyhającymi w portowych tawernach na marynarskie portfele.

Pomyślał - flądrami i zaraz musiał się uśmiechnąć. Dziewczyna z „Ermitażu” - bardzo ładna i bardzo zgrabna, do czego, jak do czego, ale już do flądry płaskiej i nijakiej najmniej była podobna.

- Flądrami, nie flądrami - stwierdził zapinając sandały - ale gdyby nie ona, Marek by się tak nie urządził. To przecież jej chciał przede wszystkim zaimponować. I ojcem, i swoją dojrzałością.

Nachmurzył się na wspomnienie niepotrzebnego gadulstwa przyjaciela i bezceremonialnie potrząsnął go za ramię.

- Marek, wstawaj!

Chłopak zamruczał przez sen, nie otwierając oczu, pomacał wokół siebie, szukając koldry, która zsunęła się na podłogę i nie znalazłszy jej, odwrócił się do ściany.

- Marek, ja idę na plażę - zagroził mu, zdając sobie sprawę, że do tamtego i tak nie dociera. - Dobrze, idę sam - zdecydował. Do Jolki nie miał nawet po co pukać. Wiadomo, że jeszcze spała.

Morze, które po raz pierwszy objawiło mu się wczoraj podczas wieczornego spaceru z Jolką, nie zrobiło na nim wielkiego wrażenia. Po prostu dlatego, że pod zachmurzonym niebem zatraciło swoją odrębność, stapiając się w jedno z czarnym firmamentem. I gdyby nie neon nad „Grand Hotelem”, od którego szły w wodę szerokie pasma połyskliwej czerwieni, trudno byłoby uzmysłwić sobie, że stoi się właśnie nad morzem.

Teraz oczarowało go. Było jak gdyby o ton ciemniejsze od prześwieconego błękitu czystego nieba, obrzeżone delikatną kryzą piany, lekko pofałdowane w zasięgu wzroku, a dalej aż do horyzontu już tylko sam bezkres, którego radosne odczucie sprawiło, że oddychał szybko i głęboko. Oparty o drewnianą poręcz mola nie zauważył, jak tuż obok niego przystanął szczupły, wysoki chłopak w białych, płóciennych spodniach i w białej, zasznurowanej pod szyją bluzie z dużym kołnierzem.

Sąsiad przez chwilę obserwował go z pobłażliwym zrozumieniem.

- Pierwszy raz, co?

Michał ocknął się. Trochę nieprzytomnie spojrzał na intruza.

- Co pierwszy raz?

- To. Morze - zatoczył szerokie półkole ręką. - Pierwszy raz nad morzem. A kolega skąd? - zapytał ciągle uśmiechnięty.

- Z Warszawy.

- A ja stąd.

Po kilku minutach przestał być nieznanym. Michał dowiedział się, że nazywa się Stefan Kąkol - z tych Kąkoli, co to ich na Półwyspie na tuziny można liczyć, że rodzice mieszkają na Helu, a on sam, zgodnie z rodzinnymi tradycjami, będzie także rybaczył po ukończeniu Zasadniczej Szkoły Rybołówstwa Morskiego.

Przysiedli na ławce, Stefan sięgnął do kieszeni, wyciągnął paczkę francuskich caporali.

- Zapal - podsunął Michałowi - skręci cię, takie mocne.

- Nic mnie nie skręci, bo nie palę.

- Ja też - Stefan schował papierosy.

- To czemu je nosisz?

- Jak to czemu - zdziwił się Stefan - dla fasonu, żeby poczęstować. Brat czasem dostaje - wyjaśnił. - Pracuje w kapitanacie. Wiesz co to kapitanat? Taki urząd...

- Mnie będziesz tłumaczył, stary! - Michał klepnął go w kolano. - Ja ci nie tylko powiem, co to jest kapitanat, ale i skąd się wziął, całą jego historię. Albo coś z twojej branży - chcesz wiedzieć, jak łowią ryby na Filipinach? A może o szkunerach, o wojnie herbacianej...

- Popatrz, popatrz - zadrwił Stefan. - A morze toś widział na obrazku, prawda?

- Nie tylko - Michał nie obraził się. - W kinie też. I z książek. No i z opowiadania... - przypomniał sobie bosmana Kiemickiego, jego pokój-kajutę i skrzeczącą papugę. Posmutniał.

- Co ty, obraziłeś się? - Stefan trącił go w bok. - Przecież z tym morzem to prawda. Sam powiedziałeś.

- Prawda. I to, co ci mówiłem, też prawda. Bo ja, widzisz, Stefan, o morzu to już od lat... tyle, że nie było okazji. Nie widziałem morza, ale wiedzieć, to wiem o nim dużo.

- Chyba więcej niż ja.

- Może. Nieważne.

- Dlaczego nieważne? Ważne! Gdybyś poszedł, na przykład, do Szkoły Morskiej...

- Pewnie, że bym poszedł.

- No widzisz! To przecież jak znalazł. Albo zgaduj-zgadula. Michał! - Stefan zapalił się do myśli, która mu się nagle objawiła. - Są takie zgaduj-zgadule. Wyobrazasz sobie, jak byś ich wszystkich gasił. Tu gość się tylko pyta, co to jest kapitanat, a ty mu z mety całą gadkę zasuwasz.

- I nagrody... i forsa... - Michał roześmiał się. - Może nawet wycieczka zagraniczna.

- Właśnie. Ja poważnie - Stefan wrócił do swojego projektu. - Trzeba tylko pilnować,

gdzie jaki konkurs, od razu się zgłaszasz...

- Dobra, dobra - Michał wstał z ławki. - Na razie zgłaszam się na plażę. Chcę wreszcie dotknąć nogą piasku.

- A wody, nie? Masz rację, za zimna. Po sztormie zawsze tak jest. No to już, schodzimy na plażę.

- Tam, koło „Grandu”? - Michał wskazał głową na masyw reprezentacyjnego hotelu.

- Coś ty! Szkoda forsy. Na dziką. Piasek i woda takie same, tyle że plaża nie strzeżona.

A ty w ogóle umiesz pływać? - zainteresował się.

- Zobaczysz - Michał nie uważał za stosowne chwalić się drugą lokatą w międzyszkolnych zawodach pływackich.

Zeszli z mola na brzeg, skręcili w lewo. W odległości kilkunastu metrów rozciągała się przed nimi niemal idealnie gładka wodna przestrzeń.

- Wielki staw, co? - Stefan jak gdyby odgadł Michałowe myśli. - Woda, jak woda, tyle że jej więcej...

- Nie opowiadaj - zachnął się Michał zawstydzony, że istotnie tak myślał. - O, popatrz, statki! Jeden... dwa... trzy... Po stawie statki nie pływają - musiał się utwierdzić w swoim szacunku dla morza.

- Pewnie, że nie. Ale przyznasz, że co taki, na przykład, Atlantyk, to nie nasz Bałtyk.

Na upartego kajakiem do Szwecji można przepłynąć.

- Atlantyk też przepływali.

- Ale nie kajakiem.

- Żaglówką. Także niewielka jednostka pływająca.

- Jednostka! - Stefan spojrzął z ukosa na nowego przyjaciela. - Czy ty tak zawsze, jak ze słownika wyrażeń morskich? Dziedzic! - wrzasnął nagle i pomachał ręką do kogoś z grupy grającej w siatkówkę.

Podeszli bliżej.

Grających było czworo: trzech chłopcy i dziewczyna. Chłopcy, jak chłopcy, ale dziewczyna zwracała na siebie uwagę: wysoka, bardzo zgrabna, z długimi czarnymi włosami, rozsypującymi się w ruchu. Podali sobie ręce.

- Mirka.

- Bolek.

- Heniek.

- Roman - przedstawił się Dziedzic.

Nowo przybyli od razu włączyli się do gry. Michał z mimowolną satysfakcją stwierdził, że jest lepszy od nich i że Mirka zerka na niego nie tylko wtedy, gdy podaje lub odbiera piłkę.

- Stop! - w pewnej chwili Roman przerwał grę. - Stefan i Michał nie wiedzą, o co gramy.

- O co? - zapytali obydwaj.

- O lody. Nie wiedzieliście, możecie się nie zgodzić - uprzedził lojalnie. - Kto najwięcej spudłuje, stawia wszystkim lody.

- Liczyliście? - zdziwił się Michał.

- Ja liczyłam - Mirka uśmiechnęła się do niego tak, że Michał już teraz byłby gotów postawić Markowi lody za to, że dzięki niemu zmienił wakacyjne plany. No tak, ale Marka w pobliżu nie było, byli natomiast ci, tutaj.

- Ja się zgadzam na lody - zapewnił skwapliwie.

- Na zjedzenie lodów, tak? - roześmiał się Roman. - Zrozumiałe, że się zgadzasz, bo grasz najlepiej z nas. A ty, Stefan? - zwrócił się do kolegi.

- Ja też się zgadzam. A kto był dotąd przegrany? - spojrzał na Mirkę.

- Ja - uprzedził ją Roman. - Ale teraz...

- Teraz od początku - stwierdziła sędzina. - Zaczynamy! - poderwała się nagle, chwyciła leżącą obok piłkę i mocnym uderzeniem pięści wycelowała w Michała. Michał równie mocno podał ją Romanowi, który rzucił się do niej rozpaczliwym szczupakiem i wylądował na piasku.

- Raz! - wykrzyknęła Mirka i w sekundę później odliczyła jeden spalony dla siebie.

Przegrał Roman.

- To co, stawiasz, Dziedzic? - Stefan klepnął go po ramieniu.

- A co mam robić. Gdzie idziemy? - trochę markotny czekał na decyzję pozostałych.

- Do Włocha - zaproponowała Mirka.

- Nie, do Włocha nie - zaprotestował Bolek. - Godzinę stać w kolejce? Odpada.

Chodźmy do „Palermo” na cassate.

- Czemu tak daleko? - Roman wyliczył szybko, że sześć takich lodów przekraczało jego możliwości finansowe. - Chodźmy pod „Grand”.

Pozbierali swoje rzeczy i wolno, zmęczeni grą, przeszli plażą i dalej, między palarni mola, na drugą stronę. Michał siedł na końcu grupy z Mirką. Może tak wypadło, a może oni oboje podświadomie pomogli przypadkowi.

- Wiesz co? - powiedziała w pewnej chwili, gdy odległość między tamtymi wzrosła

tak, że nie mogli ich słyszeć. - Mnie nie wypada, ale ty możesz zaproponować, żeby każdy płacił za siebie. Wprawdzie zgodziliśmy się wszyscy, to był zresztą mój pomysł, ale wiem, że Dziedzic ma niewiele pieniędzy.

- Dobrze - Michał od razu przytaknął. - Powiedz mi tylko, skąd wziął się ten Dziedzic?

Czy może Roman...

- Nie, nie! - dziewczyna roześmiała się głośno. - Myślisz, że może z obszarników? Nic z tych rzeczy. Romana ojciec pracuje na poczcie, Romek chodzi do technikum łączności...

- No więc skąd Dziedzic?

- Właśnie z technikum.

- Nie rozumiem.

- A znasz historię Gdańska?

- Pewnie, że znam. Przecież Gdańsk to morze... - urwał, ale za późno.

- To co z tego, że morze? - zainteresowała się Mirka.

- To z tego - wyjaśnił niechętnie - że ciekawi mnie wszystko, co ma z nim jakiś związek, a przyznasz, że Gdańsk...

- Przyznaję, przyznaję! Skoro znasz historię Gdańska, wiesz także o obronie poczty.

- Jasne! Zaraz w pierwszym dniu wojny... - zaczął i znowu urwał.

- Właśnie. I w tym samym budynku, a raczej w rozbudowanym kompleksie budynków jest teraz technikum.

- Aha! To oni rzeczywiście są spadkobiercami, albo jak kto woli, dziedzicami tamtej tradycji. Tylko dalej nie rozumiem...

- Dlaczego akurat Roman, tak? Kiedyś w kolejce chłopcy z jego klasy zaczęli rozrabiać, a że Roman jest zawsze bardzo zasadniczy i potrafi mówić tak, jakby z gazety czytał, wyjechał z tymi spadkobiercami. Że nie wypada, że powinni pamiętać...

- Miał rację - Michał, który w ważnych sprawach był również zasadniczy, poparł stanowisko tamtego.

- Każdy tak chyba uważa. Nawet ci, którym przygadał, bo się od razu uspokoił. Ale jeden z nich powiedział: „Ty, nie bądź taki dziedzic” i tak już zostało.

- Hej, wy tam, w ogonie! - Stefan zatrzymał się. - Pospieszcie się! Na randkę możecie umówić się później.

Gdyby oni wiedzieli o czym mówiliśmy - pomyślał Michał i uśmiechnął się.

- Czemu się uśmiechasz?

- Bo my rzeczywiście jesteśmy dobrzy - Michał jak zwykle był szczery. - A właściwie

ja. Zamiast się z tobą umówić, wypytuję cię o Romana.

- A chciałbyś się umówić?

- Musisz się pytać? Pewnie, że chciałbym. Ty jesteś może także stąd, z Wybrzeża?

- Dlaczego powiedziałaś: także?

- Bo i Stefan, i Roman...

- Także. Mieszkam w Sopocie.

- To doskonale. My też tu mieszkamy.

- Jesteś z rodzicami?

- Mam tylko matkę - Michał posmutniał. Na krótką chwilę zatęsknił za Warszawą, za Żoliborzem. - A tutaj jesteśmy w trójkę - wyjaśnił - z koleżanką i z kolegą. W ogóle - mówił dalej - to my jesteśmy z Warszawy. Wszyscy chodzimy do tej samej klasy. Ja z Markiem do jednej szkoły, a Jolka do Żmichowskiej.

- A gdzie ich zostawiłeś?

- W domu. Nie masz pojęcia, co za śpioch z tej Jolki - o Marku wolał nie mówić. - Do obiadu się nie wygrzebie.

- Szkoda pogody - zauważyła Mirka dość oziębło. Nieznana Jolka niewiele ją obchodziła, ale ponieważ Michał coraz bardziej jej się podobał, na wszelki wypadek postanowiła odnosić się z rezerwą do tamtej dziewczyny.

- Nie lepiej byłoby jej zostać w Warszawie? - zapytała. - Spać można u siebie w domu.

Taniej i wygodniej.

- Nie bądź złośliwa - Michał zerknął na nią ciekawie. - Jolka to równa babka. Nie znasz jej...

- Nie znam i nie muszę poznawać.

- To znaczy, że i ze mną nie zechcesz się spotykać.

- Dlaczego?!

- Dlatego - odpowiedział dobitnie - że przyjechaliśmy tutaj w trójkę i nie wypada, abym się od nich odsunął. Myślałem, że razem z nami też się zechcesz spotykać.

Mirka wzruszyła ramionami.

- Nie każę ci się odsuwać. Możesz sobie z nimi chodzić, ale stale nie musisz.

- To też prawda - zakończył dyskusję.

Mijali właśnie plażę hotelową wzdłuż gmachu „Grand Hotelu”.

- Popatrz, co za śmietana! - Mirka chwyciła go nagle za ramię.

- Gdzie masz śmietanę?

- Tam, tam, w środku, między koszami. Michał spojrzął i parsknął śmiechem.

- No, niechby tak Marek usłyszał.

- Znasz go?

- To przecież ten mój Marek. Masz rację - przyznał po chwili - rzeczywiście śmietankowy. Marek! - zawołał unosząc rękę do góry. - Jolka też tam jest - nachylił się do Mirki. - Ta w szafirowym kostiumie.

Marek, który istotnie odbijał niezwykle białą karnacją ciała od najbardziej „śmietankowych” wczasowiczów, uniósł się na łokciu i osłoniwszy ręką oczy rozglądał się po plaży.

- Podejdziemy do nich? - Michał spojrzął pytająco na Mirkę.

- Ja idę na lody - oświadczyła stanowczo. - A ty jak chcesz. Miałeś zaproponować, żeby każdy za siebie - przypomniała.

- W porządku, później do nich dołączę. Idziemy, idziemy! - pomachał ręką tym od siatkówki, bo znowu zatrzymali się czekając na nich.

Z płaceniem za lody wyszło tak, jak chciała Mirka - każdy za siebie. Roman się wprawdzie certował, ale nie na tyle, żeby nie skorzystać z propozycji. Porozmawiali jeszcze chwilę, Michał umówił się z Mirką i ze Stefanem, zapisał ich adresy. Stefan stale mieszkał na Helu, ale teraz, do połowy przyszłego miesiąca miał pozostać u ciotki w Oliwie.

Swoi przyjęli Michała z wyraźnie kwaśnymi minami.

- Nie mogłeś na mnie poczekać? - nastroszył się Marek. - Przyjacieli! I taki ma czelność nazywać się przyjacielem! Człowiek budzi się schorowany, szklanki wody nie ma mu kto podać...

- Przestań się wygłupiać!

- Czy ja też się wygłupię - Jolka spojrzała na niego spod przymrużonych powiek - jeżeli ci powiem, że przynajmniej na mnie to już wypadało poczekać. Elementarna grzeczność...

- To chyba nic złego, że dałem wam się wyspać - bronił się Michał.

- Ja już nie spałam - powiedziała Jolka ponuro. - Słyszałam jak się tłukłeś po mieszkaniu.

- No wiesz, ja się tłukłem! Chodziłem na palcach, żeby was nie obudzić.

- Na Marka, żeby wstawał, też wołałeś „na palcach”?

- Słyszałaś?

- Cały dom słyszał.

- Nie przesadzaj i nie kłóć się.

- Nie mam zamiaru się kłócić - Jolka przewróciła się na kocu, dając Michałowi sposobność obejrzenia jej pleców błyszczących od olejku.

- Kładź się koło mnie - zaproponował Marek robiąc mu miejsce na ogromnym, pasiastym kocu - i nie zważaj na nią - szepnął tak, żeby nie usłyszała. - Ledwie ją dobudziłem. Chyba naprawdę cię słyszała, ale później spała jak suseł. Ja z tą szklanką wody - mówił dalej cicho - to żartowałem. A w ogóle, to powinienem was przeprosić. Jolkę już przeprosiłem. Głupio wczoraj wyszło. Ale żebyś wiedział, jak ja się dzisiaj czuję - zajęczał.

Po tej samokrytyce Michałowi nie wypadało odpowiedzieć: dobrze ci tak. Wyciągnął się koło Marka. Jolka podparła się na łokciach, obejmując krytycznym spojrzeniem wycinek plaży przed sobą, przypominający fragment wybiegu na pokazie mody.

- Spójrzcie, całkiem efektowne bikini - przewróciła się na bok w ich stronę. - Zresztą, co wy się na tym znacie - dodała.

- Ja się znam - zaprotestował Michał. - Ty w tym swoim szafirowym kostiumie wyglądasz, w każdym razie, cudownie.

- Mógłbyś się we mnie zakochać?

- Nie mógłby - zaprzeczył Marek.

- Dlaczego?

- Bo już jest w tobie zakochany - zaśmiał się chyba po raz pierwszy w tym dniu i w ogóle po swoim występie w „Ermitażu”. - Nie widać tego po jego cielejących oczach?

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że tylko cielećta nogą się we mnie kochać? - Jolka wróciła do normalnego dla niej stylu.

- Czy to chciałeś powiedzieć? - Michał uniósł się na kocu. - No, przyznaj się - usiłował to powiedzieć groźnym głosem.

- Czego się czepiasz - Marek sięgnął do koszyczka Jolki, wyciągnął swój czepak kąpielowy. - O tych cielejących oczach nie ja wymyśliłem. Już starożytni Rzymianie powiadali - mówił ze sztuczną powagą - że człowiek zakochany, w różnych stadiach rozwoju tej choroby upodabnia się do różnych zwierząt.

- No, no, nie krępuj się - zachęcił go Michał.

- Ma więc cielejące oczy - od tego się zaczyna. Ryczy jak wół, gdy dziewczyna pójdzie z kim innym na lody albo do kina...

- Starożytni Rzymianie nie chodzili do kina - zauważył gwoli ścisłości Michał.

- No to na igrzyska. Waruje koło niej jak pies - już macie trzecie zwierzę.

- Łasi się jak kot - dopowiedziała Jolka.

- Właśnie.

- Znosi jej błyskotki jak sroka - dorzucił rozbawiony Michał.

- Dobrze - pochwalił Marek. - Stara się być takim, jakim ona chciałaby go widzieć.

Zmienia się dla niej...

- Kameleon! - wykrzyknął Michał.

- A w ogóle - Marek zapiął pod brodą sprzączkę paska - to zachowuje się jak osioł.

Tak mawiali starożytni Rzymianie i pewnie mieli rację. No, kto szybciej do boi. Ruszcie się - chwycił Jolkę za rękę, poderwał ją z kocyka.

Michał był pierwszy. Tak się rozpędził, że gdy odwrócił głowę, tamci dwoje zostali za nim kilkanaście metrów.

Na obiad poszli do samoobsługowego baru „Alga”. Marek proponował „Grand”, uprzedzając, że płaci za wszystkich, Michał jednak stanowczo odmówił.

- Mnie na „Grand” nie stać - powiedział po prostu. - Chcesz, idź sam. Idźcie sami - poprawił się.

- Nie gadaj głupstw - rozłościła się Jolka. - Razem przyjechaliśmy, prawda? Michał ma rację - zwróciła się do Marka - jak obliczyliśmy, ty masz najwięcej forsy. Ale i tak jeżeli tu chcemy trochę pobyc na obiady w „Grandzie” nie starczyłoby. Nie tylko dla wszystkich, dla samego ciebie. Nie masz się o co dąsać - pociągnęła go żartobliwie za jasny lok zwisający mu nad uchem. - W „Aldze” też się można najeść.

Nie przewidywali, że czeka ich atrakcja, jakiej nigdy nie mieli w „Grand Hotelu”. Już wchodząc do baru zauważyli w pobliżu na dwóch ławkach gromadkę dość dziwnie ubranych dziewcząt i chłopców. Dziewczyny były przeważnie ładne, ale niechlujne, w mocno przybrudzonych bluzkach i sweterkach. Dwie z nich były boso. Chłopcy, wszyscy brodaci i długowłosi mieli na piersiach łańcuchy z jakimiś wisiorami, a jeden z nich nosił na szyi obrozę, taką zwyczajną, jaką zakłada się psom.

- Hippisi - szepnęła Jolka, zerkając na nich dyskretnie.

Marek tylko wzruszył ramionami. Nie miał nic przeciwko długim włosom i brodom, ale brzydził się wszelakim niechlujstwem.

Zaczynali drugie danie, gdy zauważyli, że za oknami zrobił się ruch. Hippisi jak na komendę zerwali się z ławek i dwoma wejściami wtargnęli do baru. Na ladach stały jeszcze talerze z resztkami potraw i kufle z nie dopitym piwem. Chwyтали talerze oburącz, zgarniali rękami wprost do ust wystygłe kartofle i jarzyny, obgryzali do czysta kości po schaboszczakach. Jedli, a raczej pożerali te resztki w milczeniu i w takim tempie, że nim personel baru zdążył ochłonąć i zareagować, zniknęli tak szybko, jak się pojawili.

- No proszę, chcieliście samoobsługę, mieliście samoobsługę - Marek wskazał głową

na deptak, gdzie zgrupowali się hippisi, żywo nad czymś radząc. - Brrr - otrząsnął się. - Nie wiem jak wam, ale mnie odechciało się jeść - odsunął talerz z ledwie napoczętą pieczenią.

- Ja tam nie jestem taki delikatny - Michał zabrał się do jedzenia. - Jestem głodny.

- Ja też. Ale ubawielichy, co? - roześmiała się Jolka. - Jak myślicie, czy oni tak dla draki?

- Coś ty! - Marek znowu się otrząsnął. - Dla draki ja przynajmniej nie dojadłbym resztek łyka wie po kim. Byli po prostu głodni. Dziwicie się? Pałeta się to po Polsce, dopóki jest forsa - to za pieniądze, a jak się skończy - sami widzieliście. Smacznego - dorzucił ironicznie. - Poczekam na was na ławce.

Okazało się, że czekając na nich wpadł swoim zwyczajem na znakomity pomysł.

- Chcę wam zaproponować wycieczkę do Malborka - oświadczył - i z góry uprzedzam, że musicie się zgodzić.

- Kiedy? - zapytał Michał.

- Teraz, zaraz.

- Myślisz o zamku? Dobry pomysł, tylko że wcześniej trzeba by się tam wybrać.

Czwarta. Na pewno już będzie zamknięte.

- Nie będzie - zapewnił Marek. - Do zamku też możemy się wybrać, ale nie dzisiaj.

Dzisiaj pojedziemy - zrobił maleńką pauzę - na kołduny. Ja stawiam - zakończył zdecydowanie. - Kołduny i taryfę. No, jak?

- Uwielbiam kołduny! - Jolka od razu przyjęła propozycję.

- Nigdy w życiu nie jadłem - przyznał się Michał.

- To mogę was zapewnić, że czegoś tak dobrego nie dostaniecie nigdzie w Polsce.

Tam jest taka restauracja „Nad Nogatem”... Zaklepane?

- Zaklepane!

- Wobec tego jedziemy - Marek nie czekał już na zgodę Michała.

- Ale to będzie ostatni taki wyskok - zastrzegła się Jolka. - Dajesz słowo?

- Daję, daję... Chodźcie, łapiemy taksówkę.

- Czekajcie - przypomniał sobie Michał. - Przecież ja na wpół do piątej umówiłem się ze Stefanem.

- Gdzie?

- W Oliwie.

- Na wpół do piątej? - Marek spojrzał na zegarek.

- Rychło w czas sobie przypomniawsz.

- Obiecałem, że mu przywiozę raketnicę. I do kina mieliśmy pójść...

- W porządku - Marek jak zwykle znajdował wyjście z każdej sytuacji. - Rakiетnicę możesz mu zawieźć, a do kina pójdziecie kiedy indziej. Do Oliwy, to po drodze. Gdzie się umówiłeś?

- Przy pętli tramwajowej.

- Pasuje.

Po paru minutach złapali taksówkę - wspaniałego ongiś, a obecnie mocno już wysłużonego mercedesa - i pojechali do domu; Michał wziął rakiетnicę, Jolka przebrała się i ruszyli do Malborka z przystankiem w Oliwie.

Na pętli Stefana nie było.

- No i popatrzcie, po co ja ją wiozłem? - Michał żałośnie spojrzał na rakiетnicę zawiniętą w papier i leżącą obok niego.

- Właśnie, po co. W ogóle nie rozumiem, po co ją zabierałeś.

- Nie pamiętasz już, Marek, od kogo ta rakiетnica?

- Pamiętam. Od bosmana.

- A dał mi ją specjalnie na drogę. Że w razie...

- W razie czego?

- Nie wiem. Może się przydać.

- A nie wiesz przypadkiem, czy coś takiego można w ogóle używać?

- Na pewno nie wiem, ale wydaje mi się, że można.

- Na pewno można - wtrąciła się Jolka. - Rakiетnica to nie rewolwer, żeby mieć pozwolenie.

- Powiedzmy - Marek ustąpił. - Powiedzmy, że wolno, że może się przydać. A tamtemu, temu Stefanowi, to po co ją wiozłeś?

- Żeby zobaczyć. Właściwie nie on, jego wujek. Interesują go takie rzeczy. Sam kiedyś służył w marynarce, a moja rakiетnica to nie byle co, historyczna. Bosman miał ją na statku w konwoju do Murmańska.

- To rzeczywiście nie byle co - przyznała Jolka.

- W domu ci pokażę.

Do Malborka wjechali w potoku aut z rejestracjami różnych krajów. Większość z nich skręcała na parking przed malborskim zamkiem, którego potężne mury z czerwonej cegły stanowiły turystyczną atrakcję, odnotowywaną zresztą w międzynarodowych przewodnikach znakiem klasy zerowej, czyli najwyższej.

Michał najchętniej zamiast kołdunów wybrałby właśnie zwiedzanie tego krzyżackiego zamku, lecz tutaj rządził Marek inicjator całej tej wyprawy.

Taksówka zatrzymała się na niewielkim podjeździe.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Marek.

Wąskimi schodami zeszli w dół do dużej sali, z której okien widać było szeroko rozlany Nogat.

Marek natychmiast zajął do jadłospisu.

- Proszę, są! - z triumfem pokazał palcem na interesującą ich pozycję.

- Kołduny w sosie księcia Witolda - przeczytała Jolka i parsknęła śmiechem. -

Przyznacie, że nie brzmi to apetycznie - w sosie księcia Witolda!

- Nie przyczepiaj się do głupstw - Marek musiał bronić reputacji lokalu. - W gastronomii nie zatrudniają literatów do układania menu.

- Wystarczy znajomość poprawnej polszczyzny.

- Wystarczy, że zaraz zamówię po podwójnej porcji, żebyście oniemieli z zachwytu.

Przywołał kelnerkę.

- Trzy razy podwójne kołduny.

- Nie ma. Przed chwilą wydałam ostatnią porcję.

Michał i Jolka spojrzeli znacząco na inicjatora wyprawy. Michał był nie mniej zawiedziony, może właśnie dlatego, że nie znał smaku kołdunów i wiele sobie po nich obiecywał.

- To co państwo zamówią?

- Przyjechaliśmy specjalnie na kołduny. Może chociaż z pół porcji.

- Dla niego. Niechby przynajmniej skosztował - Jolka z góry, wspaniałomyślnie zrzekła się na korzyść Michała.

- Zobaczą, ale chyba nie ma.

Nie mieli.

- Wszystko przez tego fujarę - złościł się Marek.

- Jeżeli przez fujarę, to nie przez tego, lecz przez tę. Fujara jest rodzaju żeńskiego - Jolkę na długo nie mogło nic zmartwić, nawet brak kołdunów.

- Fujara, o której myślę, jest rodzaju męskiego.

- A o kim myślisz?

- Jasne, że o kierowcy. Gdyby nie włókł się jak za własnym pogrzebem, starczyłoby jeszcze i dla nas.

- A może przenocujemy w zamku, w jakiejś komnacie ze strachami, żeby było ciekawiej i jutro pójdziemy na kołduny?

- Wiecie, że to jest myśl! - Michał żartobliwie poparł Jolkę.

- Do zamku jakoś się dostaniemy - teraz dołączył się i Marek - jak nie górą, to lochami, bo jakieś lochy muszą tam być, a gdyby strachy okazały się bardzo straszne, Michał ma raketnicę. Możemy wzywać ratunku.

- To co mam podać? - uśmiechnęła się kelnerka.

- Coś równie dobrego jak kołduny.

Po kolacji Marek, który czuł się dalej pilotem wyprawy, wsiadając do taksówki nachylił się do kierowcy.

- Wie pan, gdzie jest takie nieduże jezioro z leśniczówką w lesie, jak się skręca na Chojnice?

- Leśniczy nazywa się Trzaskowski. To co?

- Zawiezie nas pan tam.

- Po co? - zaprotestowała Jolka. - Na jagody?

- Na szynkę z dzika.

Michał już się nie odzywał. Miał to być przecież ostatni wyskok Marka w roli hojnego fundatora. Postanowił więc, że nie będzie go krępował. - Zobaczymy, co z tego wyniknie - pomyślał.

Rozdział IV

- Jejku, jak tu ślicznie! - Jolka przystanęła zachwycona u wylotu przecinki, kończącej się wąskim prześwitem ciemnobłękitnego nieba.

Słońce wisiało już nisko za lasem i jak zwykle o zachodzie barwy stawały się intensywniejsze, z delikatnym nalotem czerwieni w różnych odcieniach. W kolumnowym szpalerze sosenek pnie drzew przybrały kolor mahoni, a klony i buki zmieszane gęsto na drugim planie miały liście jak z połyskliwej blachy.

- Ślicznie - powtórzyła dziewczyna.

- Wiedziałem, gdzie was przywieźć. Zobaczycie, jak przejdziemy nad jezioro. Tam, to dopiero otworzą wam się buzie! A jak jeszcze leśniczy wyniesie nam na taras półmisek kiełbasy z dzika...

- Jesteś wstrętny materialista!

- Materialista - może, ale dlaczego wstrętny?

- Bo wstrętny. Dzik jest także jakimś elementem tego wszystkiego - Jolka zatoczyła krąg ręką - a ty go przerabiasz na kiełbasę.

- Nie ja, pan Trzaskowski. A nawiasem mówiąc, lepiej zetknąć się z tym osobnikiem

przy stole, niż na przykład tu, w lesie.

- O wilku mowa - odezwał się Michał, który dotąd milczał. Miedzy drzewami z lewej strony rozległ się szelest, zatrzeszczały łamane gałązki. Coś się tam przedzierało w ich kierunku.

- Myślisz, że to dzik? - Jolka cofnęła się do tyłu, kryjąc się za plecami chłopców.

- Może dzik, może wilk - Michał mówił to spokojnie, ale wcale nie czuł się pewien.

Atmosfera lasu, rozciągniętego daleko po obu stronach drogi, a także i to, co opowiadał po drodze Marek o polowaniach na terenie tego właśnie nadleśnictwa, były znakomitą pożywką dla wyobraźni. Myślał szybko, co należałoby zrobić w wypadku spotkania z dzikiem, gdy uspokoił go śmiech Marka.

- Macie waszego dzika - w spódnicy - machnął ręką w kierunku krzaków.

Na drogę wyszła roślina, młoda kobieta w kwiecistej sukience i w śnieżnobiałej chustce na głowie. Szła powoli, prowadząc za rękę kilkuletniego chłopca. I ona, i dziecko nieśli kobiałki. Nietrudno było się domyśleć, że wracali z wyprawy na jagody. Koło ich nóg kręcił się łaciaty, przysadzisty kundel na krótkich nóżkach, z ogonem skręconym w obwarzanek. To on robił tyle hałasu. Kundel szczeknął na nich bez przekonania i pogonił za ogromnym trzmielcem, który zawirował mu przed nosem. Wszyscy troje zniknęli po drugiej stronie przecinki.

Marek nie przesadzał. Widok, jaki roztaczał się przed nimi, był godzien pędzla mistrza-pejzażysty.

Do jeziora łagodnie schodziła łąka gęsto pokryta kwiatami, kończąca się wąskim sierpem plaży. Wszystko dokoła zabarwione było delikatnym, czerwonym nalotem. Jezioro, stosunkowo wąskie, z prawej i z lewej otaczały lasy. Z boku, idealnie wkomponowana w tło, znajdowała się leśniczówka - kompleks murowanych budynków ogrodzony wysokim płotem.

- Wy nie jesteście głodni, bo ja bardzo - Marek poprowadził ich do furtki. - Szynka z dzika! - zamlaskał, naciskając klamkę.

Klamka nie ustąpiła.

- No, jasne! - przypomniał sobie. - Trzeba dzwonić, tam są psy - szarpnął za zwisającą na drucie obok furtki drewnianą gruszkę. Usłyszeli, jak w głębi domu zajazgotał dzwonek. I to był niestety jedyny dźwięk. Nawet pies się nie odezwał.

- Czekaście! - krzyknął nagle Michał. - Tu coś jest - wyciągnął ze szczeliny głęboko zatkniętą kartkę.

- Daj! - wyrwała mu ją Jolka.

Wszyscy troje odczytali ją głośno i coraz bardziej rzedły im miny.

„Wyjechaliśmy wszyscy do Kartuz - informował leśniczy. - Wracamy późnym wieczorem. Może nawet przenocujemy”.

- A psy? - zapytał Michał, choć było raczej wątpliwe, aby pies otworzył im furtkę i czynił honory domu częstując szynką z dzika i domową kielbasą.

- Tam jest tylko jeden pies - powiedział ponuro Marek, - Zbój. Przypomniałem sobie, że sukę mieli komuś oddać i pewnie ją oddali, a Zbója musieli zabrać ze sobą.

- Wcale nie musieli - zauważyła Jolka. - Chcieli, to zabrali. I co? Ech, ty kopalnio znakomitych pomysłów!

- Więc jak decydujecie, czekamy? - zapytał nieśmiało Marek.

- Na co? Na tramwaj?

- Czemu na tramwaj, przecież taksówka stoi na szosie. A licznik sobie bije, bije...

- Nie sobie, Jolka, nie sobie - sprostował Michał - Markowi bije.

- No właśnie! Mnie, nie wam. I po co ta mowa. Przecież nie moja wina, że ich gdzieś poniosło.

- Nawet wiemy gdzie, do Kartuz.

- Nawet wiemy, że może przenocują - uzupełnił Michał.

- Niech nocują, a my...

- Wracamy do Sopotu.

- Do czego się tak spieszysz? Zdążysz się wyspać. A my... - Marek popatrzył na nich wzrokiem zdobywcy odkrywającego nowy ląd - wykąpiemy się w jeziorze.

- Nie! Ty masz zawsze pomysły!

- To źle, że je mam? Zobaczysz, Jolka, jaka tam woda. Kryształ!

- Niczego nie zobaczę. Wracam do domu. Nie zabrałam zresztą kostiumu - dodała, uważając że ten argument zamyka dyskusję. Pewnie, to był argument, ale nie dla Marka.

- My też nie zabraliśmy - wzruszył ramionami. - Robi się ciemno, ty wejdiesz do wody z jednej strony, my z drugiej, nie będziemy podglądać.

- Na pewno nie będziecie.

- No widzisz...

- Nie będziecie, bo nie wejdę do wody - przeszła parę kroków w kierunku szosy.

- No i dokąd idziesz? - roześmiał się Marek.

- Retoryczne pytanie. Do taksówki.

- Sama pojedziesz?

- Czekaj, Jolka! - Michał ruszył za nią, ale Marek mocno przytrzymał go za ramię.

- Zostaw ją. Chce, niech wraca. Wstydzi się kąpać bez kostiumu - szepnął do ucha

Michałowi - poczeka na nas w taksówce. Jeżeli się namyślisz, wiesz, gdzie jesteśmy - krzyknął za dziewczyną.

- Jak się namyślicie, ale szybko, wiecie gdzie będę - odkrzyknęła nie odwracając się. - Czekam pięć minut z zegarkiem w ręku.

- Idziemy, Michał - Marek pociągnął przyjaciela za rękę. - Kąpiel dobrze nam zrobi. A to po co bierzesz - przystanął. Michał zabrał z taksówki raketnicę, zresztą na prośbę Marka, który chciał, aby się nią pochwalił przed leśniczym. - Zostaw gdzieś tutaj.

- Gdzie, tutaj? Żeby mi ktoś podwędził?

- Jak chcesz.

Zeszli do jeziora obok krzaków rosnących niedaleko brzegu, na wysokości leśniczówki.

Rzeczy zostały pod jałowcem, a raketnicę Michał wsunął głęboko między gałązki. Ledwie zamoczyli nogi w wodzie, przyjemnie chłodnej po męczącym upale dnia, doleciał ich z daleka warkot ruszającego samochodu.

- A jednak odjechała - mruknął Michał.

- Świnia - stwierdził Marek. - Pamiętasz, że już w pociągu orzekliśmy, że świnia?

- Popatrz, jak to jest. Mówisz do dziewczyny; ptaszku, koteczku...

- Ja tak nie mówię.

- Może ty, nie. Ja też. No więc mówisz tak, czy owak, wymyślasz dla niej najmiłsze, najładniejsze imiona, aż tu raptem okazuje się, że zwyczajna świnia.

- Uprzedziła - Michał był zawsze lojalny.

- Myślałem, że żartuje. A ty, nie?

- Ja też. I co z tego?

- Nic się nie bój. Do domu się dostaniemy. Zauważyłeś, jaki ruch na tej szosie?

- W dzień - Michał wszedł dalej do wody, dał nurka odbijając się daleko do przodu.

Marek nurkował za nim. Wyłynęli po kilku metrach i powoli, równym kraulem popłynęli w kierunku niewielkiej wysepki, czerniejącej na wprost kępą niewysokich drzew.

Trawa była tam bujna, nagrzana słońcem. Prawie nad ich głowami wznosił się błady jeszcze rogal księżycy.

Leżeli milcząc, z rękami podłożonymi pod głowy. Było tak cicho, że w dalekim szczekaniu psa można było odróżnić groźne nutki płochliwego ujadania.

Pomyśleli o tym samym, a Michał powiedział:

- Ktoś przepędził kundla.

- Dobrze mu tak - roześmiał się Marek. - To co? - uniósł się na łokciu. - Chcesz już

wracać?

- Nie chodzi o to, czy chcę. Chyba musimy wracać, bo później naprawdę trudno będzie coś złapać. A do Malborka na piechotę...

- Piętnaście kilometrów - sprecyzował Marek. Popłynęli teraz szybciej, bo i woda była chłodniejsza.

- Może kto pierwszy? - krzyknął Michał.

- Wiadomo, ale niech ci będzie.

Przez kilka metrów szli równo, gdy Michał nagłym zrywem odbił się od razu o metr, a później już za każdym wyrzutem ramion zwiększał odległość. Wyskakując na brzeg, obejrzał się. Zdystansował Marka przynajmniej o dziesięć metrów.

- Nie nocuj tam, za zimno! - zawołał wesoło. Nie patrząc schylił się po swoje rzeczy - palce przecesały trawę, ale ubrania nie było. - Czyżby nie pod tym krzakiem? - zmarszczył czoło i machinalnie zanurzył rękę głęboko w jałowiec. Namacał rakiетnicę.

- Marek, szybciej!

W jego głosie było tyle zdziwienia, co rozpacz.

- Co się stało? - Marek lekko zadyszany stanął: obok niego.

- Zobacz.

- Co? Nic nie widzę.

- O to chodzi, że nic. Gdzie nasze ubrania?

- Nie ma? Niemożliwe!

- Możliwe, możliwe... - Michał wyprostował się, odgarnął z czoła mokre włosy. - Spójrzmy prawdzie w oczy.

- Ba, prawdzie! Prawdzie możemy, gorzej z ludźmi.

- Gorzej? W ogóle klops! Bo pomyśl; goli - to raz, w lesie - to dwa...

- Jeszcze dobrze, że w lesie - Marek w każdym medalu widział zawsze tę jego lepszą stronę. - W lesie możemy przeczekać do przyjazdu leśniczego. Wywołamy go, da nam jakieś ciuchy...

- Ciuchy pewnie by dał, ale kiedy? Napisał, że może przenocuje.

- W najgorszym razie wróci rano. Musi przecież pourzędować.

- Musi, powiadasz? - Michał klepnął przyjaciela po ramieniu. - Ej, ty kopalnio pomysłów, jak cię nazwała Jolka. Nie wiesz przypadkiem, kopalnio, jaki jutro dzień?

- O rety, niedziela! - Marek od razu oklapł. - No, to bracie klops. Masz rację. Ale zaraz - teraz on trzasnął kolegę w plecy. - Rakiетnica! Czekaj, czekaj, nic nie mów - gorączkował się.

- Jakie ty masz naboje?

- Same czerwone. Sprawdzalem.

- W porzadku! - Markowi, wraz z nadzieja na rychly ratunek, powrocil dobry humor. - Jakoś tam będzie, jak mawiał dobry wojak Szwejk, bo jeszcze nigdy tak nie było, żeby jakoś tam nie było. Zauważyłeś za krzyżówką taką dużą polanę, głęboko w lesie?

- Nie, bo co?

- Bo to, żeś gapa. A ja zauważyłem. Obóz! Rozumiesz, obóz harcerski. Niedaleko, może pół kilometra.

- Poważnie?

- Akurat pora na żarty.

- To masz rację, że jakoś tam będzie - Michałowi udzielił się entuzjazm przyjaciela. - Jeżeli obóz, to i wartownik. Wystrzelimy jedną raketę w stronę obozu...

- Zaraz! Ile masz naboji?

- Pięć. Wziąłem całą paczkę. Wystrzelimy jedną na obóz. Jeżeli wartownik nie śpi...

- Nie powinien.

- Właśnie. To zobaczy. I skapuje, jeżeli wie, co oznacza czerwona rakietka.

- Powinien wiedzieć.

- Właśnie. No więc skapuje i obudzi komendanta. A my wystrzelimy drugą raketę - w górę, na nas, żeby wskazać kierunek. Odczekamy z pięć, z dziesięć minut...

- Dobrze, dobrze. Ale teraz nie czekaj. Wal bracie na obóz. Pomyśl, jak to dobrze - Marek podskakiwał koło jałowca, bo zaczął wiać chłodny wiatr - że ten oprych, czy te oprychy, zostawiły nam raketnicę. Mniejsza o ubranie.

- Ty jak coś powiesz - Michał roześmiał się. - Gdyby nie rąbnęli nam ubrań, raketnica nie byłaby potrzebna. - Odwinął ją z papieru i wyjął z futerału. Złamał lufę, wsunął nabój do komory, zamknął i odbezpieczył, wycelował w niebo.

- Nie tam, niżej i bardziej w lewo - Marek ułożył mu rękę. - Teraz!

Michał nacisnął spust. Rozległ się głośny huk, rakietka poszybowała, by za chwilę zawisnąć na niebie jaskrawoczerwoną kulą wlokącą za sobą, niby kometa, ognisty ogon. Przez parę sekund wydawało się, że zostanie już tam na zawsze, gasząc swym blaskiem słabo jeszcze świeczące gwiazdy, ale zgodnie z prawem ciężenia zaczęła spływać na ziemię.

- Wal drugą!

Druga poszła niemal prostopadle do góry, tak prosto, że zagapieni ledwie zdążyli uskoczyć przed niedopałkiem sypiącym skrami.

- Teraz poskaczemy sobie i odczekamy - Marek truchcikiem, wysoko unosząc nogi,

biegał w koło jałowca. - Skacz, bo zmarzniesz. Odczekamy z dziesięć minut...

- A zegarek masz? - zainteresował się Michał.

- Psiakość, nie mam - Marek zatrzymał się. - Zostawiłem w wiatrówce.

- Coś ty jeszcze zostawił, legitymację, pieniądze...

- Legitymacji nie zabrałem. Z pieniędzy też niewiele. Taksówkarzowi zapłaciłem z góry do Sopotu. Było chyba nie więcej niż cztery setki.

- To dla ciebie niewiele? Ja miałem pięć dych, a i tego mi szkoda.

- Ale zegarek masz - Marek ujął go za przegub dłoni.

- Zapomniałem zdjąć, zresztą wodoszczelny.

- Mój też wodoszczelny, tissot - westchnął żałośnie. - Trudno, odpiszemy na straty.

Słuchaj, może lepiej nie czekać. Może jedną po drugiej, będą się bardziej spieszyć.

- Nie, nie, odczekajmy.

Nie musieli długo czekać. Z przecinki wypelzły światła rowerowych lamp. Naliczyli pięć. Nieznajomi zsiadli z rowerów, postawili je przy drzewach i stanęli niezdecydowani.

- Tu, do nas! - zawołał Marek.

Zbliżali się powoli, nieufnie. Dwaj z nich byli chłopcami młodszymi od nich, ale pozostali musieli należeć do obozowej starszyny.

- Tu, koło krzaków! - krzyknął Michał. Zatrzymali się.

- To od was te rakiety? - zapytał najwyższy z nich, chudy, w bluzie z podwiniętymi rękawami.

- Od nas.

- Czemu się tak chowacie?

- Bo jesteśmy goli - wyjaśnił krótko Marek. Teraz zaczęli mówić szybko, na przemian, uzupełniając się nawzajem.

- Jakież łobuzy ukradły nam ubrania.

- Mieszkamy w Sopocie.

- Jesteśmy tu na wakacjach.

- Goli, a więc bez dokumentów - stwierdził grubas stojący obok chudego. Trzeci z tych starszych, uzbrojony w pompkę od roweru, poszeptał z kolegami.

- Odprowadzimy was na milicję - zdecydował chudy.

- Zwariowaliście?! - Marek zmarznięty i zdenerwowany stracił zwykłą równowagę ducha. - Do Malborka, a może do Gdańska? Najlepiej od razu na wojewódzką.

- Nie trzeba do Gdańska - chudy, w przeciwieństwie do obydwu golasów, był bardzo spokojny. Jak na ich gust, aż za spokojny. - Tu, niedaleko we wsi jest w sezonie placówka

ORMO. Tam was zaprowadzimy.

- Spróbujcie! - Michał powiedział to tonem nie zachęcającym do próbowania. - Dostaniecie taki wycisk, że was rodzony komendant chorągwi nie pozna!

- Ja jestem komendantem chorągwi - przedstawił się grubas, jak im się wydało nieco rozbawiony sytuacją. - Ten druh powiada - wskazał na tego z pompką - że możecie być dywersantami, którzy ściągnęli nas tutaj, żeby przebrać się w nasze mundury.

- To ten druh jest durniem - orzekł stanowczo Michał. - Ale wam naprawdę się dziwię. Komendant chorągwi...

- Druh jest komendantem hufca - powiedział gruby.

- Tym gorzej dla niego i dla hufca.

- Kiedy...

- Czekać, dajcie mi skończyć. Po pierwsze, skąd mogliśmy wiedzieć, że zjawicie się właśnie wy, w mundurach.

- Mogło wam chodzić o jakiegokolwiek ubrania.

- Powiedzmy. Ale rakiety mogły ściągnąć niekoniecznie kogoś w jakichkolwiek ciuchach. Mogło się zjawić wojsko albo milicja...

- Też racja - przyznał chudy. - A możecie powiedzieć, skąd macie raketnicę?

- Możemy - zgodził się Michał. - Z konwoju do Murmańska.

- Żarty?

- Mam przyjaciela bosmana i ta raketnica, to od niego. Pamiątka.

- Chyba, że tak - chudy podszedł bliżej pozostawiając tamtych nadal w przyzwoitej odległości od jałowca. - Oni są rzeczywiście goli - poinformował.

- Goli i zmarznięci - uzupełnił Marek.

- A ja im nie dowierzam - upierał się ten z pompką. - Uważajcie, druha, bo mogą was czymś zdzielić.

- Jeżeli kogoś miałbym zdzielić - zaklekotał zębami na dobre już zmarznięty Marek - to przede wszystkim was.

- Spróbujcie! - druh komendant podniósł pompkę.

- Słyszeliście - zawołał. - Oni nam grożą!

- Dajcie spokój - chudy zsunął czapkę z czoła. - Jakby wam pomóc? - zafrasował się. - Sami mamy tylko bluzy i spodnie.

- Niech jedni dadzą spodnie, a inni bluzy - zaproponował Marek.

- Akurat! - druh z pompką od razu zaprotestował.

- A sami może mamy ganiać w gatkach, co?

- Dobrze, dajcie chociażby gatki - Michał godził się już na wszystko. - Przejdziemy do was do obozu, a tam już będzie łatwiej coś dla nas wyszukać.

- Gatki, mówicie - chudy dla odmiany nasunął czapkę na oczy.

Dyskusja trwałaby pewnie dłużej, gdyby na arenie wydarzeń nie pojawiły się następne osoby. Najpierw długie światła reflektorów zakreśliły szeroki łuk, następnie ktoś zapytał władczy, zdecydowanym głosem:

- Co tu się dzieje?

Władza - pomyślał Michał. Był to istotnie milicyjny radiowóz, ściągnięty nad jezioro sygnałami czerwonych rakiet.

- Nic się nie dzieje - Marek żałośnie zakłapał zębami. - My stoimy goli i marzniemy, a druhowie zastanawiają się, czy popędzić nas pod konwojem na milicję, czy dać swoje gatki i zabrać do obozu.

- Zaraz, zaraz! - od radiowozu, który zatrzymał się w pobliżu z nie wygaszonymi reflektorami oświetlającymi wymienioną już arenę, podeszli dwaj mundurowi: sierżant i plutonowy. W strudze światła błyszczały ich dystynkcje.

- Więc powiadacie, że jesteście goli? - sierżant zatrzymał się o krok od nich obrzucając ich uważnym spojrzeniem.

- Nie musicie nam wierzyć na słowo - mruknął Michał.

- Prawda, nie musimy - plutonowy uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał i zapytał urzędowym tonem:

- Czy obywatele mieli w ubraniach pieniądze?

- Mieliśmy - odpowiedzieli jednocześnie.

- Ile?

- Ja, około czterystu złotych.

- A ja równo pięć dych.

- Zgadza się sierżancie - plutonowy kiwnął głową w stronę kolegi. - Zegarek też był?

- Był. Tissot.

- Zgadza się - stwierdził z kolei sierżant.

- Panowie! - Michał pierwszy zorientował się, co znaczą te pytania i to dwukrotne „zgadza się.” - Macie ich?!

- Mamy.

- I ubrania? - upewnił się Marek.

- Czemu się głupio pytasz? Gdyby nie mieli ubrań, nie wiedzieliby, co w nich jest.

- Zgadza się - padło po raz trzeci, a po raz drugi zapytano o raketnicę.

- Skąd ją mamy? Z konwoju do Murmańska - odpowiedział Michał.

- Z milicji się nie żartuje. Milicji się zeznaje - upomniał go plutonowy.

- Ja właśnie zeznaję. Od bosmana, od jednego bosmana.

- W porządku - przerwał sierżant. - Później sobie wszystko opowiemy, a teraz najwyższy czas, jak sądzę, żebyście się wreszcie ubrali. Nie zimno wam przypadkiem?

- Jeszcze jak zimno! - zaklekotał Marek. Plutonowy przyniósł ubrania, chłopcy przebrali się i cała kolumna, w tym również harcerze z rowerami, ruszyła do radiowozu.

Wszyscy, choć o tym głośno nie mówili, byli ciekawi oprychów.

- Przekonacie się, ja wam to mówię - dowodził po drodze komendant hufca wymachując pompką, którą dalej trzymał w prawej ręce - że ukradli chłopakom ubrania, bo w zagranicznych nie chcieli się pokazywać.

- Skąd wiesz, że w zagranicznych - zdziwił się chudy.

- Wiem. Przekonacie się, że to dywersanci, na pewno zrzucili ich tej nocy. Ja nawet słyszałem samolot.

Cała grupa natychmiast zareagowała śmiechem. Jedyne druch z pompką zachował powagę. Zmarszczył się jeszcze bardziej i wygłosił sentencję:

- Czujność powinna być jedną z podstawowych cech uświadomionego obywatela.

Milicjanci momentalnie spowaźnieli, ale dochodząc do radiowozu znowu mieli wesołe miny.

Tutaj pękła bomba. Dywersanci okazali się chłopcami w wieku harcerzy - tych najmłodszych. Kierowca zapalił w wołdze światło i można się było dokładnie przekonać, że te zagraniczne ciuchy to również imaginacja druha z pompką. Starszy z „oprychów”, szczerbaty blondynek z rozwichrzoną czupryną, miał gimnastyczną, mocno przybrudzoną koszulkę i połataną dżinsy. Drugi - pyzaty i piegowaty nosił takie same dżinsy, tyle że jeszcze bardziej połataną, i koszulkę z pedetu za siedemdziesiąt złotych. Jak się łatwo domyśleć, nie mieli również włoskiego obuwia, lecz zwykłe gumki, jak cała reszta mocno wysłużone.

Druh z pompką nic już nie mówił. Inni harcerze także - żeby go nie dobijać. Pożegnali się przykładając palce do daszków i odjechali do obozu. Michał i Marek ulokowali się w radiowozie.

- Dokąd nas zawieziecie? - zapytał Michał.

- Do Malborka, na pewno - odpowiedział sierżant - a dalej, zobaczymy.

Zawieźli ich dalej, do Tczewa. Okazało się bowiem, że z Malborka nie mieli żadnego pociągu i musieliby czekać aż do rana. Przedtem oczywiście spisano protokół, a porucznik przesłuchujący chłopców pouczył ich, że raketnicy mogą używać jedynie osoby do tego

upoważnione i w konkretnie uzasadnionych wypadkach. Zgodził się także, że w tym wypadku użycie było usprawiedliwione i oddał raketnicę Michałowi.

- Ale pamiętaj, kolego - powiedział - że to ma być naprawdę pamiątka. Tylko pamiątka - podkreślił. - No i przyjemnych wakacji, chłopcy. I jeżeli mogę wam radzić, znajdźcie sobie lepsze sposoby spędzania czasu, niż rozbijanie się taksówkami i nocne kąpiele w jeziorach.

- To była jedna kąpiel i w jednym jeziorze - sprostował Michał, jak zwykle dokładny.

- Ja tak ogólnie. Cześć, chłopaki!

Pożegnali się serdecznie z sierżantem i plutonowym, którzy kończyli służbę i z nową obsadą radiowozu odjechali do Tczewa.

- No i powiedz, potrzebne nam to było - szepnął Michał rozpierając się wygodnie na tylnym siedzeniu wołgi.

- Co?

- No, to wszystko. Kołduny, których nie zjedliśmy, kąpiel która dobrze, że tylko tak się skończyła...

- Powiedziałeś: dobrze, czyli było potrzebne - Marek roześmiał się.

- Ech, kiedy z tobą nie można poważnie.

- Na powagę masz jeszcze czas. Usiądziesz po wakacjach na pierwszej lekcji i od razu będziesz poważny.

Do mieszkania w Sopocie weszli po cichu, nie budząc nikogo z domowników. Michał przyłożył ucho do drzwi pokoju Jolki. Dziewczyna jak gdyby wyczuła, że ktoś jest na zewnątrz, przewróciła się na łóżku i coś zamamrotała przez sen.

- Śpi - orzekł Michał. - Do południa będzie spała.

- Niech śpi - Marek, starając się nie robić hałasu, wolno i ostrożnie przekręcił klucz w zamku. - My też chodźmy spać.

- Wiesz co? - zapytał już w łóżku.

- Nie wiem. Jakiś nowy pomysł, Marek - westchnął z rezygnacją - czy ty zawsze musisz mieć jakieś pomysły?

- Muszę - Marek także westchnął. - Taka już moja natura, bracie. Nic na to nie poradzę.

- Skoro nie poradzisz, to już mów. Co to znowu za pomysł?

- Wstaniemy wcześniej rano...

- Już jest prawie rano.

- Nie przesadzaj, pierwsza.

- No więc?
 - Wstaniemy wcześniej rano...
 - Ty także?
 - Jeżeli używam liczby mnogiej...
 - No dobrze, wstaniemy i co?
 - Ubierzemy się w to, w czym wróciliśmy, żeby Jolka nie mogła sprawdzić i urwiemy się.
 - Komu?
 - Jak to komu - Jolce.
 - Rozumiem. Chcesz, żeby się trochę pomartwiła.
 - A ty uważasz, że jej się to należy?
 - Należy - przyznał Michał. - A swoją drogą - powiedział po chwili - gdyby Jolka nie odjechała, gdybyśmy mieli taksówkę, niewykluczone, że nie mielibyśmy ubrań.
 - Czekał, bo nie rozumiem.
 - Przecież to proste. Zostalibyśmy bez ubrań wszyscy troje, ale jeden z nas przekradłby się do taksówki, okrylibyśmy się kocami...
 - W taksówce były tylko dwa koce.
 - Ale z tyłu leżał płaszcz kierowcy. - Okrylibyśmy się kocami i co?
 - I wrócilibyśmy do Sopotu bez ubrań.
 - Przecież milicja odebrała nasze rzeczy.
 - Oj Marek, Marek, odebrała. I co z tego? Nie było w nich żadnego dowodu, żadnego adresu.
 - Masz rację. Śpij. Ale się urywamy - przypomniał sobie odwracając się do ściany.
 - Możemy się urwać. Tak, czy inaczej, nauczka jej się należy. Niech się trochę pomartwi.
 - Myślisz, że będzie się martwić?
- Michał roześmiał się.
- Myślę, że nie bardzo. Dobranoc.

Rozdział V

Wyszło zupełnie inaczej, niż to sobie zaplanowali. Nie oni zaskoczyli Jolkę, lecz ona ich. I to niespodzianką zmieniającą dokładnie wakacyjny program całej trójki.

Po nocnych przeżyciach chłopcy zasnęli kamiennym snem. Spaliby dłużej, gdyby nie

Jolka. Zegar w holu wybijał południe, kiedy wtargnęła do ich pokoju.

- Chłopaki, pakować się! Eksmisja!

Nie zareagowali. Marek wyżej podciągnął kołdrę na głowę.

- No, już! - jednym szarpnięciem zerwała z niego nakrycie i z okrzykiem: proszę! - wybiegła na korytarz. Marek miał na sobie jedynie bluzę od piżamy, rozpiętą przy tym od góry do dołu.

Zamknęła drzwi i zaczęła w nie łomotać, bez obawy, że zdenerwuje tym kogoś z domowników - byli w mieszkaniu sami. Jego właścicielka wyszła na miasto razem z gośćmi, którzy stali się przyczyną zapowiedzianej przez Jolkę eksmisji.

Po kilku minutach w pokoju zaczęto się ruszać. Wreszcie drzwi uchyliły się i wyrzął zaspany Michał.

- No i czego? - zapytał niezbyt uprzejmie.

- Nie mów się „czego”, tylko „czegój” - poprawiła go dziewczyna - jeżeli chcesz już uchronić za wieśniaka.

- No więc czegój - Michał wpadł w rolę. - Czegój chceta skoro świt?

Roześmieli się.

- Ubierajcie się, chłopcy. Musimy zmienić lokal.

- Dlaczego, źle nam tutaj?

- Dobrze, ale musimy. Do naszej gospodyni zjechała się familia. Wyście jeszcze spali.

- Marek dalej śpi.

- To go obudź.

- Zaczekaj chwilę, Jola. Za pięć minut jesteśmy u ciebie.

Po pięciu minutach chłopcy istotnie zameldowali się w sąsiednim pokoju.

- No więc co to za numer? - Marek jak zwykle, gdy był zmuszony do nagłego opuszczenia łóżka, nie ukrywał złego humoru. - Znowu chcesz zrobić z nas balonów?

- Dlaczego znowu?

- No, nie! Ona jest kapitalna! Słyszałeś, Michał? Dlaczego znowu? A wczoraj, co było wczoraj? Urwałaś się taksówką, a my jak głupcy na golasa sterczeliśmy pod krzakiem.

- To czemu żeście się nie ubrali?

- W co? - Marek westchnął. - Co myśmy przeszli, to tylko ja wiem i Michał.

- Mam nadzieję, że i mnie opowiecie.

- Niczego ci nie opowiemy. Przeczytasz sobie.

- Nie rozumiem.

- Napiszemy na ciebie skargę do „Filipinki”.

- Do „Filipinki”? - Michał machnął ręką. - Daj spokój, Marek. To babskie pismo, nie wydrukują.

- Myślisz? No to do „Hodowcy”.

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

Marek nie zdążył się uchylić. Z łóżka, na którym przysiadła Jolka błyskawicznie wystrzelił twardy, mocno nabity jasek trafiając go w głowę, odbił się i rykoszetem uderzył w wazon z mieczykami. Na stół i na dywan polała się woda.

- No i widzisz, coś ty narobił - Jolka z dezaprobatą pokiwała głową. - Cały dywan zalany!

- Ja?! Ja rzuciłem jaśkiem?

- Mogłeś go złapać.

- Przestańcie jazgotać - zdenerwował się Michał. - Więc co z tą eksmisją?

- Tak, jak ci powiedziałam, musimy się wynieść.

- Ani mi się śni! - Marek zaprotestował. - Zapłaciliśmy za cały miesiąc.

- Pieniądze chyba nam zwrócą - zafrasował się Michał.

- Tego by brakowało, żeby nie zwrócili! To rozumiałe. Ale była umowa, że na miesiąc i do końca miesiąca krokiem się stąd nie ruszę.

- Cały czas będziesz sterczał w pokoju?

- Nie wygłupiaj się, Jolka! Do końca miesiąca mam prawo korzystać z mojego pokoju.

Przepraszam, mamy prawo korzystać z tych dwóch pokoi i nie mam zamiaru z tego prawa rezygnować.

- Czekaj, daj jej skończyć - wtrącił się Michał. - Powtórz całą rozmowę.

- Nie ma wiele do powtarzania. Nasza gospodyni zaprosiła na lato córkę z rodziną.

Mieli przyjechać jeszcze przed nami, ale nie przyjechali, bo do nich z kolei zapowiedzieli się krewni męża z Belgii. Córka mieszka w Ostródzie. Nad Jeziorem Drwęckim.

- To na Mazurach - zauważył Michał.

- Wiem, że nie w Bieszczadach. No więc Belgowie zjechali do Ostródy, ale że jezioro to nie morze, zażyczyli sobie Sopotu.

- I tak bez uprzedzenia?

- Czekaj, Marek. Uprzedzili. Napisał list, a w liście, że jeżeli nie będzie odpowiedzi, to znaczy, że mogą przyjechać, że pokoje są wolne.

- Przecież nie są wolne. Zapłaciliśmy do końca miesiąca i nie wiem jak wy, ale ja...

- Jeszcze nic nie wiesz i daj mi skończyć. Matka listu nie otrzymała...

- Wiadomo, nasza kochana poczta.

- Marek! Jeżeli jeszcze raz się odezwiesz...

- Już dobrze, dobrze.

- Nie mogła otrzymać, bo jak się dzisiaj okazało, córka córki...

- Czyli wnuczka.

- Nie, dziadek - parsknęła Jolka. - List pisała właśnie ta wnuczka i pokręciła w adresie.

Nie ten numer domu. I wyszła kołomyjka. Rodzinka razem z zagranicznymi zjechała do Sopotu, a tu pokoje zajęte.

- I będą zajęte - oświadczył kategorycznie Marek.

- Nie będą - zaprzeczyła Jolka.

- Jak to nie będą. Wyrzuci nas siłą, przez milicję?

- Nie musi wyrzucać, sami się wyniesiemy. Obiecałam, że jeszcze dzisiaj zwolnimy nasze pokoje.

- No wiesz! - teraz i Michał się oburzył - sama zadecydowałaś, bez porozumienia się z nami?

- Stukałam - Jolka straciła pewność siebie. - Poczekajcie, to nie wszystko - mówiła szybko nie dopuszczając chłopców do głosu. - Oni tam w Ostródzie mają całą willę, w ogrodzie, nad samym jeziorem. I własną łódź. Przyjechali do Sopotu warszawą. Wieczorem Jurek tą warszawą wraca do Ostródy.

- Jaki znowu Jurek - skrzywił się Marek. - Zdążyłaś go poderwać?

- Odpryśnij, emalio! Jurek, to syn państwa Michalskich, tych z Ostródy. Bardzo miły chłopak. Możemy się z nim zabrać i... uważajcie! Możemy do końca wakacji pozostać w Ostródzie. Pomyślcie, cała chata do naszej dyspozycji, ze wszystkim, co tam jest: z radiem, telewizorem, łodzią...

- Z Jurkiem - odpowiedział złośliwie Marek.

- Tak, z Jurkiem też. Na pewno go polubicie. No to jak, jedziemy do tej Ostródy? Woda jest, łódka jest...

- Sama powiedziałaś, że jezioro nie morze - przypomniał Michał.

- Bo nie, ale czy to ważne? Tu woda i tam woda. Może nawet czyściejsza niż tutaj.

Przypomnijcie sobie te oślizgłe glony na plaży. Człowiek się w nich tapla jak w błocie.

- Ale co morze, to morze - Michał na Mazurach również nigdy nie był, jednak trudno mu było zrezygnować z tego, o czym przez tyle lat marzył: wielka woda z sylwetkami statków na horyzoncie, porty i stocznie, Gdańsk, do którego nawet nie zdążył pojechać...

- Więc jak, decydujecie się?

- Przecież już za nas zadecydowałaś - Marek był nadal obrażony. - Jeżeli o mnie chodzi - oświadczył po chwili namysłu - mogę jechać do tej Ostródy. Tu, na Wybrzeżu znam każdy kąt, a na Mazurach jeszcze nie byłem.

- I ja nie byłam. A ty? - zwróciła się do Michała.

- Ja także, ale nastawiłem się na morze.

- To się przestaw! - Jolka podbiegła do niego, objęła go ramieniem, przyciągnęła do siebie Marka - rozchmurzcie się, chłopaki! Klawo będzie, cała chałupa dla nas!

- Właśnie. Cała chałupa - Michał, jak zwykle, myślał praktycznie. - A zapytałaś się, ile za to trzeba będzie bulić?

- Nic! - Jolka spojrzała na nich z triumfem. - Za te pieniądze, które zapłaciliśmy za Sopot, do września możemy mieszkać w Ostródzie.

- Dobra - Marek już się nie wahał. - Jedziemy do Ostródy.

- Trudno - westchnął Michał - jedziemy.

- No to załatwione! - Jolka, która do tej pory nadrabiała miną, odetchnęła z ulgą. - Idziemy na obiad.

Przed domem na Grunwaldzkiej stała niebieska warszawa i czarny imponujący wóz z zagraniczną rejestracją-

- DS-21 - Marek cmoknął z uznaniem.

- To tych zagraniczników.

- Domyśliłem się. Muszą być ciężko ładowani.

- Mają w Brukseli sklep z konfekcją.

- Nie pytałaś, czy czego nie przywieźli?

- Nie, bo co?

- Kupiłbym jakąś szmatę.

- Lepiej przelicz ile ci jeszcze zostało - roześmiał się Michał. - Sypialny, kolacja w „Ermitażu”, Malbork. Za sypialny ci zwracam.

- Zostaw, dam sobie radę.

:- Powiedziałem i zwracam. A w ogóle, to jeśli chcemy pociągnąć do końca wakacji, nie możemy szaleć.

- Co ty nazywasz szaleństwem - Marek spojrzał na przyjaciela z pobłażliwą wyższością.

- Sypialny, taryfa za dwie stowy? Znajomy ojca miał w Wiśle willę, to znaczy on i siostra. Po rodzicach. Powiadam wam, super komfort. Opylili za półtora miliona. Siostra za tę

forse...

- Po siedemset pięćdziesiąt tysięcy - obliczył Michał.

- Pasuje. Siostrzyczka, jako istota zapobiegliwa i patrząca w przyszłość, kupiła jakąś skromniejszą chałupę i resztę na książeczkę...

- A braciszek? - Jolka domyśliła się dalszego ciągu.

- Braciszek przepuścił spadek - Marek zrobił małą przerwę - w ciągu dwóch miesięcy.

- Idiota!

- Kretyn!

Marek na ten zgodny dwugłos pokiwał głową.

- Fakt, że kretyn, że idiota, ale co użył, to użył. Do dzisiaj miejscowi wspominają te dwa miesiące. Jak jechał na Kubalonkę, to w dwadzieścia sanek. W pierwszych on, w kilku następnych kumple, a w pozostałych: szalik, rękawiczki, paczka papierosów, zapalniczka. Te papierosy i zapalniczka, to oczywiście oddzielnie - wybuchnął śmiechem.

- Kompletny idiota.

- Wyjątkowy kretyn!

- Kto, ja?

- Przede wszystkim tamten. Ale ty także - Michał westchnął z dezaprobatą. - Bo i z czego się cieszysz? Że facet zmarnował w dwa miesiące to, na co jego rodzice pracowali ciężko przez całe życie?

- Przesada - zaproponował Marek - ani ciężko, ani przez całe życie. Wygrali przed wojną na loterii.

- Ach tak - Jolka pomachała komuś ręką.

- Znajomy? - Michał popatrzył w tamtą stronę. W ich kierunku szedł roześmiany blondynek, krępy i puchowaty, w dżinsach i we frotowej koszulce.

- Cześć, Jurek! - zawołała dziewczyna. - A ty - odwróciła się do Michała - nie zadawaj głupich pytań. Nieznajomych przeważnie nie zaczepiam.

Siedząc już w barze mlecznym przy grochówce na boczku - na ten bar mleczny uparł się Michał - zostali poinformowani krótko i rzeczowo, że Jurek przeszedł do ostatniej klasy liceum, uwielbia kino, jest szkolnym mistrzem w dżudo, a musi wracać do domu, państwo Michalscy bowiem prowadzą niewielką fermę drobiarską, a kur, rzecz jasna, nie można pozostawić bez opieki.

- Do końca wakacji mama odpisała na straty trzydzieści kuraków - zakończył swoją relację o fermie.

- Dlaczego na straty - zainteresował się Marek.
- Przepraszam, tak mi się powiedziało - Jurek zorientował się, że to wyszło niezręcznie.
- Mamy je sobie wybierać na obiady.
- Kurczak z mizerią nie jest zły - stwierdził Michał. - I powiadasz, że aż trzydzieści sztuk pójdzie na nasze konto?
- Na konto i na stół.
- Stary, to my przez całe wakacje będziemy opychać się kurczakami.
- Jajkami też - roześmiał się Jurek. - Gdzie są kury, tam muszą być i jajka. A na jajka w ogóle nie mamy limitu.
- Wobec tego - poderwał się Marek - zaraz zasuwamy do twojej mamy z gorącym podziękowaniem za te białkowe kalorie.
- Nic z tego. Oni wrócą dopiero wieczorem, a my musimy zaraz jechać.
- Pewnie kury trzeba nakarmić - domyśliła się Jolka.
- Jakbyś zgadła. Nakarmimy kury, sami się nakarmimy i poprowadzę was w plener. Założę się, że nie będziecie żałować zamiany Sopotu na Ostródę.
- Willa państwa Michalskich stała istotnie niemal nad samym jeziorem, a ściślej - nad kanałem, który szedł w lewo, do śluzy za mostem, a po prawej rozpływał się w jeziorze.
- Zajechali przed dom boczną ulicą od szosy na Gdańsk, ale po kolacji Jurek pokazał im inną drogę - przez ogród.
- Jak na piechotę, to tędy bliżej - informował pokazując na wąską dróżkę nad kanałem, obrzeżoną drzewami. - Tam już jest szosa, widzicie? - wyciągnął rękę - a my pójdziemy na prawo. Pokażę wam „Panoramę”.
- Panoramę, to my i stąd widzimy - Michał wypatrzył na środku jeziora piękną, zgrabną łódź robiącą zwrot do brzegu. - Jolka!
- Proszę? - dziewczyna odwróciła się.
- Nie do ciebie.
- A gdzie masz drugą Jolkę?
- O tam, na jeziorze! Piękna łódź.
- Jolka, uważasz - przypomniał sobie Marek, a raczej wydawało mu się, że sobie przypomniał - to taki skośny kecz z jakimś be...!be...
- Nie becz! - zaśmiał się Michał. - Z bezanem. I nie kecz. Jolka.
- Proszę?
- Znowu prosisz? Kiedy my dalej nie o tobie. To takie męskie sprawy - Marek zrobił

poważną minę.

- Słyszałaś, że jolka, to taki kecz...

- Przestań! - Michał palnął go w plecy. - A ta wasza łódź, to jaka? - zapytał Jurka.

- Nic specjalnego, na dwie pary wiosła. Tyle, że lekka. Z jakiegoś plastyku.

- Może być z plastyku - zgodził się Marek. - To co, popłyniemy?

- Mamy czas. Teraz chciałbym pokazać wam „Panoramę”.

- Ta stąd także jest nielecha. Przed nami błękitna toń jeziora. - Michał mówił to patetycznym tonem.

- Na dalszym planie panorama miasta ze smukłą wieżą kościoła. A może to ratusz?

- Kościół.

- No więc ze smukłą wieżą kościoła, na której załamuje się...

- Nie załamuj się i nie truj - przerwał mu Jurek. - „Panorama”, którą chcę wam pokazać, to ośrodek nad jeziorem. Tak się nazywa. Hotel też się nazywa „Panorama”. Mówię wam, nie gorszy niż w Warszawie. Łazienki, prysznic, w pokojach telewizory.

- We wszystkich? - zainteresował się Marek.

- W apartamentach. Potańczyć też można. Zobaczycie kawiarnię. Dwupoziomowa, podświetlany parkiet...

- Popatrz, popatrz! - Marek cichym gwizdnięciem wyraził swoje uznanie. - Podświetlany parkiet!

Weszli w mocno przeredzony lasek. Po prawej przeświecało jezioro. W wodzie, pokrytej zielonym kozuchem rzęsy, widać było setki bali zalegających wzdłuż brzegu kilkunastometrowym pasem. Dolatywał stamtąd cierpki odór namoczonego drewna.

- Długo to tutaj tak gnije? - skrzywiła się Jolka.

- Nie gnije, czeka na splawienie - Jurek, który występował w roli gospodarza, nieco się zmieszał. Te bale moknące w jeziorze o krok od „Panoramy” istotnie nie dodawały jej uroku.

- A ta wieża, to co? - zapytała Jolka, kiedy znaleźli się na odsłoniętej przestrzeni przed hotelem.

- Na razie nic, tyle że zamknięta, żeby nikt tam nie łąził. - Jurek mówił szybko, zadowolony ze zmiany tematu. - Chcą ją wkrótce odrestaurować. Może zrobią tam jakąś małą kawiarenkę albo izbę pamiątek. W czasie wojny w wieży zagnieździły się pętaki z Hitlerjugend.

- Pies im mordę lizał - Marek machnął ręką, podszedł do wejścia na wieżę. Zamykały je prowizoryczne drzwi, zbite byle jak z nie heblowanych desek.

- Michał! - przywołał przyjaciela. - Popatrz na ten ślad. Ciekawe, co?

Kamienny próg pokrywała cienka warstwa naniesionego wiatrem piasku, w którym odcinał się wyraźnie ślad męskiego buta. Nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby nie fakt, że ślad ten był przecięty w połowie drzwiami.

- Ktoś wszedł do środka, prawda? - szepnęła Jolka, nachylając się nad śladem w piasku.

- A może jeszcze tam siedzi...?

- Ciii! - Marek położył palec na ustach - może przyczał się za drzwiami.

- Czemu ją straszysz? - zachnął się Jurek.

- Bo sam się boi - wyjaśnił Michał - a we dwoje na pewno trochę różniej.

- Co, różniej - Marek nie zrozumiał.

- Jak to co, różniej się bać.

- Nie błaznujcie, chłopaki - Jurek przykucnął przed progiem. - W wieży go nie ma - oświadczył po chwili prostując się - przy samej krawędzi jest także ślad, w przeciwnym kierunku. Ciekaw jestem czy...

- Ja też jestem ciekaw, jak to jest z tymi drzwiami - przerwał mu Marek. - Jeżeli wieża ma lokatora, oczywiście „dzikiego” - mówił wsuwając dłoń w dużą szparę między deskami i obmacując wewnętrzną część framugi - lokator musi mieć łatwy dostęp do mieszkania.

- No i czego tam szukasz - Michał z zaciekawioną przysunął się bliżej. - Dziury w całym?

- Może i dziury.

- Przecież facet może mieć najzwyczajniej klucz od kłódki - wtrącił się Jurek.

- Właśnie, zdjął urzędową kłódkę i założył własną - Jolka na wszelki wypadek odsunęła się dalej od wejścia.

- Czekaście! - Marek wsunął rękę głębiej w szczelinę. - Dajcie mi jakiś patyk - odwrócił się wyciągając drugą rękę.

- Masz - Jolka podniosła z ziemi kawałek uschniętej gałązki.

- Za cienki.

- A może być scyzoryk? - zapytał Jurek.

- Daj.

Marek pogrzebał jeszcze chwilę, coś zgrzytnęło i drzwi się uchyliły.

- Prosta kombinacja - stwierdził odwracając się i pokazując im niewielką zatyczkę. - Wystarczy to wyciągnąć i cały rygiel wyłazi razem z kłódką.

- Czekaj, dla mnie ta kombinacja wcale nie jest taka prosta - Jolka miała wątpliwości.

- Przecież łatwiej byłoby wymienić kłódkę. Mam rację?

- Nie masz - Michał wyręczył przyjaciela. - Kłódki nie mógłby zamknąć z wewnątrz. A tak, podciągnie rygiel, umocuje go od środka zatyczką i nikomu nie przyjdzie do głowy, że ktoś może siedzieć za zamkniętymi drzwiami.

- To może i teraz on tam siedzi? - przestraszyła się Jolka.

- Zamykaj, Marek, ktoś tu nadchodzi - ostrzegł Michał. - Szybciej!

Zasłonili Marka, stali o krok od niego z głowami zadartymi do góry. Dla kogoś z boku byli turystami podziwiającymi kamienny mur.

Marek szybko uporał się z rygłem i zatyczką.

- No tak - wyjął chusteczkę, wytarł ręce ze śladów rdzy. - Idziemy, szanowne Holmesy.

- Ale jeszcze przyjdziemy, prawda? - Jolka popatrzyła na chłopców.

- Jasne, że przyjdziemy - zapewnił ją Marek - tylko albo późnym wieczorem, albo wcześniej rano.

- Ja uważam, że powinniśmy zawiadomić milicję - orzekł stanowczo Michał. - Jeśli ktoś się dekuje tam, gdzie wstęp jest wzbroniony, jeśli, krótko mówiąc, ukrywa się, musi mieć coś na sumieniu.

- Nie przesadzaj, Michał - uśmiechnął się Jurek. - A powiedz tak z ręką na sercu - nie kryłeś się nigdy? Nie miałeś jakiejś mety, gdzie mogłeś się zaszyć tak, że nikt cię nie znalazł? Bo ja miałem.

- Każdy z nas miał - poparła go Jolka. - Ja miałam na wsi u dziadków taką starą piwnicę na ziemniaki, mocno już zapadniętą, schowaną w krzakach bzu. Jak na obiad zapowiadało się coś z kaszą, brrr, nie cierpię kaszy, wychodziłam dopiero na kolację. Mówiłam, że zabłądziłam w lesie.

- No proszę - Marek pokiwał głową - już we wczesnej młodości byłaś kłamczuchą. Zostało ci to na starość.

- Ja kłamię, ja?! Przyłapałeś mnie kiedyś na kłamstwie?

- No... nie, chyba nie - Marek zaczął się wycofywać. - Nie miałaś okazji. Ale wredna to jesteś! - zawołał odskakując na bok.

- Czego się boicie - Jolka zatrzymała się obrzucając ich pogardliwym spojrzeniem. - Nic wam nie zrobię. Po prostu wracam do domu. Cześć! - odeszła kilka kroków, ale bardzo powoli.

Michał i Marek podbiegli, ujęli ją pod ręce.

- Przepraszam - Marek zrobił skruszoną minę.

- I ja przepraszam - szepnął Michał, nachylił się i cmoknął dziewczynę w policzek, co było zaskoczeniem i dla Jolki, i dla niego samego. Oboje zaczerwienili się. Marek i Jurek udali taktownie, że niczego nie widzieli.

- Zajrzemy? - Jurek przystanął przed wejściem do kawiarni „Panorama”.

- Możemy zajrzeć - zgodził się Michał - ale tylko zajrzeć.

Wygląd kawiarni mile ich zaskoczył. Belkowany sufit, podświetlony parkiet, ciekawie przyozdobione ściany - w sumie całość, jaką można by przenieść z powodzeniem do wielkiego miasta. Tak przynajmniej Marek podsumował swoje spostrzeżenia. Spotkało się to z natychmiastową, żartobliwą repliką Jurka: - Dlaczego miałyby się ją przenosić? Zostaw coś i dla naszej Ostródy.

- Dobra, mogę ją wam zostawić - przystał łaskawie Marek.

Postali chwilę obserwując tańczących. Towarzystwo typowe dla turystycznej miejscowości - przewaga młodzieży, stroje bardzo dowolne; wyglądało na to, że część bawiących się tutaj gości przyszła na parkiet prosto z sąsiedniego kempingu.

- Wracamy - Jolka pierwsza wycofała się z kawiarni.

Obok, w niewielkim, pomysłowo zaprojektowanym barku dwóch starszych panów ubranych na czarno emablowało roześmianą sexbombę z włosami koloru nieco przywiedłej marchwi. Dziewczyna miała już mocno w czubie, jedną ręką obejmowała za szyję sąsiada z lewej, drugą mierzwiła czuprynę sąsiadowi z prawej strony. A wszystko to odbywało się przy akompaniamencie piskliwego śmiechu.

- I z czego ona tak rechocze - zachnęła się Jolka, gdy przechodzili wzdłuż bufetu. - Słodka idiotka!

Widocznie dziewczyna domyśliła się, że o niej mowa. Na wszelki wypadek roześmiała się głośniej, przechyliła się nieco do tyłu eksponując jeszcze bardziej okazały biust, opięty ciasno białym golfem i uśmiechnęła się zalotnie do Michała.

- Idiotka! - Jolka powtórzyła epitet. - A ty czemu szczerzysz do niej zęby - napadła na Michała. - Chcesz, możesz ją poderwać. Faceci są tak zalani, że nawet nie zauważą.

- Ona chyba też nie zauważy - Jurek powiedział to z tak poważną miną, że rozśmieszył ich i rozładował sytuację. Zresztą na niedługo.

Dochodzili do willi Michalskich. O parę metrów od furtki leżał w poprzek drogi gruby konar odłamany w czasie potężnej burzy, jaka przeszła nad Ostródą w ubiegłym tygodniu.

Było już ciemno i Jolka nie zauważyła przeszkody. Potknęła się, straciła równowagę i byłaby upadła, gdyby Michał nie podtrzymał jej w porę.

- Puść mnie! - syknęła ze złością. - Z rękami to do tamtej z baru, nie do mnie.

Michał osłupiał. Z tak czarną niewdzięcznością jeszcze się w życiu nie spotkał. Przecież gdyby nie on, wylądowałyby na ziemi. Chciał się jakoś odegrać, ale nie znalazł dostatecznie zjadliwej odpowiedzi, a Jolka już była w połowie ścieżki.

Po kolacji, którą zjedli przed dwiema godzinami, Jurek zaproponował kolejny posiłek, czyli pokolację, który to termin natychmiast się przyjął. Przy pokolacji Jolka co chwila zerkała w stronę Michała. Choć nie dała tego poznać, była wściekła na siebie, bo raz - zdradziła się ze swoją zazdrością, dwa - nie było ku temu powodu, a trzy - niesprawiedliwie, ba - wręcz niegrzecznie potraktowała kolegę.

Kiedy Jurek postawił na stole półciartowaną kurę na zimno i podsunął półmisek Jolce, dziewczyna wybrała najładniejszy kawałek, zawahała się i położyła go na talerzu Michała.

- Mówiłeś kiedyś, że najbardziej lubisz pierś.

Marek już miał coś powiedzieć na ten temat, na szczęście powstrzymał się w porę.

Niewykluczone, że dowcip by mu wyszedł, ale on sam z pewnością nie wyszedłby na tym dobrze.

- Mówiłaś coś do mnie? - Michał udał, że nie dosłyszał.

- Nie, nie! - pochwyciła szybko talerz Marka i również nałożyła mu porcję. Nie mogła teraz pozwolić, choć właśnie przed chwilą zamierzała, aby Michał potraktował ten gest jako wyróżnienie.

Jurek opuścił na chwilę gości i wrócił uśmiechnięty z butelką w ręce.

- Wino z porzeczek i z malin - odczytał z namaszczeniem pięknie wykaligrafowaną etykietkę. - Rocznik tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty ósmy.

Przy drugiej butelce było już tak, jak trzeba. Michał żałował, że nie pojechał do Gdańska, ale nie żałował, że przyjechał do Ostródy. Marek z humorem opowiadał o swoim dziadku hazardziście, który bezskutecznie usiłował wygrać derby.

- Dziadek nigdy nie obstawiał faworyta - mówił obracając w dłoni szklanekę z klarownym, jasnoczerwonym winem. - Wtedy także wybrał sobie konia na oko. Mało kto stawiał na niego i gdyby przyszedł pierwszy, płaciliby jak za zboże.

- A ile płacili za zboże? - zainteresowała się Jolka.

- Nie przeszkadzaj, nie wiem. Tak się mówi. Postawił więc na Sułtana i wyobraźcie sobie, że po drugim okrążeniu jego koń zaczął wyprzedzać po kolei czołówkę.

- Bierze! Bierze! - krzyczał dziadek podskakując na trybunie.

- I wziął?

- Wziął, ale nie Sułtan - Marek dopił wino, oblizał się. - Dziadek jeszcze raz krzyknął:

„bierze!”, stwierdził z przerażeniem, że Sułtan zostaje nagle w tyle, sięgnął machinalnie do kieszeni i zawołał:

- Wziął!

- Jak to wziął - zdziwił się Michał.

- Zwyczajnie, zegarek. Kiedy tak podskakiwał z emocji, ktoś mu buchnął zegarek.

Gromki śmiech skwitował przygodę dziadka hazardzisty.

- Ten zegarek był przeznaczony dla mnie - westchnął Marek. - Złoty, kieszonkowy patek z trzema kopertami. Wyobraźcie sobie jaka forsa! Najdroższy zegarek świata.

- Na moim najtańszym - Jurek spojrzał na swoją ruhlę - jest już za pięć jedenasta. Nie uważacie, że warto by sprawdzić, czy nas nie ma w łózkach?

- Uważamy - Jolka poderwała się pierwsza. - Gdzie nas ulokujesz?

- Gdzie zechcecie. Mogę służyć oddzielnymi sypialniami. Do wyboru: na górze, albo na dole. Gdzie pani wybiera? - skłonił się przed Jolką.

- Na górze.

- A ja proszę na dole - Marek po szkolnemu podniósł dwa palce w górę. - Wolę być jak najdalej od tej nieobliczalnej istoty - uśmiechnął się do Jolki. Wzruszyła ramionami nie odpowiadając na zaczepkę.

Michał został ulokowany w pokoju sąsiadującym z pokojem Jolki. Był to gabinet pana domu. Z uznaniem zlustrował ogromną bibliotekę wypełnioną szczelnie książkami. Przeszedł się po pokoju, rozsunał story zasłaniające całą ścianę. Szerokie, oszklone drzwi wychodziły na taras. Łączył on dwa sąsiednie pokoje - jego i Jolki. Michał oparł się łokciami o żelazny parapet balustrady, rozejrzał się po okolicy.

Przed sobą, na wprost widział ciemną powierzchnię jeziora. Na przeciwległym brzegu odbijały się w nim światła latarni z bulwaru biegnącego równoległe do torów kolejowych.

Spojrzał w prawo. Ponad drzewami mocno przerzedzonego lasu rysowała się na tle nieba najwyższa kondygnacja wieży.

W oknie obok zgasło światło.

Zamierzał wrócić do pokoju, gdy nagle nedorzeczna myśl przyszła mu do głowy. - A gdyby tak zajrzeć teraz do wieży?

Pomysł był nedorzeczny - przyznał to sam przed sobą, ale przynajmniej w pierwszej części łatwy do wykonania. Ponad balustradę tarasu wyrastała korona rozłożystej akacji, wystarczyło sięgnąć ręką. Michał przerzucił nogi przez balustradę i po paru sekundach znalazł się na ziemi.

Nie spotykając nikogo po drodze, dotarł do wieży. W nocnym mroku wyglądała i

tajemniczo, i groźnie. Wiedział przecież, że ktoś się tam kryje, tylko kto i dlaczego? A jeśli to bandzior, który nie ma nic do stracenia? Trzepnie go w łeb czymś twardym i pies z kulawą nogą nie dowie się o tragedii. Chociaż - nie, zreflektował się. Nasi będą mnie szukać.

Domyślą się, dokąd poszedłem. No dobrze - wpatrywał się z napięciem w drzwi zabezpieczone kłódką - znajdują i co z tego? Co mi z tego, że znajdują, jeżeli bandyta wcześniej mnie zatłucze?

Tłumacząc sobie ciągle, że to nonsens, że postępuje co najmniej lekkomyślnie, podszedł do drzwi, włożył rękę w szczelinę. Namacał rygiel i zatyczkę. Wysunęła się bez oporu, rygiel gładko wyszedł z grubej deski. Przytrzymał kłódkę ostrożnie, żeby nie robić hałasu, położył ją z boku, na schodku. Uchylił drzwi.

Przed nim w głębokich ciemnościach zamajaczyły schody. Wymacał nogą pierwszy stopień. Bardzo powoli, zatrzymując się na każdym schodku i nad słuchując, czy coś się nie poruszy, wspinał się w górę. Na podeście przystanął, odetchnął głęboko. Rozejrzał się. W ciemnym pomieszczeniu wąskimi paseczkami prześwitu odcinały się wykusze okienne zabite deskami. Zrobił parę kroków w kierunku najbliższego okna i zatrzymał się wstrzymując oddech. Wiejący dotąd silny wiatr ucichł nagle, liście przestały szeleścić i w tej ciszy wyraźnie wyczuł czyjaś obecność. Wyciągnął rękę. Jego palce zetknęły się z szorstką i zimną dłonią. Krzyknął, rzucił się w tył. W głębokiej ciszy wieży poraził go najpierw stłumiony, urywający się chichot, a w sekundę później spowiła go ciemność mroczniejsza niż czeluście wieży.

Jurek obudził się pierwszy. Było już dość późno, dochodziła dziesiąta. Ubrał się szybko i nikogo nie budząc, wyszedł do sklepu. Kupił mleko, świeży, gorący jeszcze chleb i kilogram pomidorów. Wędlinę i masło mieli w lodówce, po jajka wystarczyło zejść do kurnika.

Postawił na gazie czajnik, na drugim palniku - garnek z mlekiem. Zrobię im jajecznicę z kiełbasą - postanowił sięgając po jajka. - A może wolą na miękko? - zawahał się. - Najlepiej zapytać.

Marek, o dziwo, już nie spał.

- Halo, szefie! - powitał go wesoło.

- Co wolisz, jajecznicę, czy jajka na miękko - Jurek rozsunął zasłony w oknie. - I powiedz z ilu.

- Jajecznica może być z czterech. A na miękko... ze trzy, co?

- Gra. Ubieraj się, zjemy śniadanie i wypłyniemy na jezioro.

- W porządku! - Marek wyskoczył z łóżka, wciągnął spodnie od piżamy, jak zwykle

spął w samej bluzie, i podśpiewując wybiegł do łazienki.

Jolka także już nie spała. Zadysonowała przez drzwi dwa jajka w szklance i kawę z mlekiem, ale bez kożucha.

Jurek zapukał teraz do Michała i nie słysząc odpowiedzi otworzył drzwi.

Pokój był pusty, tapczan nie pościelony. Ranny ptaszek - pokręcił głową z uśmiechem, ale zaraz spowaźniał. Nie, z domu nie wyszedł. Drzwi wejściowe były zamknięte na zasuwę i choć miały również zamek patentowy, i można je było zatrzasać, dobrze pamiętał, że odciągał zasuwę.

Wyszedł na taras. Gałązki akacji poruszały się lekko kołysane wiatrem. Chwilę stał zadumany ze zmarszczonym czołem, wreszcie przechylił się przez balustradę. No tak, mógł zejść tędy - wyprostował się. Ponad drzewami, na tle jasnego błękitu nieba, wieża rysowała się ostro, złowieszczo.

- Psiakrew! - zaklął i wybiegł z pokoju.

Jolka siedziała już przy stole, Marek przeglądał stary numer „Przekroju” pogwizdując melodię z „Love Story”.

- Nie ma Michała! - zawołał od progu.

- To co, że nie ma? - Marek nie oderwał oczu od lektury. - Pewnie poszedł nad jezioro.

- Na pewno - przytaknęła Jolka. - W Sopocie także przed śniadaniem chodził się kąpać.

- I także wychodził oknem?

- Dlaczego oknem - teraz wreszcie i Marek okazał pewne zainteresowanie.

- Bo stąd, z domu, wyszedł przez taras.

- Nie żartuj - Marek odłożył tygodnik. - Skąd wiesz, że wychodził przez taras?

- Bo drzwi wejściowe były zamknięte od wewnątrz na klucz i na zasuwę.

- Daj spokój - roześmiała się Jolka. - Nie wyobrażam sobie Michała skaczącego z tarasu.

- Nie potrzebował skakać. Mógł zejść po akacji. I domyślam się nawet dokąd poszedł.

- Na wieżę! - Jolka zerwała się od stołu wywracając krzesło. - No więc na co czekacie!?

Idziemy!

- Nie pali się - Marek jak zwykle nie tracił spokoju. - I o co ten cały raban. Poszedł, to i wróci. Mogę się założyć, że nim Jurek upitrasi jajecznicę, nasz nocny Marek... - roześmiał się z tego zestawienia.

- Michał - Jurek także się zaśmiał.

- No właśnie, nocny Michał. Więc mogę się założyć, że nasz nocny Michał - zaakcentował te dwa słowa - zdąży na jajecznicę. Zaczynij tylko smażyć. Za zapachem przyleci.

- Obawiam się, że nie przyleci. Gdyby wyszedł niedawno, po pierwsze - nie schodziłby po akacji, od tego są drzwi, a po drugie - tapczan byłby jeszcze zasłany. Położyłem mu pościel na fotelu, nawet jej nie ruszył.

- Nie znasz Michała - zaprotestował Marek. - Michał nie wyjdzie z pokoju, nim nie sprzątnie pościeli.

- Ale on jej nie ruszał! Rozumiesz!

- Skąd wiesz?

- Bo nie ruszał. Pamiętam, że leżała na fotelu dokładnie tak, jak ją tam położyłem.

- Przestańcie z tą pościelą! - dziewczynie łzy zaszkliły się w oczach. - Może tam Bóg wie co... Ja idę, a wy, jak sobie chcecie - wybiegła z pokoju.

Dogonili ją przed furtką.

- Dokąd!? - Marek złapał ją za rękę.

- Puść! - szarpnęła się.

- Chcesz pójść na wieżę? A jeśli wpadniemy w pułapkę? Masz pewność, że będzie tam tylko Michał?

- Myślisz, żeby od razu na milicję - zastanowił się Jurek - może to i racja.

- Najpierw na wieżę! - Jolka odtrąciła Marka. - Michałowi może być potrzebna pomoc już, zaraz, rozumiecie?!

Przekonała ich.

Jurek zawrócił, żeby zamknąć drzwi i zasapany dopędził ich pod wieżę. Drzwi, jak poprzednio, były zamknięte na kłódkę - uporali się z nią w ciągu paru minut.

- Ja pójdę pierwszy - szepnął Marek - tylko ciii... Na paluszkach.

Powoli, stopień po stopniu zbliżali się do górnej platformy. Było tu jaśniej niż na schodach i nagle ujrzeli coś skulonego we wnęce pod oknem.

- Michał? - szepnął zaniepokojony Marek i oglądając się na pozostałych, posunął się o krok.

Jolka odepchnęła go, podbiegła do leżącego.

- Nie ży... - zaczęła rozpaczliwie i urwała, bo z wnęki usłyszeli teraz wyraźne pochrapywanie.

- Śpi - stwierdził z ulgą Jurek.

Michał istotnie spał, w czym ostatecznie - biorąc nawet pod uwagę jego przyzwyczajenie do wczesnego wstawania - nie byłoby nic dziwnego. Dziwna natomiast była pozycja w jakiej ułożył się do snu na kamiennej posadzce, ręce bowiem miał wyciągnięte do przodu na całej długości. Na jednej z nich opierał głowę, druga natomiast była nieco uniesiona do góry.

Manek szybko się zorientował.

- Masz może nóż - odwrócił się do Jurka.

- Mam - podał mu niewielki, lecz bardzo ostry scyzoryk.

- Wystarczy - Marek nachylił się nad przyjacielem i mocno potrząsnął go za głowę. -

Obudź się! - wrzasnął. - Przecież jesteś związany jak baran.

Śpiący poruszył się, przez chwilę mamrotał coś pod nosem, wreszcie otworzył oczy.

- To wy - stwierdził bez szczególnego zdziwienia.

- Wiedziałem, że przyjdziecie - dodał już całkiem rozbudzony. - A to drań! - uniosł głowę.

- Kto cię tak urządził? - Jolka ukłękła obok niego, jeszcze trochę zaszokowana, ale już przychodząca do siebie, to znaczy odzyskująca swój naturalny styl.

- Niby równy chłopak, a dał się związać...

- Jak baran - dokończył Marek, rozcinając ostatecznie sznur łączący ręce Michała z kółkiem wbitym w mur. - Teraz jeszcze nogi - przesunął się na kolanach w drugą stronę.

Nogi były również przywiązane do żelaznego kółka. Wyglądało na to, że budowniczowie wieży wmontowali je z myślą o potomnych, konkretnie o Michale. Na szczęście ktoś, kto zrobił z nich opisany tutaj użytek, nie miał sadystycznych skłonności średniowiecznych katów i nie naciągnął sznurów do oporu. Zwisały na tyle luźno, żeby chłopiec mógł się dość swobodnie ułożyć.

Wreszcie i nogi były wolne. Michał najpierw usiadł, posiedział tak parę minut, aż w końcu z pomocą Marka i Jurka dość chwiejnie dźwignął się i oparł o ścianę.

- Opowiadaj! - gdyby w wieży było widniej, można by zauważyć rumieńce na twarzy opanowanej zazwyczaj Jolki. - Po coś ty tutaj w ogóle przylazł?

- Ba, żebym to ja wiedział - Michał oświadczył to zgodnie z prawdą. - Coś mnie tu przyciągnęło.

- A ktoś cię podciągnął do kółek - roześmiał się Jurek.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego - Michał obruszył się - ciebie też by podciągnął.

- Mnie nie.

- Nawet, gdyby cię zaskoczył?

- Nikt by mnie nie zaskoczył, bo bym po prostu tu nie przyszedł. Sam bym nie przyszedł - podkreślił.

- Michał chciał zostać bohaterem - zaczęła Jolka.

- A że bohaterowie bywają czasem zmęczeni, biedaczek zasnął sobie słodko znużony własnym bohaterstwem. Tak to już bywa z niektórymi bohaterami.

- Przestań, Marek - przerwał mu Jurek. - Fakt, że postąpił nierozsądnie...

- Nierozsądnie? - zaperzyła się Jolka. - Głupio! I to kto?

- Michał - poinformował uprzejmie Marek, patrząc jednak na przyjaciela z nie ukrywanym wzruszeniem.

- Właśnie, Michał! Ten Michał, który był zawsze taki zasadniczy, taki zrównoważony...

- Dobra, dobra! - wreszcie i Michał miał tego dosyć. - Użyłście sobie na mnie, wasze prawo. Każdy zresztą może się wygłupić.

- Może - przyznali zgodnie.

- Więc kto to był - Jolka także była wzruszona prawie tak, jak Marek. - No mówże, głuptasie!

- Żeby to ja wiedział kto - westchnął. - Ktoś, kto miał szorstką i zimną dłoń.

- Skąd wiesz? - Jolka wstrząsnęła się.

- Wiem, bo kiedy znalazłem się na tej platformie, wyczułem czyjąś obecność.

Wyciągnąłem rękę...

- Na dzień dobry, co? - Marek nie wytrzymał.

- Raczej na dobry wieczór - poprawiła go Jolka i raptem spokorniała. - Przepraszam cię, Michał. Nam dobrze żartować, ale wyobrażam sobie, jak się wtedy czuleś. Wyciągnąłeś więc rękę...

- I trafiłem na czyjąś szorstką i zimną dłoń.

- Brrr! I co dalej?

- Jak w kryminalnym filmie. Ktoś mnie czymś trzepnął zniecka w głowę.

- Pokaż, nic ci się nie stało? - przesunęła palcami po Michałowej czuprynie. - O, masz guza! I to jakiego guza. A głowa cię nie boli? - zafrasowała się. - Boli, nie boli, a do lekarza i tak pójdziesz - zdecydowała nie czekając na odpowiedź. - Z takim czymś nie ma żartów. Od mocnego uderzenia może być czasem wstrząs mózgu.

- Widocznie nie było zbyt mocne, bo nawet nieźle się czuję, nic mnie nie boli.

- Ale do lekarza pójdziesz? Przyrzeknij.

- Przyrzekam - uśmiechnął się, ujęty jej serdeczną troskliwością.

- Nim jednak pójdziesz do tego lekarza - znecierpliwiał się Marek - skończ z tą zimną i szorstką ręką.

- No więc straciłem przytomność. Na jak długo, nie wiem. W każdym razie, kiedy się ocknąłem, byłem już spreparowany tak, jak mnie zastaliście. Próbowałem się z tego uwolnić, ale nie wychodziło. Nie dałem rady.

- Zagłoba by sobie poradził - zauważył Jurek.

- A czy to on wygląda na Zagłobę? - Marek wzruszył ramionami. - I tusza nie ta, i pomysłu nie taki... A nie mogłeś krzyknąć? Buzi ci przecież nie zatkał.

- Mogłem. Pewnie, że mogłem. Ale on tu był. Siedział naprzeciw, pod ścianą i chichotał.

- Wariat! - Jolka wzdrygnęła się po raz trzeci. - Najpierw ta zimna i szorstka ręka... I sam na sam z wariatem... Nie, ja bym tego nie przeżyła.

- A ja przeżyłem. I nawet zasnąłem.

- Najmądrzejsze, co mogłeś zrobić. Po co się denerwować. Ciemno, wieża, wariat... Najlepiej zamknąć oczy i niech się dzieje, co chce. Więc jak, idziemy na milicję?

- Jasne! - Jolka wzięła Michała za rękę. - Możesz iść? Nie kręci ci się w głowie?

- Nie kręci i mogę.

- To idziemy - odważnie ruszyła pierwsza i znieruchomiała. - Słyszycie?

- Tak - Marek przełknął ślinę.

- Ktoś tutaj lezie - Jurek odsunął Jolkę pod ścianę. - Wy też, dalej od wejścia.

Cała czwórka przyłgnęła do muru.

Kroki zbliżały się, coraz głośniejsze, ciężko i twardo dudniły po kamiennych stopniach.

Wnętrze spiralnej czeluści schodów rozjaśniało się przy tym, aż w końcu na strop wieży padł świetlisty, rozproszony krąg. Ten ktoś świecił latarką.

Najpierw nad podestem wyłoniła się głowa w milicyjnej czapce, jeszcze parę stopni i u szczytu schodów stanął rosły mężczyzna w mundurze.

- Pan sierżant! - wykrzyknęli razem Marek i Michał.

- To wy się znacie? - szepnęła z ulgą Jolka. - Przymknął was kiedyś?

- Ty się przymknij! - rzucił w jej stronę Marek.

Sierżant tymczasem omiół ich światłem latarki i zdziwiony roześmiał się.

- Golasy!

- A pan sierżant nie w Malborku? - zapytał niezbyt mądrze Marek.

- Gdybym był w Malborku, nie mógłbym być w Ostródzie - stwierdził logicznie

milicjant. - W Ostródzie - dodał - siedzę już dziesięć lat, a do Malborka byłem tylko oddelegowany na parę tygodni. Ale co wy tutaj robicie? Na wieżę nie wolno wchodzić.

Niebezpiecznie.

- Wiem, że niebezpiecznie - Michał pomacał się po głowie. - Jak mnie zdzielił czymś w łeb, ocknąłem się już związany.

- Jak baran - uzupełnił Marek.

- A tamten przez cały czas chichotał. Przez cały czas - dodała z przejęciem Jolka.

- Wesoły Kazik - sierżant pokiwał głową.

- Wesoły Kazik? - wszyscy troje spojrzeli na niego z zaciekawieniem.

- To pan go zna, panie sierżancie? - Michała, rzecz jasna, najbardziej interesowała osoba jego prześladowcy.

- Wszyscy go tutaj znają w Ostródzie i tak go nazywają - wesoły Kazik, pomylenieć, nieszkodliwy wariat.

- Nieszkodliwy? - Michał znowu wymownym ruchem przesunął palcami po głowie.

- Prawda - zreflektował się sierżant. - Jeżeli trzepnął cię po głowie, to znaczy że szkodliwy. I niestety, trzeba się będzie nim zająć. Szkoda, sympatyczne chłopisko.

- A pan sierżant wiedział, że on mieszka w wieży? - zainteresowała się Jolka.

- Zameldowany to on jest u szwagra, na Nowym Osiedlu. Ale lubił tutaj zachodzić.

Przyłapałem go dwa, czy trzy razy i przykazałem, żeby od wieży trzymał się z daleka. Ale do wariata gadać, to jak do lampy. Zachichocze, pokiwa głową, człowiek myśli, że do niego dotarło...

- Najprościej byłoby zamknąć wejście - wtrącił się Jurek.

- Pewnie, że najprościej - zgodził się sierżant i ruszył w stronę schodów. - Idziemy - przywołał ich ręką. - Nie zamierzacie tu chyba nocować.

- Ja, nie. Na pewno nie - zapewniała żarliwie Jolka.

Rozdział VI

Plaża nad Jeziorem Drwęckim nie jest zbyt rozległa i nie można nikomu zginać z oczu.

Michał, Marek i Jurek wyciągnięci na dwóch zsuniętych kocach oparli brody na łokciach i z mieszanymi uczuciami obserwowali parę przechadzającą się w odległości kilkudziesięciu metrów od nich.

Jurek patrzył na tych dwoje pod kątem: pasują do siebie jak Pat do Pataszona. Marek

był zły, bo nie lubił, jeśli ktoś inne towarzystwo przedkładał nad przebywanie z nim samym.

Michał pozornie miał minę obojętną, ale wzięło go najbardziej. Choć odsuwał od siebie tę myśl, był po prostu zazdrosny o Jolkę. Obserwował ich z uśmiechem, który miał być wyrazem największej ironii i dezaprobaty.

Ta para istotnie rzucała się w oczy: chłopak maleńki, drobny i ruchliwy jak wróbelek sięgał Jolce do ramion.

- Mogłaby go nosić zamiast breloczka do kluczy - zauważył Jurek.

- Albo powiesić w samochodzie w charakterze maskotki - uzupełnił Marek.

- Z ich dwojga, to właśnie on ma samochód - stwierdził jak zwykle skrupulatny Michał.

- Własny samochód. A nie może jednocześnie siedzieć za kierownicą i majtać się w oknie.

- Dla mojej przyjemności może się majtać - Marek zmienił pozycję przenosząc ciężar ciała na lewy łokieć; w ten sposób odwrócił się od spacerujących, ale miał przed sobą towarzyszy. - A ten jego samochód, to czyste kpiny. Aż dziw, że takie coś jedzie. I to nawet dość szybko.

- A ja bym powiedział, że oryginalny wehikuł - zaprotestował Jurek. - Czterokolorowy: góra niebieska, dół zielony, granatowy bagażnik, czerwona maska...

- O różowym zapomniałeś - przerwał mu Marek.

- Różowy? A gdzie tam masz różowy?

- Wszędzie. Zapomniałeś o częściach posklejanych różowym leukoplastrem.

Roześmiali się.

Waldka, bo o nim była mowa, poznali przed dwoma dniami przez Jolkę. Spotkała go w pawilonie z lodami i przez długą chwilę nie mogła od niego oderwać wzroku, że takie to małe, a tak objuczone. Chłopak miał przez jedno ramię przewieszony reporterski magnetofon, z drugiego zwisała mu potężna kamera, u szyi natomiast dyndał aparat fotograficzny proporcjonalny do kamery, z imponującym teleobiektywem.

Filmowiec, bo tak go później czasem nazywała nasza czwórka, przyjął zapatrzenie Jolki jako podziw dla własnej, niezbyt okazałej osoby, a że dziewczyna ogromnie mu się spodobała, potrząsnął rudawą czupryną, zerwał z ramienia kamerę i obiektyw wycelował w Jolkę.

- Migawka z wczasów, do kroniki - wykrzyknął uprzedzając jej sprzeciw. - Proszę, niech się pani przesunie, o tu, bliżej - zamachał wolną ręką w stronę bardzo tęgiej niewiasty w sukni w szerokie biało-brązowe pasy, które zamiast ją wyszczuplać, wywoływały skojarzenie

z beczką piwa. Wezwana, liżąca łąpczywie lodu aż pisnęła z wrażenia.

- To ja będę na filmie? Rety!

- I pani będzie i ten pan - filmowiec wywołał z grupki łysego olbrzyma z twarzą boksera wagi najcięższej. - I ty także - kolejną ofiarą jego filmowego tokowania stała się dziewczynka z warkoczykami. Tokowania, bo Jolka od razu zorientowała się, że wszystko na jej konto.

Obiektyw kamery wędrował wprawdzie po całym lokalu, ale charakterystyczny terkot rozlegał się tylko wówczas, gdy kamera była skierowana na nią.

Uśmiechnięta wysunęła się z tłumu i powoli poszła aleją wzdłuż jeziora. Była przekonana, że za nią pobiegnie. Nie omyliła się. Po kilku minutach posłyszała za sobą tupot szybkich kroków, szczeł żelastwa i chrzęst rzemieni.

- Ja panią bardzo przepraszam - zaczął wyrastając spod jej ramienia - ale gdyby pani miała chwilę czasu...

Zwolniła kroku, odwróciła się. Patrzył na nią z uwielbieniem.

- Czasu, to ja mam bardzo dużo - odpowiedziała. - Jestem tu na wakacjach.

- A ja służbowo - oświadczył poprawiając zsuwający mu się z ramienia magnetofon. - Robię, wie pani, takie migawki z wczasów. Niewykluczone, że wyszłaby jakaś całość. Coś fabularnego. Ale musiałbym mieć kogoś, kto by mi powiązał fragmenty.

- I chciałby pan, żebym to ja je panu wiązała...

- Bardzo bym chciał. Jest pani urocza, fotogeniczna. Twarz stworzona do filmu.

- Nikt mi jeszcze tego nie mówił.

- Po prostu tylko dlatego, że nie spotkała pani pewnie nikogo ze świata filmu.

Jolka przystanęła i taksującym spojrzeniem obrzuciła ten świat filmu. Zrobiła to tak ostentacyjnie, że chłopak zmieszał się, ale szybko odzyskał właściwy mu tupet.

- Szuka pani we mnie czegoś szczególnego - zaśmiał się. - No cóż, wyglądamy jak zwyczajni ludzie...

- Nie bardzo - zaprzeczyła myśląc, że ten tutaj jest nadzwyczajny. Nadzwyczajny bufon.

Przyjął to za dobrą monetę i trąkotał dalej zastępując milczącą w tej chwili kamerę.

- A w ogóle, to będziemy tu kręcić film. Pełnometrażowy. I co ważne - z ograniczoną do minimum obsadą aktorów zawodowych. Główne role zagrają amatorzy...

- Może i dla mnie coś by się znalazło? - uśmiechnęła się do niego zalotnie, grając już teraz pierwszą naiwną. - Występowałam kiedyś w naszym szkolnym teatrze. Pani dyrektorka powiedziała, że mam talent.

- Musielibyśmy sprawdzić - powiedział to tak protekcyjnym tonem, że nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

Speszył się i zmienił temat.

- Pani tu prywatnie, czy na jakimś obozie?

- Prywatnie. Z dwoma kolegami - położyła nacisk na tym ostatnim zdaniu i z zadowoleniem stwierdziła, że filmowiec tymi kolegami, i to aż dwoma, nie był specjalnie zachwycony. - Przepraszam, wprowadziłam pana w błąd...

- Żadnych kolegów nie ma, prawda? - ucieszył się.

- Ależ są, są, tylko, że nie dwaj. Na wakacje wybraliśmy się w trójkę, to znaczy ja i ci dwaj, ale tu w Ostródzie doszedł trzeci.

Filmowiec westchnął.

- A oto właśnie oni - Jolka pomachała ręką nadchodzącej bulwarem trójce.

W prezentacji, zwyczajem młodzieżowym, nie wymieniano nazwisk, więc Jolka zaczęła Waldkowi mówić po imieniu. Chłopcom nie zaimponowała ani jego kamera, ani reszta wyposażenia. Ożywili się dopiero na widok syreny parkującej obok hotelu, do której podprowadził ich z dumną miną posiadacza.

- Czegoś takiego jeszcze nie widziałem - przyznał szczerze Jurek.

- Jeździ? - zainteresował się Marek.

- Nawet setkę wyciągnie - filmowiec przesunął pieszczotliwie dłonią po czerwonej masce. - Kupić nowy wóz, to żadna sztuka. Oczywiście, jeżeli ma się forszę.

- A ty co, ukradłeś?

Filmowiec spojrzał z niesmakiem na Marka.

- Ukraść też nie sztuka. Ze złomu. Była po wypadku, facet machnął na nią ręką i odwiózł do składnicy. Kupiliśmy ją z kumplem na wagę.

- I naprawdę jeździ? - Marek dalej nie mógł uwierzyć, że takie coś może się samodzielnie poruszać.

- Siadajcie! - Waldek otworzył drzwiczki. Jolka usiadła obok kierowcy, chłopcy z tyłu.

W samochodzie zachrypiało, zagrzechotało, syrena poderwała się i zatrzymała tak gwałtownie, że ci z tylnego siedzenia omal nie przelecieli na przednie, a Jolka na zewnątrz.

- Rajdowiec! - warknął Marek.

Rajdowiec odwrócił się do nich roześmiany, zadowolony z efektu.

- Dobra, co?

- Jak dla mnie, to aż za dobra - Jolka naburmuszona rozcierała czoło.

Syrena ruszyła i jak czterokolorowy bolid rwała ulicami Ostródy, budząc u jednych coś w rodzaju podziwu, u innych zaś wywołując kpiące uśmiešky. Wyjechali na szosę w kierunku Olsztynka.

- Dokąd tak zasuwasz? - Jurek pochylił się do Waldka. - Przed siebie?

- Raczej tak - uśmiechnął się Michał. - Gdyby jechał do tyłu, drzewa migałyby w inną stronę.

- A może ta rakietka bierze kierunek w kosmos? - zastanawiał się Marek.

- Bliżej, bliżej - Waldek dodał jeszcze gazu. Strzałka szybkościomierza zbliżała się do setki. - Znacie w Olsztynku „Stylową”?

- Tam gdzie te ryby?

- Więc słyszałeś.

- Niestety, tylko słyszałem - Marek mimo woli przesunął językiem, po wargach.

- No to teraz spróbujesz - filmowiec docisnął gaz do samej deski, syrena jednak prychnęła wzgardliwie i jak gdyby przez przekorę zaczęła zwalniać.

- Wsiadamy? - Marek udał, że chce otworzyć drzwiczki.

- Nie bój się, dojedziemy. Ona ma swoje humory. Jak kobieta - zerknął na Jolkę.

Wzruszyła ramionami. Przed „Stylową” zaparkowali między stalowozarym mercedesem a ciemnozielonym oplem-admirałem. Czterokolorowa syrena wyglądała wśród nich jak klaun na przyjęciu w ambasadzie.

- Idziesz z tymi kłopotami? - zdziwił się Michał, kiedy Waldek po wyjściu z wozu sięgnął po leżące z tyłu aparaty. - Nie możesz tego zostawić?

- Akurat! Żeby mi ktoś podwędził.

- Syrenę też ci mogą podwędzić.

- Naszą syrenę, jak wam mówiłem, kupiliśmy na wagę - pouczył Marka - a te kłopoty kosztowały ciężkie dewizy.

- Racja - Jolka kiwnęła głową. - Masz świętą rację. A poza tym... - zrobiła małą pauzę - masz pewność, że tego twojego wozu nikt ci nie ukradnie.

- Dlaczego?

- Bo gdybym ja, na przykład, ukradła takie coś, wydawałoby mi się, że wszyscy za mną patrzą.

- Z milicją włącznie - dodał Jurek.

- W porządku - filmowiec zamknął drzwiczki. - Niech więc sobie patrzą, a my idziemy na pstrąga.

Pstrąg w galarecie był rzeczywiście wyśmienity. Rachunek, jak za taką rybę niezbyt

duży, zapłacił Waldek.

- Ja was zapraszałem i ja płacę - oświadczył stanowczo. - Jeśli mnie kiedyś zaprosicie na jakąś waszą specjalność...

- Zwróć się z tym do Marka - roześmiała się Jolka. - On ma talent do wynajdowania kulinarnych specjalności. Powiedzmy, takie kołduny w sosie księcia Witolda?

- W jakim sosie?

- Księcia Witolda. Książęce kołduny.

- Albo szynka z dzika - cmoknął Michał. - Powiadam ci, delicje.

- Wyobrażam sobie - Waldek znowu podciągnął kamerę, która miała stałą tendencję do zsuwania się z ramienia. - A ty czemu się krzywisz? - zapytał Marek. - Nie lubisz szynki z dzika?

- Nie lubi - odpowiedziała za niego Jolka. - Marek woli o niej opowiadać, niż ją jeść.

Prawda, Mareczku?

To „Mareczku” zabrzmiało tak pieszczotliwie, że adresat poczerwieniał. Filmowiec natomiast zzieleniałby z zazdrości, gdyby zazdrość istotnie objawiała się kolorowo i to właśnie w takim kolorze.

Od tamtej kolacji Jolka najwyraźniej zwróciła się w stronę Marka. Czy robiła to dla ubawu z Waldka, czy na złość Michałowi - nie wiadomo. W każdym razie Marek - czemu on sam chyba najbardziej się dziwił - został już Mareczkiem. Michał zaś od czasu do czasu bywał obrzucany spojrzeniem na temat: nie chciałeś, dobrze ci tak. No, a Waldek? Waldek cierpiał. Prawdziwie i widocznie. Ale nie tracił nadziei. Był przekonany, że zdarzy się, że musi się zdarzyć coś, co radykalnie zmieni sytuację, oczywiście na jego korzyść. Nie tylko zresztą myślał, ale i o tym mówił.

Już chyba dwudziesty raz zawracali od ogrodzenia, które wyznaczało granicę ich spaceru, w stronę dwóch zsuniętych koców, sponad których obserwowały ich trzy pary oczu.

W tej chwili dwie, bo jak się rzekło, Marek zmienił pozycję.

Zbliżali się do koców.

- Powiedz, ty go naprawdę kochasz? - Waldek ściszył głos, do koców było bardzo blisko. Zawrócili.

- Powiedz.

- Co ci mam powiedzieć?

- To co powiedziałem.

- Powiedzieć, co powiedziałeś? - Jolka roześmiała się. - Skoro już powiedziałeś...

- Nie żartuj! Miłość, to zbyt poważna sprawa.

- Oj, Waldek, Waldek... - pokiwała głową. - Co ty możesz wiedzieć o miłości. Za mały jesteś... Za młody - poprawiła się szybko.

Nie zwrócił na to uwagi.

- Ja, gdybym miał się zakochać w kimś takim, kupiłbym sobie prędeż bar mleczny.

- Bar mleczny?

- A tak. Miałbym tam więcej śmietany.

- Starasz się być złośliwy - stwierdziła z pewnym uznaniem - ale nie bardzo ci to wyszło. Mareczek ma już taką karnację i najważniejsze, że mnie się podoba. Tobie nie musi.

- Ej, wy tam, na ścieżce! - usłyszeli za sobą. To Jurek wołał z koca.

- Dlaczego na ścieżce? - zapytała Jolka zbliżając się do plażowej bazy.

- A co? - Michał podchwycił aluzję. - Przez tę godzinę zdążyliście już chyba wydeptać własną ścieżkę.

- Nie muszę wydeptywać - Jolka przysiadła na kocu, pieszczotliwym ruchem przesunęła dłoń po śmietankowych plecach Marka, które podsmażone nieco na słońcu przybrały teraz kolor poziomkowego koktajlu na śmietanie.

- Zostaw - otrząsnął się. - Masz zimne ręce.

- Przepraszam - nadąsała się. - A co do tej ścieżki - Jolka zawsze musiała mieć ostatnie słowo - wiecie dobrze, że jestem jak ten kot Kiplinga...

- Kocica - mruknął Michał, ale tak cicho, żeby nie usłyszała.

-... który chadza własnymi drogami - dokończyła Jolka i poderwała się z koca. - Chodź Waldek, pójdziemy coś zjeść. Jestem głodna.

- Ja też - Waldek, który w momencie masowania Markowych pleców miał bardzo nieszczęśliwą minę, natychmiast poweselał. Zrobił nawet taki gest, jak gdyby chciał wziąć dziewczynę za rękę, w porę się jednak powstrzymał.

- A swoją drogą, to ty jesteś burek - stwierdził Jurek pod adresem Marka, kiedy tamci dwoje zniknęli w drzwiach parterowego budynku, gdzie mieścił się bar samoobsługowy. - Dziewczyna do ciebie z sercem...

- Nie z sercem, z zimnymi łapami. Brrr! Nie lubię tego.

Michał nie odzywał się. Wyczuwał, że Jolka się zgrywa, że te czułości pod adresem Marka są właściwie kierowane do niego. Mimo to, było mu przykro. Przykro i głupio. No bo przecież Jolka nie była mu obojętna, on jej także, po cóż więc te wszystkie komedie. No i jeszcze ten filmowiec.

Uśmiechnął się, mając przed oczami wniebowziętą gębę Waldka w momencie, gdy zaproponowała, żeby pójść do baru. Dla niego, nawet ta ich lurowata herbata wypita w

towarzystwie Jolki będzie olimpijskim nektarem - pomyślał.

- A co on właściwie robi w tej ekipie? - zapytał, odwracając się do kolegów.

- O kim mówisz? - Marek przekręcił się na plecy i syknął, jego skóra w południowym słońcu zdążyła zamienić barwę z poziomkowo-śmietankowej na truskawkową.

- O Waldku.

- Czy ja wiem, co robi. Że nosi sprzęt, to na pewno. Może jeszcze i wozi...

- Nie macie innych zmartwień? - Jurek sięgnął po plażową torbę.

- Ja mam - westchnął Michał. - Forsa się kończy.

- Też mi zmartwienie - Marek wydał w ryjek swoje grube wargi, co miało oznaczać pogardę dla takich drobnostek. - Nic się nie bój. Grunt, że ja jeszcze mam ze dwa patyki.

Jolka także. Przy nas nie zginiesz.

- Uwielbiam taką mowę - Michał pokiwał głową. - Ty masz i Jolka ma, a ja nie mam.

Rozumiesz. Mam jeszcze tyle, co na powrót i ponadto z pięć dych. A na kredyt nie umiem żyć i nie chcę.

- Przestańcie! - Jurek, który wygrzebał wreszcie z torby dwie talie mocno podniszczonych kart, słuchał ich z rozbawieniem. - Znaleźli sobie temat. Na głowy wam pada? Nie pada. Kurczaki w kojcu są? Są. A w ogóle, to jesteście moimi gośćmi. Wszyscy troje. Jak przyjadę do Warszawy, możecie się zrewanżować.

- Jesteś bardzo równy, ale zrozum...

- Rozumiem, że bez forsy człowiek głupio się czuje, ale w tym przypadku... Czekaj!

Mam!

- Co masz?

- Mam, Michał, forszę dla ciebie.

- Kiedy ty tak, jak Marek. A ja nigdy nie pożyczałem i nie będę pożyczał.

- A czy ja chcę ci pożyczyć?

- A co, dać? Jeszcze lepiej!

- Ani pożyczyć, ani dać. - Jurek usiadł na kocu, widać było, że jest bardzo przejęty swoim pomysłem.

- Masz szansę Michał, kolosalną szansę - powiedział powoli i uroczyście.

- No, no! - teraz i Marek okazał zainteresowanie. - No, mówże wreszcie, może to i dla mnie jakaś szansa. Forsa zawsze się przyda.

- Dla ciebie, nie. To szansa dla Michała. Opowiadałeś mi kiedyś, że wszystko co morskie, to dla ciebie frajer. Masz w małym palcu.

- Stutysięcznik w małym palcu... - Marek w bezgranicznym zdumieniu podniósł białe

brwi. - I stocznia... I latarnia morska... I co tam jeszcze...?

- Nie wygłupiaj się - zgasił go Jurek. - W niedzielę...

- Jutro jest niedziela - stwierdził Marek.

- Wiem. Nie przerywaj. A więc jutro nasz ośrodek LOK organizuje konkurs, taką zgaduj-zgadulę o morzu. Nazywa się to... Czekaście... Jak to się nazywa...?

- Nie wszystko jedno? - Marek nie był drobiazgowy. - A co na pierwszą nagrodę?

- Przypomniałem sobie: „Polska leży nad morzem”.

- Amerykę odkryli. Każdy wie, że leży.

- Czy ty nie możesz bez komentarzy? Tak sobie nazwali, ich sprawa. A pierwszą nagrodą... - Jurek zrobił małą pauzę - jest telewizor. Taki na dwadzieścia trzy cale, za dziesięć patyków, marki Beryl.

- Dobrze by było... - Michał przez sekundę przyjmował już gratulacje od organizatorów konkursu, widział rozpromienioną twarz dumnej Jolki i wydłużoną fizys Waldka. - No tak - ocknął się - ale to już chyba za późno. Lista na pewno zamknięta.

- A właśnie, że nie zamknięta. Pamiętam z ogłoszenia. Zapisywać się można jeszcze w dniu konkursu. Do dwunastej. Oni tak specjalnie, bo przez Ostródę przewalają się tłumy turystów, nawet takich jednodniowych, a chcieliby, żeby jak najwięcej ludzi zagrało w tej zgaduj-zgaduli. To co, poprobujesz?

- Czemu nie, mogę.

- Tylko uważaj, stary, żebyś nas nie zblamował. Będzie to może transmitowane przez telewizję?

- Będzie.

- To uważaj, byku, stary byku - Marek poprawił się - bo i bosman będzie cię oglądał i Fela. Fela pewnie zawoła: „Cześć, stary byku”. A bosman... Co tam sobie bosman pomyśli, to już zależy od ciebie. Mam rację?

- Masz - przytaknął Michał. Zrobiło mu się przyjemnie ciepło na sercu. Że Fela tak go właśnie przywita, tego był pewien. Byle tylko pod koniec nie nazwała go pokraką.

- Żeby tylko ten twój bosman oglądał jutro program - zafrasował się Jurek, który także znał doskonale bosmana Kiernickiego z Michałowych opowiadań. - Zrobiłbyś mu nielichą frajdę. Jemu i Feli.

- Będzie oglądał - co do tego Michał nie miał wątpliwości. Kiernicki od razu w programie tygodnia podkreślał wszystko, co miało jakiś związek z morzem i nie przepuścił ani jednej pozycji. A już szczególnie lubił konkursy; miał bowiem sposobność, aby porównać wiadomości uczestników z własnymi.

- Wobec tego zaklepane - stwierdził Jurek sięgając po karty. - Zagramy w ogona?

- Możemy - zgodzili się bez entuzjazmu.

Ogon to taka gra, która zgodnie ze swoją nazwą może się ciągnąć godzinami. Ma przy tym to do siebie, że siada się do niej z braku lepszego zajęcia, dla zabicia czasu, a później już trudno się oderwać.

Pierwszy skończył Michał i kibicował pozostałym zaglądając im kolejno w karty.

Wreszcie „ogonem” został Jurek. Kiedy spojrzeli na zegarki, była już pora na obiad.

Przypomnieli sobie również o Jolce.

- Co oni tam robią, u licha? - zdziwił się Marek. - Przez ten czas można by opchnąć po dziesięć porcji kielbasy.

- Albo bigosu - dodał Jurek, w tymże barze bowiem tylko te dwie potrawy stanowiły stałe pozycje w jadłospisie.

A może ich już tam nie ma...? - Michał zmarszczył brwi. - Pójdę zobaczyć.

Wrócił po kilku minutach wyraźnie zaniepokojony.

- W barze ich nie ma - zakomunikował. - Nie ma także na parkingu tego łaciatego pudła.

- O, psiakrew! - Markowi także zaczęło się to nie podobać. - Jolkę stać na wszystko, ale przecież, jeżeli chciała z nim gdzieś prysnąć, nie musiała się urywać. Mogła powiedzieć, że jedzie, że nie mamy czekać.

- Pewnie, że mogła. Ba, powinna powiedzieć - Jurek wstał, zaczął zwijać koc. - A co my wiemy właściwie o tym filmowcu? Może z niego taki filmowiec, jak ze mnie karaibski księżniczka? Że obwiesił się aparatami... Każdy tak może.

- Nie chcę niczego wykrakać - Marek zabrał się do drugiego koca - ale mnie się ten facet od razu nie podobał. Widziałem kiedyś takiego na filmie o handlarzach żywym towarem.

- Przestań! - ten dialog powiększył niepokój Michała. - Wymyślił sobie handlarza!

- Nie ja wymyśliłem. Mówię, że widziałem na filmie. Też taki nieduży, ryżawy, też obwieszony aparatami. Podrywał dziewczyny na angaż w wytwórni, podprowadzał do reżysera, do niby reżysera, bo to był cały szef. Mały to tylko płotka, naganiacz. No, a ten reżyser już je załatwiał odmownie - do samolotu i przez Atlantyck. Bo on je sprzedawał na Florydzie do takich różnych spelun, gdzie się złąziły typy spod ciemnej gwiazdy, ale za to przy forsie.

- Zamiast streszczać nam jakąś bzdurę, lepiej byś powiedział co robić?

- A co tu można zrobić? Walimy na milicję. Oni są przecież od tego, żeby się

zajmować handlarzami żywym towarem.

- Zaraz, zaraz - Jurek, może dlatego, że najmniej zainteresowany, myślał najtrzeźwiej.

- Pójdziecie na milicję i co im powiecie, że chłopak i dziewczyna zeszli z plaży, wsiadli do samochodu i pojechali gdzieś? A co, nie wolno im?

- Niby masz rację. Chyba głupio by wyszło - zasępił się Michał. - No więc co robimy?

- Ja proponuję, żebyśmy poszli teraz na obiad.

- Popieram Marka. Robimy to, co było na dziś w rozkładzie. Obiad, jezioro, wieczorem kino.

- No, a oni?

- O nich się nie martw. Znajdą się. Jak ktoś kiedyś powiedział - w przyrodzie nic nie ginie.

- Dobrze ci tak mówić, Jurek. Mało znasz Jolkę...

- Wystarczająco długo, żeby być pewnym, że nie da sobie krzywdy zrobić. Nawet - spojrzał na Marka - pomagierowi szefa handlarzy żywym towarem.

- A jeżeli nie wróci na noc?

- No, wtedy będziemy musieli coś zadziałać.

- Wtedy! Teraz to można by jeszcze ustalić dokąd pojechali. Waldkowa syrena zwraca uwagę. A jutro kogo będziesz pytał? Nie będzie żadnych śladów.

- W porządku - zdecydował się Marek. - Zaczynamy śledztwo. Takie wstępne śledztwo - zastrzegł się. - Ustalamy kierunek.

Od trzech kolejnych informatorów w Ostródzie dowiedzieli się, że czterokolorowa syrena pojechała w stronę Olsztyna. Nic im to jeszcze nie mówiło. Z Olsztyna można przecież jechać dalej, w różnych kierunkach. Można też zostać w Olsztynie.

- To co? - Marek, którego to wstępne śledztwo zaczynało wciągać, zapomniał nawet o obiedzie. - Skończymy na tym, czy jedziemy za nimi.

Michał oczywiście chciał jechać, Jurek powiedział, że dostosuje się do większości.

Z Olsztyna wrócili po dwóch godzinach. Wiedzieli już teraz, że pstra syrena pojechała w kierunku na Barczewo.

Rozdział VII

Jolka nie powróciła na noc. Nie było jeszcze szóstej, kiedy Michał obudził się. Wyszedł na taras, zajrzał przez balkonowe drzwi do pokoju obok. Nie pościelony tapczan przypomniał mu opowiadania Marka o handlarzach żywym towarem. A jeśli Waldek był

filmowcem jedynie z pozoru, a aparaty - rekwizytami pomagającymi mu grać inną, całkiem odmienną rolę...? Nie bądź głupi - ostudził własną wyobraźnię. Przecież to idiotyzm, żeby za dobrą... tfu, żeby za złą monetę przyjmować Markowe bredzenie. Handlarze żywym towarem. I to gdzie? U nas! Gdzieś na Zachodzie i w ogóle w innych krajach taki proceder może istnieć, bo ma ku temu odpowiedni klimat. Ale tu, w Polsce?! Chociaż... - chciał być obiektywny. Czy to nie ma u nas dziewcząt, które zapłaciłyby każdą cenę, byle tylko zrobić karierę. Pewnie, że są - stwierdził. - Ale nie Jolka! Jest za dobra, za uczciwa i za mądra. No dobrze - zastanawiał się dalej. Powiedzmy, że działa tu jakaś szajka werbująca dziewczyny, ze złymi wobec nich zamiarami. Niby to na scenę czy do filmu... Powiedzmy, że znajdują się takie i co dalej?

Człowiek nie stara ikona czy srebrna patera. Nie można go owinąć w papier i ukryć w walizce czy w bagażniku samochodu.

Bzdury! - podsumował swoje rozmyślenia, Ubrał się szybko i zbiegł w dół.

O dziwo, Marek był już także ubrany, nie mówiąc o Jurku, który z ich czwórki wstawał najwcześniej.

- I co, naszej ślicznotki nie ma - stwierdził Marek. - Czekajcie, już ja jej nagadam!

Niech sobie nie wyobraża dziewczusko...

- Dobra, dobra! - przerwał mu Michał. - Najpierw musimy ją odnaleźć, a potem możesz jej nagadać ile zechcesz. To co robimy, chłopcy?

- Wiemy, w jakim kierunku pojechali. To ważne. - Marek oczywiście miał już gotowy plan. - Bierzemy taksę i jedziemy na Barczewo.

- Jedziemy, jedziemy i jedziemy... - Jurek z politowaniem pokiwał głową. - Daleko możemy tak zajechać.

- Nie wygłupiaj się. Ja jeszcze nie skończyłem. Są przecież po drodze jakieś sklepy, gospody, może stacja benzynowa... Będziemy się rozpytywać. Niemożliwe, żeby nikt nie zauważył i nie zapamiętał tej łaciatej dryndy.

- A jeżeli nikt nie zapamiętał? - Jurek odwrócił się do nich od kuchni, na której pitrasił tradycyjną jajecznicę z kiełbasą. - Jeżeli ich nikt nie widział, to co?

- To wrócimy. Następnym miasteczkiem za Barczewem jest Biskupiec. Pojedziemy aż do Biskupca. Jeśli nie spotkamy ich nigdzie, nie trafimy na żadne ślady, zameldujemy na milicji.

- Tak, wtedy już będzie można - zgodził się Michał. - Ostatecznie Jolka przyjechała tu z nami, jest w pewnym sensie pod naszą opieką.

- W pewnym sensie? - ten zwrot nie podobał się Markowi. - W ogóle pod opieką.

- Jak na taką - w ogóle pod opieką - to na mój gust jest za bardzo samodzielna. Ot, choćby i teraz...

- Różni są podopieczni - stwierdził Marek. - Masz przecież dzieci...

- Broń Boże! - spłoszył się Jurek. - Ja jeszcze nie mam.

Roześmieli się.

- Mówię przykładowo. Masz więc dzieci posłuszne i grzeczne i masz tak zwane dzieci trudne, takie, co to trudno sobie z nimi poradzić.

- Ja bym tam sobie z nią poradził - Jurek rozdzielił na trzy równe części zawartość patelni. - No tak - powiedział wyskrobując resztki - ale ja nie jestem jej opiekunem.

Michał i Marek spojrzeli po sobie, zrobiło im się trochę głupio. Wprawdzie nie mogli winić siebie za to, co się stało, ale Michał, na przykład, wyobrażał już sobie minę dyżurnego w komendzie, któremu powie: panie sierżancie, czy panie poruczniku, zginęła nam dziewczyna.

Bez apetytu zjedli śniadanie i Jurek zamykał już dolną zasuwę - ostatnie, trzecie zabezpieczenie wejściowych drzwi, gdy nagle Marek stuknął się w czoło.

- Ale z nas fujary!

- Co się stało? - zapytali obydwoj.

- A jeśli Jolka wróci w tym czasie, kiedy my jej będziemy szukać?

- Racja. Trzeba zostawić wiadomość. - Marek wyrwał kartkę z notesu, skreślił kilka zdań.

- Co napisałeś?

- Przeczytaj - podał kartkę Michałowi.

- „Skarbie nasz słodki! Pojechaliśmy cię ratować. Oswobodzić ze szponów filmowca-lajdaka. W chwili gdy to czytasz, jesteśmy być może daleko. Ale jak wrócimy - Michał z trudem utrzymywał powagę - niech cię Bóg ma w swojej opiece! Nie chcielibyśmy być w twojej skórce!”

- No tak - złożył kartkę we czworo, wsunął pomiędzy drzwi a futrynę. - Tylko nie zdziw się, Marek, jeżeli Jolka po przeczytaniu tej kartki da czym prędzej dyla.

- Jolka? Zobaczysz, że jeszcze będzie miała do nas pretensje, że to my, jak zwykle, jesteśmy wszystkiemu winni. Nie znasz Jolki?

- Znam - westchnął Michał.

Taksówkę złapali zaraz za mostem. Marek od razu uprzedził kierowcę, że jadą w kierunku Barczewa, ale po drodze będą się zatrzymywać i być może przyjdzie im trochę pokręcić się po terenie. Ponieważ taksiarz patrzył na nich dość podejrzliwie, Jurek

wytłumaczył mu w czym rzecz, nie mówiąc oczywiście o swoich podejrzeniach co do prawdziwej roli Waldka-filmowca.

- Gra - kierowca skwitował opowiadanie przymrużeniem oka - mam na trasie znajomych, też się mogę popytać. Spokojna głowa. Musimy ich znaleźć.

Na pierwszy ślad natrafili w sklepie GS-u, kilka kilometrów za Olsztynem.

- Łaciata syrena? - ucieszyła się sprzedawczyni. - Nie wiem czy to była syrena, nie znam się na tym, ale że łaciata, to fakt. A ten mały, rudawy kupował czekoladę. Dwie tabliczki kupił.

Następną i już konkretną informację kierowca uzyskał w stacji benzynowej w Barczewie. Kolorowa syrena tankowała tam benzynę.

- Powiadam ci, Wacek, ta lalunia w gablocie... - facet ze stacji kilka razy cmoknął z uznaniem. - Babka na medal. Aż dziw, że z takim mikrusem. I w takim pudle. Ja bym ją, bracie, mercedesem woził, albo jaguarem.

- Pojechali prosto?

- Prosto, ale za krzyżówką skręcili.

- Skąd wiesz?

- Wiem, bo mały pytał o jezioro. Znasz może, tam, gdzie to gospodarstwo rybne.

Taksjarsz przytaknął.

- Znam. Od szosy będzie ze dwadzieścia kilometrów. Nawet z hakiem. Mogli przecież dojechać z innej strony.

- Mogli. Ale pojechali tędy.

- No to jesteśmy w domu - triumfował Marek przysłuchujący się rozmowie przez uchylone okno. - Teraz już ich mamy.

- Na razie mamy informacje. Na razie wiemy tylko, dokąd się wybrali - Michał był po swojemu dokładny.

- A czy nie pomyśleliście, moi drodzy - wtrącił się Jurek - że on mógł celowo pytać o jezioro, a pojechać całkiem w inną stronę.

- Niby po co? - Marek nie zrozumiał.

- Żeby podsunąć nam fałszywy trop.

- Tak, to możliwe - zgodził się Michał. - Mimo to musimy jechać nad jezioro.

Akurat w chwili, gdy doszli do tego wniosku, taksjarsz sam skręcił za krzyżówką w lewo. Była to polna, a raczej początkowo leśna droga, przecięta głębokimi koleinami. Z lasu wjechali między pagórki i dalej znowu w las.

- Jest! - wrzasnął nagle Marek.

W odległości może stu metrów od nich, między drzewami coś się czerwieniło. W miarę, jak się zbliżali, dochodziły następne kolory: jasnoniebieska góra i jaskrawozielony dół karoserii.

- Mamy ich! - Jurek z radości tak trzepnął w plecy Michała, że tamten z kolei wyrzwał głową w plecy kierowcy.

Taksjarsz roześmiał się.

- Bez nerwów, panowie! Spokojnie. O ile mi wzrok nie nawala, na razie widzę tylko samochód.

Tak. Kierowca miał rację. Kolorowa syrena stała na poboczu, ale bez pasażerów.

- No i gdzie ich teraz szukać... - zapytał bezradnie Michał, kiedy już wszyscy wysiedli i gapili się na syrenę, jak gdyby to kolorowe cudo mogło im coś powiedzieć.

A jednak...

Do właściwych wniosków pierwszy doszedł Jurek.

- I co? Wypatrzyliście już coś? - zapytał tonem, który świadczył, że on wypatrzył. Nie chwycili.

- Ech, wy! - Jurek uderzył dłonią w czerwoną maskę samochodu. - A to?

- No powiedzże wreszcie o co ci chodzi! - zdenerwował się Michał.

- Właśnie o to - Jurek powtórnie uderzył w maskę. - W którą stronę jest to skierowane?

- Racja! - Marek aż podskoczył z wrażenia. - Do szosy. Z czego wniosek, że wracali do domu.

- Zaraz sprawdzimy, dlaczego nie wrócili - taksówkarz podniósł maskę, przez długą chwilę schylony grzebał w motorze. - Jasne! - wyprostował się, wytarł dłonie w chusteczkę. - Nie mogli wrócić, bo im świeca wysiadła.

Odetchnęli z ulgą. A więc nie chciał jej porwać. Ale gdzie oni się mogli zadekować?

- Siadajcie! - kierowca zdecydowanym ruchem ręki zapędził ich do wozu. - Tu zaraz jest wioska. Popytamy się.

Była godzina ósma, kiedy poderwali z łóżka rozspaną Jolkę, która znalazła kwatery w domu miejscowej nauczycielki, a w piętnaście minut później Michał wspinał się po drabinie na stryszek nad oborą, gdzie litościwy sąsiad nauczycielki ulokował pechowego właściciela kolorowej syreny.

Był zdecydowany dać mu lekki wycisk, ale kiedy na wprost swojej twarzy zobaczył wystraszone oczy filmowca za okularami przyprószonymi słomą, a w chwilę później ze sterty ściółki wynurzyła się cała, zmalretowana postać, nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem.

Słoma wychodziła Waldkowi nawet z uszu. Był cały zapyziały jakiś i szary, a do tego prawdopodobnie niewyspany i dręczony wyrzutami sumienia w poczuciu winy za tę eskapadę.

- I po co wam to było? - Michał z politowaniem pokiwał głową. - Musieliście się urywać?

- Kiedy myśmy się nie urwali - zaprotestował słabo Waldek. - Chciałem pokazać Jolce wylęgarnię pstrągów. Myśleliśmy...

- Już Jolka nam powiedziała, co myśleliście - przerwał mu Michał.

- To wiesz. Gdyby nie ta cholerna świeca, zdążylibyśmy na czas i na kolację mielibyście pstrągi.

- No i gdzie te pstrągi?

- Ja... musiałem jakoś... - zająknął się. - Musiałem się jakoś zrewanżować gospodarzowi. Dałem mu je za nocleg.

- Nie szkodzi. Obejdziemy się bez pstrągów. Złaź - Michał zaczął schodzić na dół. - Pospiesz się, bo zaraz odjeżdżamy.

W drodze powrotnej aż do Olsztyna w taksówce panowała cisza, mimo że kierowca od czasu do czasu podejmował rozmowę. Zbywali go półsłówkami, aż wreszcie zamilkł obrażony.

Milczenie przerwała Jolka.

- A ty, Marek - powiedziała z naganą - mógłbyś się wreszcie nauczyć dotrzymywania słowa.

- Czego się mnie czepiasz?

- Nie czepiam, przypominam. Chciałam ci przypomnieć to, co obiecałeś przed wyjazdem do Malborka. Nie pamiętasz?

- Nie wiem o co ci chodzi.

- Że to będzie twój ostatni wyskok.

- No dobrze, powiedziałem. I co z tego?

- Ano to, że nie dotrzymujesz słowa. Po co ta taksówka? No, czemu nie odpowiadasz? Zatkalo nie tylko Marka, ale i pozostałych z Waldkiem i taksówkarzem włącznie.

- Wiesz, Jolka, że to lekka przesada - Marek w końcu odzyskał głos. - To my się o ciebie trzęsiemy, wyłazimy ze skóry...

- Możesz z powrotem w nią wejść... - usiłowała zażartować, ale widocznie zdała sobie sprawę, że przeholowała, bo spuściła głowę. - Przepraszam - powiedziała cicho, nie patrząc na nikogo. - Przepraszam was wszystkich - dodała. - Ja rzeczywiście jestem okropna.

Michał chciał dorzucić, że dawno o tym wiedział, dał jednak spokój. Jolce tak rzadko zdarzała się samokrytyka, że nie należało zepsuć efektu.

Dochodziła dziesiąta, gdy przejechali most w Ostródzie.

Na ścieżce do domu Jurek wyprzedził pozostałą trójkę. Michał uśmiechnął się. Wiedział w czym rzecz. Jurek, a i on sam także, wołał, żeby Jolka nie przeczytała pozostawionego w drzwiach listu.

- Plan gry na najbliższe godziny - gospodarz, to znaczy Jurek, zatrzymał całą grupę w holu. - Waldek - wskazał na filmowca, którego zabrali ze sobą - na górę do łazienki. Jolka, do siebie, przebrać się.

- A co? Tak wam się nie podobam? Chociaż... sweterek może trochę brudny...

- Nie trochę. Występujemy w pełnej gali.

- Czekaj, bo oni jeszcze o niczym nie wiedzą - Marek przybrał uroczystą minę. - Michał dzisiaj podłapuje telewizor.

- Komu podłapuje?

- LOK-owi, czyli organizatorom zgaduj-zgaduli o morzu. Do dwunastej zgłasza swój udział, a po czwartej targa do domu beryla. Zakład?

Zakładu nikt nie podjął, ale Waldek z rozjaśnioną gębą klepnął się w czoło.

- Przecież my to kręcimy! Na żywo! Michał, daję ci słowo, że tak długo, jak się tylko da, będę cię trzymał w obiektywie. Masz moją rękę - wyciągnął do niego dłoń poszarzałą od słomianego pyłu. - Grabuła!

Jolka także była podekscytowana nowiną. Po jej błyszczących oczach było widać, że sukces Michała, w który zresztą nie wątpiła, będzie dla niej jej osobistym sukcesem. Chciała powiedzieć coś na ten temat, ale uśmiechnęła się tylko leciutko i zagadkowo, i odwróciła się do Marka.

- Prawda, że to był twój pomysł, Mareczku - powiedziała kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Michał sam nigdy by na to nie wpadł. Praktyczny to on nie jest.

- Pomysł był Jurka - sprostował Marek, zerkając z niezbyt mądrą miną na dłoń spoczywającą pod jego uchem. Z kłopotliwej sytuacji wybawił go Jurek.

- Jolka, do pokoju - przypomniał. - Ty, Michał idź do kurnika, przynieś trochę jajek...

- Jajecznicą z kiełbasą? To już było - zaprotestował. - Na śniadanie nam dałeś. Jak zwykle.

- Idź, przynieś. Co się martwisz. Będzie omlet z szynką. A Marek niech się przejdzie po ciastka. Drugie śniadanie musi być jak trza. Bo to i zguba się znalazła...

- I Michał przytarga telewizor - roześmiała się Jolka.

Teraz już był pewien, że przytarga, musi. Znał Jolkę lepiej niż tamci i wiedział, raczej przeczuwał, że liczy na niego.

Po śniadaniu całą gromadą poszli do LOK-u. W niewielkim biurowym pomieszczeniu panował tłok i zamieszanie, jak zwykle przed imprezą.

- Chciałbym zgłosić swój udział w konkursie - Michał zaczął jednego z organizatorów.

- Przy stoliku pod oknem - rzucił mu tamten w przelocie i dopadł innego organizatora, któremu zaczął tłumaczyć, że jeżeli tego cholernego telewizora nie zdobędzie za pół godziny no, powiedzmy za godzinę, to go z pewnością szlag trafi.

- Słyszysz? - Jurek chwycił za łokieć Michała, który przeciskał się w stronę stolika pod oknem. - Zaraz przyniosą telewizor.

- Nie zaraz, lecz za godzinę - Michał stanął wreszcie przed stolikiem. - I daj już sobie z tym spokój - dorzucił szeptem. - Niby skąd możesz mieć pewność, że to właśnie ja wygram.

- Wierzę w ciebie - odszepnął Jurek. - Musisz wygrać.

- Kolega do konkursu? - chłopiec w wieku Michała urzędujący pod oknem spojrzał na niego przyjaźnie.

- Tak. Chciałbym spróbować.

- Proszę bardzo - chwycił długopis. - Imię, nazwisko, zawód. Chwileczkę - przypomniał sobie. - Uczniowie szkół morskich i rybackich nie mogą brać udziału w naszej zgaduj-zgaduli. Kolega, nic z tych rzeczy?

- Nic z tych rzeczy. Z ogólniaka.

Podał swoje dane personalne i otrzymał kolejny numer do eliminacji - sto czterdziesty ósmy.

- Dasz sobie radę, Michał? - zaniepokoiła się stojąca za chłopcem Jola.

- Przestraszyłaś się, że aż tylu? - uśmiechnął się. Odpowiedziała uśmiechem, który był o wiele wymowniejszy niż pieszczotliwe „Mareczku”.

- Właśnie. Stu czterdziestu ósmiu, a jeszcze pewnie dojdą...

- Już dochodzą - ruchem głowy wskazał stolik, przy którym tłoczyła się grupka speców od spraw morskich. - Miejmy nadzieję, że większość odpadnie od razu przy wstępnej eliminacji.

Jego przypuszczenia potwierdziły się.

Impreza odbywała się w największej sali miasta, w miejscowym kinie. Nie tylko wszystkie krzesła były zajęte, ale i przejścia pod ścianami. Słowo wstępne wygłosił jeden z organizatorów, który przez bite pół godziny dzielił się z obecnymi swymi wiadomościami o

morzu i o gospodarce morskiej. Trzy razy przerywano mu oklaskami. Nie dlatego, że się podobało - przeciwnie - żeby skończył.

Kiedy wreszcie zszedł ze sceny, rozchyliła się kurtyna i oczom szczelnie wypełnionej widowni ukazał się stół nakryty zielonym suknem, z boku zaś stał mały stolik nakryty dla odmiany czerwonym suknem. Za pierwszym stołem siedziało pięciu panów stanowiących jury konkursu, na drugim stał telewizor - pierwsza nagroda dla najlepszego.

Konferansjer, a zarazem prowadzący konkurs zaczął od dowcipu, starego jak wszystkie morza i oceany świata.

Sala nie przyjęła dowcipu życzliwie. Zaledwie trzy czy cztery osoby roześmiały się i to jak gdyby przez grzeczność.

Konferansjer posmutniał, ale jechał dalej:

- Tego pana ktoś wypchnął za burtę. U nas nikt nikogo nie wypycha, sami będziemy wychodzić o tu, na estradę, żeby podzielić się z całą salą swymi wiadomościami o morzu.

Zaczynamy - zerknął do kartki. - Numer pierwszy. Pan Zenon Arski!

Z pierwszego rzędu krzesel podniósł się łysy pan w czarnym garniturze, uklonił się widowni, która zareagowała skąpymi oklaskami, po czym wyczekująco spojrzął na konferansjera.

- Tylko jedno pytanko - prowadzący konkurs młodzian, szczuplutki brunecik w ogromnych okularach i z równie ogromną czupryną uśmiechnął się promiennie do łysego, co miało mu dodać otuchy. - Może nam pan powie... jak w języku ludzi morza nazywa się kucharz na statku.

Łysy pan zrobił ogromnie zdziwioną minę i bezradnie spojrzął na salę.

- No proszę, słuchamy.

- Kucharz?

- Na statku.

- Ko... ko... ko... - zagdakał ktoś z dalszych rzędów.

- Tylko proszę, bez podpowiadania - ostrzegł okularnik - bo będę musiał unieważnić odpowiedź.

Łysy zmarszczył czoło.

- Kogut! - wykrzyknął z determinacją.

Sala wybuchnęła śmiechem. Rozległy się oklaski, tym razem całkiem szczere.

- Kucharz na statku nazywa się kok - pouczył konferansjer. - No cóż, nie udało się.

Dziękuję panu.

Łysy zszedł z estrady, na jego miejscu stanęła ładna dziewczyna.

- Dla pani mam także jedno pytanie - brunecik skłonił się przed nią nisko. - Co znaczy zamustrować?

- Zamustrować? - dziewczyna zapatrzyła się w sufit. Kojarzyło jej się to ze słowem musztra, ale co mogło znaczyć...?

- To pewnie będzie coś od musztry... - myślała na głos. - Tak. Zamustrować oznacza, że się kogoś musztrowało, musztrowało, aż się zamustrowało.

Teraz już sala wyła ze śmiechu. Nawet układny konferansjer nie zdołał utrzymać powagi.

- Niestety - wykrztusił przecierając chusteczką zażawione szkła okularów. - Musztrować, zamustrować... to wprawdzie brzmi podobnie, ale znaczenie jest inne.

Zamustrować, to po prostu zaciągnąć się na statek.

- Coś takiego! - dziewczyna wzruszyła ramionami i wyraźnie obrażona wróciła na swoje miejsce.

Eliminacje przebiegały na zasadzie potrząsania sitem. Kiedy przyszła kolej Michała, mógł na palcach, wyliczyć tych, co przeszli zwycięsko. Naliczył takich siedmiu.

Konferansjer spojrzał na niego z błyskiem nadziei w zmętniałym ze zniechęcenia oku.

Chłopak wyglądał na pewnego siebie i wyczuwało się, że nie jest to pewność pozorowana.

- W marynarce wojennej mamy komandora i komandora porucznika. Który z nich jest wyższy rangą?

- Komandor - Michał nie musiał się zastanawiać. - Komandor porucznik to podpułkownik, natomiast komandor to pułkownik.

- Dziękuję, bardzo dziękuję - rozpromienił się okularnik. - Taka jest prawidłowa odpowiedź.

Do Michała i tamtych siedmiu doszłusowało jeszcze czterech; w sumie do drugiej eliminacji miał stanąć równy tuzin.

Nastąpiła przerwa w konkursie, wypełniona częścią artystyczną. Konferansjera zastąpił przystojny brunet.średniego wzrostu, o smagłej cerze i z małym wąsikiem. Był w jasnym garniturze i czerwonej koszulce polo.

- Znam go... - szepnął Jurek do Jolki. - Nazywa się Bilicki. Zbigniew Bilicki z Olsztyna.

- Bilicki? - Jolka wyglądała na zawiedzioną. - Myślałam, że jakiś południowiec, może Włoch, albo Hiszpan...

- Cygan.

- Mam zaszczyt powitać państwa w imieniu zespołu „Cierchan” - mężczyzna z wąsikami miał niski, przyjemny głos. - Posłuchacie naszych piosenek, zobaczycie nasze tańce i sami ocenicie, czy mamy prawo do takiej nazwy. Bo Cierchan to znaczy gwiazda.

Dał znak i zza kulis wybiegła gromadka dziewcząt i chłopców. Stroje mieli piękne, bogate, bajecznie kolorowe; na rękach dziewcząt pobrzękiwały bransolety, a na szyjach łańcuchy ze srebrnych monet. Tęskne, cygańskie pieśni przeplatały się z żywiołowym, porywającym tańcem, w którym wirowały szerokie spódnice i migotały dłonie uderzające w tamburyno. Trudno było powiedzieć, w czym byli lepsi - w tańcu, czy w śpiewie. Widownia nie zastanawiała się nad tym. Każdy numer programu kwitowany był takimi brawami, że aż dziw, iż nie zawalił się od nich stary budynek wysłużonego kina.

- Wiecie, że to naprawdę klasa - stwierdziła Jolka, kiedy zespół serdecznie żegnany schodził z estrady. - Wysoka klasa. Widziałam tę słynną, cygańską „Romeę”, ale muszę wam powiedzieć, że oni są lepsi.

- Ja wprawdzie „Romy” nie widziałem, ale zgadzam się z Jolką - stwierdził Michał. - Duża rzecz i cieszy. A ten Bi... no, jak on się nazywa?

- Bilicki? - poinformował Jurek.

- Właśnie, Bilicki... to kim on jest?

- I dyrektorem, i kierownikiem artystycznym. On założył ten zespół - Jurek chciał jeszcze coś dodać, ale na estradzie pojawił się znowu długowłosa okularnik.

Zaczęły się drugie i ostatnie eliminacje. Po nich miał nastąpić finał. Jak było do przewidzenia, Michał i tym razem nie zawiódł. Mało, że bez namysłu odpowiedział na dwa dość trudne pytania, ale do odpowiedzi dodał jeszcze swój własny, dowcipny komentarz, co sprawiło, że Waldek filmowiec, czuwający w pobliżu estrady, trzymał go bez przerwy w obiektywie swojej kamery.

Po dwóch etapach eliminacji zostało ich troje: Michał, tęga siwowłosa pani w czarnej sukni z białym, koronkowym żabotem - nauczycielka z Warszawy i pan w średnim wieku, w okularach, wyglądający na naukowca, który okazał się magazynierem z GS-u. Ostatni zawodnik najbardziej się denerwował. Co chwila wyjmował z kieszeni ogromną chustkę w kratę i wycierał nią dokładnie czoło, kark i dłonie - zawsze w tej samej kolejności.

- Proszę państwa - głos konferansjera, w miarę jak zawężało się grono morskich wilków, brzmiał coraz uroczyściej. - Proszę państwa! - powtórzył o ton wyżej. - Ponieważ po eliminacjach pozostały trzy osoby, a do finału mogą wejść tylko dwie, musimy przeprowadzić rozgrywkę półfinałową. Każdy otrzymuje pięć pytań. Zaczynamy.

Pani z żabotem odpowiedziała na cztery, magazynier na trzy. Magazynier, sięgając

znowu po chustkę, z nadzieją w oczach spoglądał na Michała.

- Spójrz na niego, Marek - Jolka z wypiekami na twarzy wskazała na pana w okularach.

W tym zaaferowaniu Marek przestał być Mareczkiem. - I czego tak się gapisz, burku?! - powiedziała to trochę za głośno, parę osób spojrzało na nią ze zdziwieniem. - Jego ostatnia szansa to Michał. Wydumał sobie, że Michał nie dociągnie do trzech odpowiedzi i ludzi się jeszcze, że wygra.

- Nie miej mu tego za złe, że się łudzi - wtrącił Jurek. - Skąd wiesz, czy żona mu nie zapowiedziała, że bez telewizora nie ma po co wracać do domu...

- A co mnie obchodzi jego żona - zachnęła się Jolka. - Ja wiem swoje: Michał odpowie na wszystkie i mucha nie siada.

Michał istotnie odpowiedział bezbłędnie na wszystkie finałowe pytania, podczas gdy pani z żabotem spaliła dwa.

Sukces Michała, który, jak to można było już wcześniej wyczuć, zdobył sobie sympatię widowni, został przyjęty z gorącym aplauzem. Najżywiej oczywiście zareagowała czwórka przyjaciół. Jurek bił brawo uniesionymi nad głową rękami, Marek zerwał swoją granatową marynarkę ze złotymi guzikami i jak chorągwią wymachiwał nią z entuzjazmem, Jolka wskoczyła na krzesło i wołała: „Michał, Michał”, a Waldek, wiadomo, kręcił.

Tymczasem na scenie odbywała się podniosła uroczystość wręczenia pierwszej nagrody. Konferansjer odsunął się na bok, a spoza sędziowskiego stołu wyszło pięciu dostojnych panów, z których każdy potrząsnął rękę Michała i każdy powiedział: „gratuluję”.

Przewodniczący jury rozszerzył swoją wypowiedź do: „serdecznie gratuluję”. On też wygłosił formułę zamykającą imprezę:

- W imieniu komitetu organizacyjnego mam zaszczyt wręczyć panu pierwszą nagrodę, ten oto telewizor - dostojnym, nieomal teatralnym gestem wskazał ręką na pudło beryla zajmującego całą powierzchnię stolika nakrytego czerwonym suknem.

Michał podziękował i spojrzał bezradnie na telewizor. Z kłopotu wybawił go przewodniczący.

- Pan mieszka tu, w Ostródzie?

- Tu, zaraz nad kanałem.

- Wobec tego podrzucimy pana do domu, oczywiście razem z telewizorem. - Aha! Tu jest jeszcze dyplom - przypomniał sobie. - Odwrócił się do stołu i podał Michałowi arkusz grubego, czerpanego papieru z obwódką ze złotych, laurowych liści, na którym, również złotymi czcionkami wypisano, że posiadacz tego dyplomu Michał Turczyński otrzymuje to

wyróżnienie za gruntowną znajomość problematyki morskiej.

Wzruszony Michał jeszcze raz podziękował, po czym krokiem stosownym do pozycji dyplomanta zszedł wolno ze schodków. Z ostatniego o mało nie spadł, bo Marek z taką siłą trzepnął go w plecy, że innego, o słabszej posturze, z nóg by zważyło. Zatoczył się i wpadł prosto w ramiona Jolki. Objęła go za szyję i z zapałem pocałowała w obydwie policzki. Nim obydwójce zdążyli ochłonąć, Jurek odsunął Jolkę i sam ucałował Michała.

- A ten telewizor można by od razu odwieźć na ulicę Warszawską - szepnął mu na ucho.

- Dlaczego na Warszawską?

- Mam tam kupca. Ojciec kumpla chce kupić taki mebel. Da ci za ten twój dziewięć kawałków. Pasuje?

- Pewnie, że pasuje - ucieszył się Michał. - Ale to nie dzisiaj. Powiedziałem im, że mieszkam nad kanałem. Głupio by wyszło, gdyby się zorientowali, że z mety opylam pierwszą nagrodę. Mam rację?

- Masz - przyznał Jurek i odsunął się, bo teraz z gratulacjami pchał się domniemany handlarz żywym towarem.

- Byłeś fenomenalny, Michał! - aż się zachłystywał z przejęcia. - Odpowiadałeś tak, jakbyś czytał z kartki, bez namysłu. Wypełniłeś przynajmniej trzy czwarte programu. Więcej!

- poprawił się. - Prawie przez cały czas miałem cię na wizji - nie omieszkał podkreślić swojej roli.

- I to szło na całą Polskę? - Michał pomyślał o bosmanie.

- Jasne.

- Jesteś równy chłopak - klepnął go po ramieniu, a Waldek jakby urósł.

Organizatorzy dali im nysę, w której pomieścili się wszyscy razem z telewizorem.

W domu od razu wypróbowali beryla. Był bez zarzutu - świetny obraz, doskonały dźwięk. Michał zastanawiał się nawet, czy nie zostawić go dla siebie, jednak po krótkim namyśle doszedł do wniosku, że bardziej im są potrzebne pieniądze.

Kupiec z Warszawskiej zjawił się następnego dnia rano. Obejrzał aparat, pochwalił i wypłacił dziewięć tysięcy. Michał jeszcze nigdy w życiu nie widział tyle forsy na raz.

Zostawił sobie kilkaset złotych, tysiąc posłał matce do sanatorium, a resztę złożył na książeczkę. Przed obiadem wyszedł do miasta i przytaskał na deser ogromną pakę ciastek i dwie puszki grejpfrutowego soku.

Był to naprawdę świąteczny obiad. Z kuraków wydzielonych dla nich Jurek wybrał dwa najokazalsze i upiekł w prodżu, do zupy z poziomek podał biszkopty i jeszcze po

kopiastym talerzu truskawek.

- Mówię ci, Michał - Marek po opchnięciu czwartego ciastka miał wreszcie dosyć - że ty się marnujesz, chłopie.

- Czemu?

- Powinieneś się zgłosić do jakiejś redakcji na Wybrzeżu. Mógłbyś się przecież zatrudnić w charakterze encyklopedii morskiej.

- Mógłby - przytaknął Jurek. - Ale przede wszystkim powinien obstawiać takie zgaduj-zgadule, jak ta wczorajsza. Przecież w okresie Dni Morza takie imprezy można liczyć na tuziny.

- A gdyby tak w każdej dawali telewizor - wtrącił Waldek, który był również zaproszony na obiad - po paru latach Michał miałby ich tyle, że starczyłoby na otwarcie sklepu.

- No to ja się zgłaszam na twoją sekretarkę - Jolka podniosła dwa palce do góry.

- Chyba na ekspedientkę - poprawił ją Marek.

- Nie, najpierw na sekretarkę. Michałowi potrzebny byłby ktoś, kto by mu wyszukiwał te zgaduj-zgadule. Mogłabym pracować na procent.

- Od czego?

- Od tego, co podłapiesz. Na przykład teraz. Dostałeś za beryla dziewięć patyków, dla mnie byłoby 900 złotych.

- Pomyślę o tym - Michał roześmiał się.

Po kolacji Waldek wrócił do siebie, a Jolka, Marek i Jurek poszli do kina na „Port lotniczy”. Michał widział już ten film w Warszawie, został więc w domu. Przez kilkanaście minut oglądał telewizję, ale że po wczorajszych wrażeniach dopiero teraz rozboleła go głowa, zamknął dokładnie wyjściowe drzwi, klucze, jak to było u nich w zwyczaju, wsunął pod kamień na klombie i poszedł się przejść nad jezioro.

Mniej więcej w połowie drogi do „Panoramy”, między dwiema szeroko rozrośniętymi akacjami stała ławka. Z tyłu, za jej oparciem gęste krzaki porastały łagodny stok aż do samego brzegu jeziora. Zapadł już zmrok, niebo było zaciągnięte chmurami, czuło się w powietrzu deszcz. Michał miał zamiar posiedzieć tylko kilka minut, ale to, co nieoczekiwanie usłyszał, sprawiło, że jego odpoczynek na ławce mocno się przeciągnął.

Parę metrów za nim otoczona zwarcie krzakami znajdowała się mała polanka. Już parę razy zauważyli, że jest ona ulubionym miejscem spotkań różnych łazęgów, którzy przychodzili tam na wino „patykiem pisane”.

- Teraz ty - powiedział ktoś zachrypłym dyszkantem. - Do nalepki.

Rozległo się charakterystyczne bulgotanie, przerwa i znowu bulgot. To ten drugi pociągał od nalepki. Głośny plusk - pusta butelka poleciała do jeziora.

- A nie skrewisz, Władek? - upewniał się dyszkant. - Bo jakbyś, tego... to lepiej powiedz.

- Coś ty, głupi?! - oburzył się bas, także nieco ochrypły. - I niby przed czym mam skrewić, przed tym dziadą? Obgadane, zaklepane i nie ma o czym mówić.

- Jak to nie ma? - zachichotał dyszkant. - Trzy skrzynie węgorzy to najmarniej ze sto kilosów. Policz po cztery dychy...

- Tyle nie dadzą.

- No to niech będzie po trzy. Są trzy patole?

- Są - potwierdził bas. - No widzisz.

- Tylko wiesz co, Zdzisiek - w głosie tego drugiego można było wyczuć wahanie. - Nie bardzo mi się widzi, że pojedziemy razem. Lepiej chyba osobno, nie podpada tak.

- Może być osobno - zgodził się dyszkant. - Ale trafisz?

- Spokojna głowa. Mam skrócić najpierw w prawo...

- Za kapliczką.

- W prawo za kapliczką - powtórzył bas.

- A dalej już prosto jak strzelił do samego jeziora. Do jeziora, rzecz jasna, nie dojedziesz. Znaczący - do samego jeziora. Stoi tam taka rozwalona szopa. Schowasz się za nią i poczekaś na mnie.

- To ja mam jechać pierwszy?

- Wszystko jedno.

- Dobra, będę na ciebie czekał. A coś do rączki - bas zarechotał - ty weźmiesz, czy ja mam zabrać?

- Ja. Mam taki poręczny trzonek od siekiery - teraz zachichotał dyszkancik. - Choć tak po prawdzie, na tego dziada wystarczyłby i trzonek od młotka. To co? Obciążamy tą drugą?

- Otwieraj. Po co się pytasz.

Znowu zbulgotało.

Michał bał się poruszyć. Z tego, co usłyszał, mógł się zorientować, że chodziło o napad na dozorcę i zagarnięcie trzech skrzynek z węgorzami zatopionych w jeziorze i przeznaczonych do ekspedycji, i że do jeziora jedzie się jakąś drogą, w prawo od jakiejś kapliczki...

Jakaś droga... jakaś kapliczka... Wstrzymał oddech, bo właśnie dyszkancik odpowiadał na zasadnicze pytanie.

- Najlepiej, jak tam będziemy o drugiej, albo nawet o trzeciej. Podobno nad ranem dobrze się śpi. Jak go sprytnie podejmiemy, nie trzeba będzie patyczka. Szmata do gęby i ani piśnie. Żeby być na drugą, musisz wyjechać z domu pół godziny wcześniej. Od kapliczki do Czarnego imasz jeszcze z pięć kilometrów albo i więcej...

Bas, zamiast odpowiedzieć, zabalgotał.

Michał podniósł się z ławki i ostrożnie stąpając wyszedł na ścieżkę. Nie mógł się doczekać na powrót tamtych z kina.

Kiedy już Jolka poszła na górę i zostali w trójkę, opowiedział, co słyszał siedząc na ławeczce wśród akacji. Słuchali przejęci, szczególnie Marek, który był pierwszy, gdy zanosilo się na coś ciekawego.

- To co? - poderwał się, gdy Michał skończył. - Bierzemy rowery i zasuwamy.

- Zaraz. Nie pali się - powstrzymał go Jurek. - Po pierwsze nie ma jeszcze jedenastej. A po drugie... to moim skromnym zdaniem najlepiej zrobimy, jeżeli zameldujemy o tym na milicji. Oni są przecież od takich spraw.

- Myślisz, że sami nie dalibyśmy rady? - Marek wyprostował się w krześle. - No to przyjmij do wiadomości, że masz przed sobą szkolnego mistrza dżudo. A ten chłopak - pokazał na Michała - w zawodach okręgu miał drugie miejsce.

- Zgoda, zgoda - Jurek nie zamierzał ustąpić. - Mistrzostwa swoją drogą, a obowiązek zgłoszenia o przestępstwie - swoją.

- Przestępstwa jeszcze nie było.

- Ale słyszałeś, że mają zamiar. Milicja zrobi zasadzkę...

- Dajże nam spokój z tą milicją! - Marek widział siebie w roli bohatera i nie zamierzał z niej zrezygnować. - Będziemy zawracać im głowę jakimiś pętakarni. Sami ich załatwimy.

Rowery nam chyba pożyczysz...

- Niby dlaczego wam? - Jurek nastroszył się. - Że Michał pojedzie, to jasne. On ich podsłuchał i ma prawo. Ale dlaczego ty? Ja także mogę jechać.

- Dżudo... - przypomniał Marek.

- Poradzę sobie bez dżudo. Tutaj w Ostródzie nie ma dla mnie silnych. Przed waszym przyjazdem...

- Czekajcie - Michał wystąpił z propozycją. - Skoro zgadzacie się, że ja mam jechać, musimy wybrać tego drugiego.

- A kto niby ma go wybierać? - Jurek spojrzał na niego podejrzliwie. - Ty?

- Nie ja. Los. Pociągniemy zapalki.

- Możemy ciągnąć - zgodził się Marek. - Mam nadzieję, że los nie będzie tym razem

ślepy.

- Dobrze, ciągniemy. - Jurek podał Michałowi pudełko zapalek, z których tamten wybrał dwie. U jednej odłamał łeppek i obydwie ukrył w dłoni, tak że Sterczały tylko jednakowe końce.

- Kto pierwszy?

- Ciągnij, Marek.

- No proszę! Miałem rację, że los nie będzie ślepy - pokazał z triumfem całą zapalkę.

- A ja bym jednak poszedł na milicję - westchnął Jurek, spojrzął na nich z ukosa i nie już nie mówiąc poszedł do komórki, żeby sprawdzić, czy dętki są w porządku.

Nad Jeziorem Czarnym na wszelki wypadek byli już o pierwszej. Chmury się rozeszły, od księżycy wiszącego nad lasem padała na ciemną wodę srebrzysta poświata. Powierzchnia jeziora, zmarszczona lekkim wiatrem, wyglądała jak ogromny płat błyszczącej lamy.

Chłopcy pozostawili rowery w szopie, przykryli je gałęziami, żeby nie błyszczały i ostrożnie podeszli do jeziora. Stróż spał. Z małej budki nad brzegiem dobiegało jego chrapanie. O parę metrów dalej, przycumowane grubą liną do głęboko wbitego kołka leżały w wodzie trzy duże skrzynie osłonięte od góry gęstą, drucianą siatką. Widzieli dokładnie, jak coś się w nich kłębi.

- Sto kilo węgorka - szepnął Michał.

Obudzili dozorcę. Rozespany i wystraszony otworzył usta, jakby chciał krzyknąć.

- Przyszliśmy pana ostrzec - powiedział szybko Michał.

- I obronić - dodał Marek.

Ta wiadomość zamiast go uspokoić sprawiła, że zadzwonił zębami i spojrzął na nich przerażonym wzrokiem.

- Niech pan słucha - Michał pokrótce opowiedział w czym rzecz.

W miarę jak mówił, stary się uspokajał, a kiedy zakończył, był już w stanie powiedzieć, co o tym wszystkim myśli.

- Bandziory, psiakrew! - zasapał. - Węgorzy im się zachciało! A kaszankę żreć nie łaska? To co teraz, panowie?

- Teraz - Marek spojrzął na zegarek, dochodziło wpół do drugiej - my się ukryjemy za tym drewnem - pokazał na sąg kłoców ułożony opodal budki - i pan położy się spać.

- Myślicie, że zasnę, jak już wiem, co się tu szykuje...

- Nie musi pan spać. Wystarczy, żeby oni myśleli, że pan śpi.

- A kiedy podejda do pana - pouczał go z kolei Marek - i usłyszysz pan kroki, niech pan

nawet zachrapie.

- Dobrze wam tak mówić. Ja będę udawał, a te łobuzy mnie na serio - pałą.

- Trzonkiem od siekiery - sprostował, jak zwykle dokładny Michał.

- Co za różnica - starego ta informacja bynajmniej nie uspokoiła. - Fakt, że mi przyłożą.

- Nie przyłożą. Słyszałem przecież, co mówili. Jeżeli pan będzie spał...

- Za cholere nie zasnę!

- Jeżeli pan będzie udawał, że pan śpi - Michał westchnął - wpakują panu jakąś szmatę do ust...

- Uduszę się - zajęczał.

- O rany, z panem to jak z dzieckiem - Marek leż się zniecierpliwił. - Wsadzą panu szmatę i to będzie dowód na to, jakie mieli zamiary. Pozwolimy im nawet podciągnąć węgorze do brzegu. Pan będzie świadkiem. Z budki wszystko widać, a oczu panu nie zawiążą, bo i po co. Mogę się założyć, że będą w maskach.

Kilkanaście minut po drugiej ze ścieżki wychodzącej na polanę i dalej, na jezioro, wyłoniła się wysoka ciemna sylwetka. Był to z pewnością bas. Podprowadził rower do szopy, oparł o ścianę. Przez chwilę nasłuchiwał, ale uspokoiło go chrapanie dobiegające z budki.

Usiadł obok roweru, zapalił papierosa. Światło zapałki padło mu na twarz i chłopcy zauważyli, że miał zasłoniętą jakąś czarną szmatą. Pałac, podciągnął ją do góry.

W kwadrans później zjawił się dyszkant.

Teraz już wszystko potoczyło się szybko. Amatorzy węgorzy podkradli się do budki, błyskawicznie zakneblowali dozorcę usta; przez chwilę kotłowało się tam, ale potem ucichło.

Z budki, w której pozostawili skrzepowanego stróża, rabusie poszli prosto nad jezioro.

Chwycili linę, do której przywiązane były skrzynie i wtedy doskoczyli chłopcy.

Walka trwała bardzo krótko. Trudno to nawet nazwać walką. Nim tamci zorientowali się co i kto, leżeli na ziemi.

Michał, któremu przypadł słabszy przeciwnik: drobny i szczupły dyszkant, podprowadził go do budki, drugą ręką, przygotowanym zawczasu nożem, poprzecinał sznury krępujące dozorcę. Wyswobodzony dozorca sprawnie i szybko powiązał opryszków.

Przez cały czas nie odezwali się ani słowem. Dopiero kiedy Michał zapowiedział, że jedzie na milicję, żeby ich dobrze pilnowali i nie zdejmowali masek, bo im w nich do twarzy, bas podsumował całą wyprawę: - No i mamy węgorze, cholera!

W komendzie Michał zapukał do dyżurki, wszedł i twarz mu się rozjaśniła; za stołem siedział znajomy sierżant - ten z Malborka, a później z wieży.

- Cześć! - odpowiedział na jego powitanie. - I co tam znowu?

- Węgorze.

- Masz? Przyniosłeś? A wiesz, że by się zjadło - sierżant komicznie się oblizał. - Uwielbiam wędzone węgorze. No, ale teraz poważnie. O co chodzi?

- O węgorze - Michał w telegraficznym stylu opowiedział całą historię.

Sierżant słuchał nie przerywając i coraz bardziej miał niezadowoloną minę. Kiedy Michał skończył, wstał, zdjął z wieszaka pas i zapinając go na dość wybitnym brzuchu stwierdził z naganą w głosie:

- Do nas trzeba z tym było przyjść, a nie na własną rękę. A gdyby tak wam dołożyli, to co? Do kogo mielibyście pretensje, do milicji?

- Do milicji na pewno nie. Jeżeli już, to do siebie. Ale pan chyba, panie sierżancie, nie ma nam za złe, że przyłapaliśmy łobuzów. Na gorącym uczynku - podkreślił.

- Równe z was chłopaki - sierżant położył mu rękę na ramieniu. - I wiesz co - przymrużył oko - Coś mi się widzi, że jutro zaprosicie mnie na obiad.

- Bardzo chętnie - przystał skwapliwie Michał. - Jurek upitrasi kuraka...

- Odpada. Myślałem o węgorzach.

- No tak... - Michał zakłopotał się. - Sam bym zjadł węgorza, ale przecież z tych skrzynek nie odliczymy sobie za usługę. A w Centrali Rybnej...

- Nie będziecie musieli chodzić do żadnej centrali - sierżant otworzył boczne drzwi, przywołał kolegę plutonowego. - Zastąpisz mnie tutaj - polecił - a ja z tym obywatelom i z Kamińskim jadę nad Jezioro Czarne.

- A co tam masz? - zainteresował się dyżurny.

- Węgorze - sierżant roześmiał się, a prowadząc Michała do stojącej przed komendą warszawy ujął go pod ramię i oświadczył autorytatywnie: - Nie będę się nazywał Patera, jeżeli dyrektor znad Czarne nie każe wam podrzucić ze dwa, trzy kilo węgorza. I to jeszcze przed południem, żeby ten twój Jurek zdążył przyrządzić na obiad.

Siedzieli jeszcze przy stole i Michał po raz drugi - pierwszym słuchaczem był Jurek - opowiadał zaszuchanej i podekscytowanej Jolce o wydarzeniach z ubiegłej nocy. W tym czasie przed domem zatrzymał się samochód. Wysiadł z niego mężczyzna w kombinezonie, któremu drugi mężczyzna podał z wozu sporą skrzynkę. Było w niej, tak na oko, z pięć kilogramów węgorzy.

Otrzymali jeszcze kartkę od dyrektora Państwowego Gospodarstwa Rybnego z bardzo serdecznym podziękowaniem.

Rozdział VIII

- Michał... - zaczął niepewnie Marek - mam do ciebie prośbę. Trochę mi głupio...

Siedzieli przed domem na ławce, nieco ociężali po obfitym śniadaniu. Jolka w swoim pokoju na górze kończyła list do ojca, Jurek w kącie ogrodu, pod szopą majstrował coś przy dulkach plastikowej łodzi. Za pół godziny, jak zwykle, mieli wypłynąć na jezioro. I jak zwykle - ściślej, od paru dni - bez Marka, ten bowiem kategorycznie oświadczył, że z przejażdżek rezygnuje, bo najwidoczniej mu to szkodzi. Po wyjściu z wody w głowie mu się kręci, boli go głowa i w ogóle źle się czuje. Prawdopodobnie coś w rodzaju choroby morskiej, oczywiście na miarę Jeziora Drwęckiego.

- Bo widzisz... - podjął znowu Marek nie wiedząc, jak wyłuszczyć tę swoją prośbę.

Michał, którego bawiło zażenowanie tak zazwyczaj pewnego siebie przyjaciela, wreszcie się nad nim zlitował.

- Owszem, widzę, że minę masz raczej niewyraźną. Powiedz wreszcie, o co ci chodzi.

- Bo widzisz... - powtórzył Marek i roześmiał się.

Michał także parsknął śmiechem. To jakoś rozładowało sytuację.

- Co ci będę dużo gadał...

- Jak dotąd, wiele nie powiedziałaś.

- Krótko mówiąc, potrzeba mi forsy.

Role się odwróciły i Michałowi, mimo że nie dał tego po sobie poznać, sprawiło to niemalą satysfakcję. Dawniej Marek proponował pożyczkę, teraz, po sprzedaży wygranego telewizora Michał był w tym gronie prawdziwym finansowym potentatem.

- Ile? - zapytał taktownie nie wnikając, na co Markowi potrzebne są pieniądze.

- No... czy ja wiem...

- A ja mam wiedzieć?

- Ze dwa kawałki - speszony spojrział na Michała. - Możesz tyle pożyczyć?

- Pewnie, że mogę. Tylko, jak wiesz, mam na książeczce. Zostawiłem sobie trzysta złotych.

- Michał... nie śmiem cię prosić...

- Daj spokój. Załatwione.

- Tak, tylko że ja bym potrzebował teraz.

- W tej chwili?

- Właśnie. Nim wypłyniecie na jezioro.

- Zrobione. Chodźmy. Jurek! - zawołał w stronę szopy. - Na chwilę idziemy do miasta.

Najdalej za pół godziny jesteście z powrotem.

- Dobra - odkrzyknął. - Tylko nie później!

Od razu przy okienku na poczcie Michał wręczył Markowi dwa tysiące, po czym wrócił do domu, Marek zaś poszedł w kierunku przejazdu. Nie zauważył, że kilkanaście metrów za nim, kryjąc się za plecami przechodniów, przemyka Waldek.

Już wczoraj, mniej więcej o tej samej porze, towarzyszył im do „Zacisza”, im - to znaczy Markowi i Iwonie. „Zacisze” było nocnym lokalem, który mieścił się w budynku przypominającym ujeżdżalnię, w głębi parku, kilkadziesiąt metrów od ulicy. Kryjąc się za drzewami, można było podejść pod samo okno. Waldek tak właśnie zrobił. Stwierdził też, że interesująca go para zajęła środkową łożę, po lewej stronie sali. Ponieważ zakochani - a tamci na takich wyglądali - przyzwyczajają się na ogół do miejsc, z którymi łączą ich jakieś wspomnienia, był przekonany, że i tym razem siądą tam, gdzie poprzednio.

Nie omylił się. Przez to samo okno co wczoraj widział, jak Marek pomachał ręką w stronę środkowej łoży i szybkim krokiem podążył w tamtym kierunku.

Waldek przez chwilę się zastanawiał, wreszcie podjął decyzję. Pchnął szklane drzwi i wszedł do środka. Łoża obok tamtej, ta bliżej wejścia, była wolna. W ogóle o tej porze w lokalu było dość pusto.

Zamówił kawę i kawałek węgierskiego tortu, rozłożył „Politykę”. Miała duży format i w razie czego można się nią było z powodzeniem zasłonić.

Łoże były poprzedzielane cienkimi ściankami z dykty, spełniającymi jedynie rolę parawanów, a ponieważ usiadł tuż przy ściance, słyszał wszystko, co mówili sąsiedzi.

Początkowo rozmowa niewiele go interesowała. Wywnioskował, że Jola ulokowała swoje uczucia raczej niezbyt fortunnie.

- Gdyby mnie taka dziewczyna kochała - pomyślał rozgoryczony - na żadną inną bym nie spojrział. Głupi jest ten Marek...

Tymczasem „głupi Marek” otrzymał propozycję, która sprawiła, że Waldek przykleił ucho do ścianki.

- Wiesz, za Ostródą... niedaleko, jak się jedzie na Stare Jabłonki... jest tam taka gajówka... Właściwie, to już nie gajówka. Kiedyś, przed wojną mieszkał tam gajowy, a teraz to należy do moich znajomych. Nie masz pojęcia, jak sobie to wszystko fajnie urządzili.

Ściany z heblowanych desek, pułapy z belek, a przy tym pełny komfort.

Dziewczyna miała głos taki, że - Waldek obiektywnie musiał przyznać - już w tym

samym głosem można się było zakochać. No tak, ale Waldek był z natury kochliwy.

- Znajomi wyjechali w góry. Gdzieś pod Karpacz. Na całe dwa miesiące - mówiła dalej dziewczyna. - Zostawili mi klucze.

Waldek usłyszał cichy trzask zamka od torebki i zaraz potem brzęk. Pewnie ten klucz rzuciła na stolik.

- No dobrze, masz klucze i co z tego? - Marek miał zmieniony jakby nie swój głos.

Waldek dałby wiele, żeby móc zobaczyć teraz jego minę. Wprawdzie mógł wstać i podejść do ich łoża, ale wtedy byłby już całkowicie spalony.

Dziewczyna za ścianą roześmiała się.

- Głuptasie - powiedziała takim tonem, że Waldkowi zrobiło się gorąco. - Jeszcze do ciebie nie dotarło? Nie? No więc słuchaj. Spotykamy się zawsze ukradkiem, nie chcesz, żeby zobaczył cię ktoś z twojej paczki. I ja wolę, żeby za dużo nie gadano. Mam tutaj zbyt wielu znajomych. Więc jak, pojechałbyś do mnie, do tej gajówki...?

- I mam tam zostać na noc? - w tym pytaniu było i olśnienie, i przerażenie. To ostatnie zresztą tak wyczuwalne, że Waldek z trudem się powstrzymał, aby nie parsknąć śmiechem.

Dziewczyna także była rozbawiona.

- To od ciebie zależy.

- A... a oni?

- Zawsze oni! - teraz już ją rozgniewał. - Czy musisz być z nimi stale? Od rana do wieczora i jeszcze w nocy - dodała trochę ciszej.

- No, nie przesadzaj, Iwonka. Przecież choćby w tej chwili.

- A dla mnie te dwie godziny, kiedy tamci pływają po jeziorze, to za mało. Rozumiesz?

Za mało. I w ogóle chciałabym mieć ciebie tylko dla siebie. Nie na dzień, czy na tydzień. Na zawsze.

Waldek słyszał teraz niewyraźne szepty i odgłosy pocałunków. Poczzerwieniał, jak gdyby to on był tym całowanym.

Widocznie propozycja została przyjęta i dziewczyna przeszła do omawiania szczegółów.

- Możesz się urwać po kolacji. Powiesz, że jedziesz do Olsztyna, że masz tam coś załatwić. Co, to już sobie wymyślisz.

- Nie muszę niczego wymyślać. Olsztyn im wystarczy.

- A z Olsztyna zadzwonisz... Czy tam jest telefon.

- Jest.

- No więc zadzwonisz, że nocujesz u znajomych.

- Czekaj! Przecież ta gajówka jest przed Olsztynem.

- I co z tego?

- A mówiłaś, że zadzwonię z Olsztyna.

- Tak mi się powiedziało. Zadzwonisz ode mnie, tylko powiesz, że dzwonisz z Olsztyna.

- Rozumiem. O której się spotkamy?

- A o której macie kolację?

- Siódma - ósma. W tych godzinach.

- Powiedzmy o dziewiątej. Gdzie?

- Może w kawiarni, w pawilonie.

- Niech będzie pawilon - zgodziła się. - Kupimy przy okazji parę ciastek do wina.

- A coś konkretnego? Ty jeszcze nie wiesz, ale apetyt to ja mam niewąski.

- Nic się nie martw. Lodówka pełna.

- Tylko żebyśmy złapali taksówkę - Marek zakłopotał się. - Kiedyś to z godzinę czekałem na postoj.

- O to też się nie martw. Mam tu takiego, co wozi na łebka. Już się z nim nawet umówiłam na wieczór.

- Wiedziałaś, że pojedą? - Waldek znowu usłyszał, że się całują.

- Spróbowałbyś nie pojechać.

Przez parę minut trwało milczenie, które tylko jednoznacznie można było sobie tłumaczyć, po czym Marek przywołał kelnerkę i zamówił dwa kieliszki martini.

Waldek dokończył swój tort, zapłacił i opuścił kawiarnię. Zastanawiał się, jak dowieść Jolce, że u Marka nie ma już żadnych szans.

Pokazać jej czarno na białym - pomyślał i aż przystanął. Tak, to była myśl. Czarno na białym - na zdjęciu. Zrobi im zdjęcie, jak będą wychodzili z tej gajówki. Żeby jednak tego dokonać, musi najpierw wiedzieć, że Marek tam będzie.

Swoją kolorową syreną nie mógł tam pojechać; do gajówki prowadziła z pewnością leśna droga, będzie już ciemno i światła reflektorów od razu by go zdradziły. Zdecydował, że pojedzie rowerem. Syn gospodarzy, u których się zatrzymał, posiadał jakiegoś starego grata, na pewno mu pożyczycy. Dochodząc do poczty, miał już gotowy plan. Marek umówił się z Iwoną o dziewiątej, a więc on sam musi być na miejscu najdalej dziesięć, piętnaście po dziewiątej. Przedtem jeszcze musi się dowiedzieć, gdzie ta gajówka. Dokładnie. Nie przypuszczał, żeby miał z tym jakieś trudności. W nadleśnictwie nawiązał sporo znajomości,

wiadomo, migawki do kroniki. Nawet się nie spostrzegą, jak będzie wiedział kto i gdzie.

Waldek, mimo swego czasami aż żenującego infantylizmu potrafił, gdy zachodziła potrzeba, zadziałać sprytnie i skutecznie. Tak było i teraz. Zaczął rozmowę od zachwyty nad wypoczynkiem na tak zwanym łonie natury, zahaczył o gajówki i leśniczówki, zapytał, czy nie można by się gdzieś ulokować na lato. Kołował i kluczył tak długo, aż doszedł do starej gajówki, o której mówiła Iwona. Jego informator bardzo mu ją zachwalał - komfortowo urządzona, jest nawet telefon. A ponieważ właściciel, znany lekarz z Olsztyna, z reguły lato spędza w górach, chata stoi czasami pusta. W tym roku podobno ktoś już tam mieszka, ale w przyszłym można spróbować. Uczynny leśnik pokazał nawet na mapie, gdzie ta gajówka.

Waldek porozmawiał jeszcze o niebezpieczeństwie pożarów lasu, żeby nie pomyślano, że przyszedł wyłącznie w prywatnej sprawie. Posiedział jeszcze kilka minut i pożegnał się zapewniając, że w przyszłym roku wakacje spędzi w lesie. Na razie miał spędzić w lesie noc.

Na miejscu, czyli przed starą gajówką był punktualnie o dziewiątej. Stała ona na rozległej polanie o kilkadziesiąt metrów od drogi. Dom był jednopiętrowy, ogrodzony siatką.

Z trzech stron otaczał go ciasnym murem las. Od drogi zasłaniały go częściowo stare, grube dęby.

Waldek ulokował się w gęstych krzakach z prawej strony gajówki. Rozciągnął na mchu podwójnie złożony koc, który przezornie zabrał ze sobą i położył się na nim opierając podbródek na splecionych dłoniach. W odległości może dziesięciu metrów miał przed sobą furtkę. Widział stamtąd dokładnie wejściowe drzwi osłonięte płaskim daszkiem.

W domu nie paliło się ani jedno światło. Zrozumiałe, przecież Iwona powiedziała, że mieszka tam sama. Odważna dziewczyna - pomyślał odwracając się na bok. Taka samotna, w lesie... Przynajmniej dzisiaj będzie miała towarzystwo.

Towarzystwo właśnie nadjeżdżało. Szum motoru - Waldek pomyślał, że jest to wóz wysokiej klasy - narastał równomiernie, światła omiotły lewą stronę lasu, naprzeciw jego legowiska, skierowały się na bramę. Cały dom zajaśniał, tylko ciemne okna jeszcze bardziej zmatowiały. Proszę, mercedes! I to najnowszy model. Waldek uniósł się na łokciach i nie spuszczał teraz wzroku z czarnego samochodu, z którego właśnie wysiadał Marek. Chłopiec pochylił się i podał rękę Iwonie.

Mercedes od razu odjechał, a Marek z dziewczyną podeszli do bramy. Iwona wyjęła klucz, otworzyła furtkę. Zamknęła ją za sobą, ujęła Marka pod ramię. Przytuleni do siebie przeszli ścieżką do drzwi. Pod daszkiem zapaliła się okrągła, mleczna lampa. W ciągu tych kilkunastu sekund, kiedy drzwi były otwarte, Waldek zobaczył dziewczynę w jasnyniebieskiej, krótkiej sukience, Marka w białych spodniach i w granatowej marynarce, a

później jeszcze fragment ściany wyłożonej boazerią.

Drzwi zamknęły się, ale lampa pod daszkiem paliła się nadal. Zapłonęły światła w jednym, drugim i trzecim oknie. To trzecie zasłaniała do połowy biała firanka. Kuchnia - stwierdził Waldek i poczuł, że jest głodny. Dopiero teraz pożałował, że nie wziął jakiegoś suchego prowiantu. Z żalem myślał o tym, że za trzecim oknem znajduje się lodówka, pełna - jak powiedziała Iwona - różnych dobrych rzeczy. Na pewno mają tam kurczaka na zimno - Waldek mimo woli oblizwał się. Kurczak należał do jego ulubionych przysmaków.

Spojrzał na zegarek. Było pięć po wpół do dziesiątej. O dziesiątej zgasło światło w kuchni. Obzerają się, ciapciaki - westchnął. Zimny kurczak, wino. Do wina pewnie ciastka...

Około jedenastej zgasło światło, najpierw w jednym, a w parę minut później w drugim oknie. Nim Waldek zdążył skomentować ten fakt w myśli, usłyszał znowu szum motoru.

Ten sam mercedes podjechał pod bramę. Lampa przy drzwiach nadal się paliła, Waldek widział więc wyraźnie, jak z auta wysiadł najpierw szczupły, wysoki mężczyzna w ciemnym garniturze. Za nim wysiadło jeszcze dwóch: gruby, wielki chłop w jasnych spodniach i w wiatrówce, i sięgający mu pod pachę chudzielec, również w wiatrówce i w jasnych spodniach.

Ten pierwszy wygasił światła samochodu, otworzył furtkę, przepuścił grubego i chudzielca, i sam wszedł za nimi. Do drzwi wejściowych nie zadzwonił, lecz otworzył je sam.

Waldkowi, któremu już powieki zaczynały ciężać, momentalnie odechciało się spać.

Coś tutaj nie grało. A może właśnie grało, tylko nie tak, jak to sobie wyobrażał Marek wybierając się do tej gajówki... Przecież Iwona mówiła, że będą sami. No i ten z mercedesa.

Jakiś dziwny facet. Ma samochód za kilkaset tysięcy i dorabia wożeniem na łebka. A może to nie właściciel, lecz kierowca? Najpierw kogoś odwozi, później kogoś przywozi. Nawet dwóch. I otwiera drzwi własnym kluczem...

W domu znowu pozapalały się światła. Czują się jak u siebie - stwierdził. A co z Markiem? Ja na jego miejscu zdrowo bym obsztorcował tę całą Iwonę. Ba! - zreflektował się.

On jest sam, a tamtych trzech. Łatwo mi mówić - na.jego miejscu...

Nagle ciarki przebiegły mu po plecach. A jeśli to była pułapka i oni Markowi zrobią coś złego?

W pierwszym odruchu chciał się zerwać, złapać rower i jechać do Ostródy, do tamtych.

Niechby coś poradzili, pomogli. Nie, też niedobrze. Pojedzie, a tymczasem tutaj sytuacja może się zmienić. Chyba lepiej będzie, jeżeli zostanie i zobaczy, jak to się dalej ułoży.

Wyciągnął się na kocu z samego brzegu, nakrył się drugą częścią, podłożył rękę pod głowę. Będzie czuwał do rana. A może i dłużej. Dopóki Marek nie wyjdzie. Nawet nie wiedział, kiedy zasnął, bo na zegarek już nie patrzył.

Kiedy się obudził, dochodziła siódma. Był zmarznięty, głodny, zły na siebie, na Iwonę, a najbardziej na Marka. W dziennym świetle wczorajsze obawy zbladły, straciły na wartości.

Bo i cóż z tego, że tamci także przyjechali do gajówki? Przecież Iwona mówiła, że tylko właściciele nie ma. Dom duży, było miejsce i dla niej, i dla innych.

- Czort z nimi! - podsumował ich wszystkich łącznie z Markiem i uświadamiając sobie, po co tu właściwie przyjechał, sięgnął po leżącą obok koca torbę, wyjął z niej practice i założył teleobiektyw. Prawdopodobnie Marek będzie chciał na śniadanie wrócić do Ostródy, mogą więc wyjść w każdej chwili. Mercedes dalej stał przed bramą; niewykluczone, że ten sam facet odwiezie ich do miasta.

Patrzył na drzwi, aparat miał pod ręką, wystarczyła spuścić migawkę. W ciszy, nie zakłóconej najlżejszym szelestem liści usłyszał zgrzyt klucza w zamku. Wycelował obiektyw na drzwi. Uchyliły się. Stała w nich Iwona. Kiedy wyszła na podest, a o krok za nią stanął mężczyzna, Waldek nacisnął spust i dopiero po automatycznym niemalże wykonaniu zdjęcia, zdał sobie sprawę, że będzie miał na nim Iwonę, ale bez Marka. Mężczyzna, który teraz szedł do furtki, był tym z mercedesa.

Waldek nie ochłonął jeszcze po tej niespodziance, gdy w drzwiach nadal otwartych ukazali się kolejno: gruby i wielki, i mały chudzielec. Ten ostatni zatrzymał się, wyjął klucz z wewnętrznej strony i zamknął nim drzwi. Zamknął również furtkę. Wszyscy czworo wsiedli do mercedesa.

Po ich odjeździe Waldek wstał, przeciągnął się z westchnieniem ulgi i wbił wzrok w gajówkę, jak przysłowiowe cielę w malowane wrota. Marek tam został sam. Sam! A przecież normalnie dziewczyna zapraszająca chłopca do domu nie zostawi go samego i nie pojedzie z innymi.

Trzeba działać. Przez ogrodzenie przejść nie sztuka, do domu też się można jakoś dostać. Można ostatecznie wybić szybę w oknie. Schylił się po aparat, nie mógł go tu przecież zostawić, ale zaraz rzucił się na ziemię i przywarł do koca. W drzwiach bowiem znowu zazgrzytał klucz.

Na podeście stanął krępy, siwowłosy drab w rozchełstanej koszuli, w drelichowych portkach sfałdowanych w harmonijkę. Postać tak chwilę, przeciągnął się, przejechał palcami po zmierzwionej czuprynie.

- Stróż - stary najbardziej pasował Waldkowi do tej roli. - Ładnie bym wyglądał, gdyby mnie tak przyłapał okrakiem na siatce. Trudno byłoby go przekonać, że pomyliłem adres.

Domniemany dozorca jeszcze przez chwilę drapał się po głowie, ziewnął i poczłapał w kąt ogrodzenia, gdzie stała buda wyglądająca na kurnik. Był to istotnie kurnik, bo stary wyszedł stamtąd z kilkoma jajkami w garści.

Nie było na co czekać. Wprawdzie nie było również żadnych konkretnych dowodów, że zaszło tutaj coś niezgodnego z prawem, ale tym niech się martwią przyjaciele Marka. Moja rola skończona - pomyślał Waldek.

Do willi nad jeziorem jechało się obok domu, w którym miał kwaterę. Zostawił tam rower i w ciągu kilku minut zrobił odbitkę ze zdjęcia. Obejrzał ją dokładnie i uśmiechnął się zadowolony. Twarze Iwony i tego od mercedesa wyszły tak ostro, że można by zdjęcie powiększyć do portretowych rozmiarów.

Nad jeziorem jeszcze spali. Dzwonił tak długo, nie odrywając palca od dzwonka, aż w przedpokoju rozległy się kroki i zaspany głos niezbyt uprzejmie zapytał, kogo o tej porze lichy niesie.

- Nie wydziwiał, otwórz. To ja, Waldek.

- Co, zdjęcia przyszedłeś nam robić - Jurek, który otworzył drzwi, patrzył na gościa nie bardzo przytomnie. - Nie za wcześnie, stary?

- Zdjęcia, to ja już zrobiłem - Waldek, wszedł do środka. - A oni co, śpią?

- Ty także mógłbyś jeszcze pospać. Znalazł się ranny ptaszek. Która to godzina?

- Za dziesięć ósma.

- Już? Myślałem, że wcześniej. No to włącz dalej. Zjesz z nami śniadanie?

- Jeżeli szybko zrobisz...

- Spiesz ci się?

- Warn wszystkim zaraz zaczniesz się spieszyć.

Jurek, który już wchodził do kuchni, odwrócił się.

- A to niby dlaczego?

- Dlatego - Waldek sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął zdjęcie.

- Co ty tam masz?

- Zobacz - podał mu odbitkę.

- I co tu mam zobaczyć. Jakaś babka... Całkiem niezła. Jakiś facet...

- U tej babki nocował dzisiaj Marek.

- W Olsztynie?

- W jakim tam Olsztynie. Koło Starych Jabłonek.

- Dzwonił, że zostanie w Olsztynie, tak przynajmniej nam powiedział.

- Nieważne, co wam powiedział. Ważne, co ja powiem.

- Ty; wiesz, że ja teraz jestem głupi - oświadczył Jurek, kiedy Waldek skończył - naprawdę nie wiem co o tym wszystkim myśleć. Historia nie z tej ziemi!

- Jak najbardziej z tej i boję się, że paskudna.

- Idę ściągnąć ich z łóżek - Jurek wbiegł na schody. - Nastaw wodę na herbatę - przechylił się przez poręcz. - A jeżeli umiesz zrobić jajecznicę, to jajka są w kredensie, na dole. Masło w lodówce, kiełbasa też! - zawołał już z pierwszego piętra.

To nie było zwyczajne ściągnięcie z łóżek, lecz raczej bojowy alarm, bo już po kilku minutach cała trójka znalazła się na dole. Przy śniadaniu, które w błyskawicznym tempie przyrządził Jurek, Waldek dokończył swoją relację i położył na stole zdjęcie.

- Czekaj, czekaj! - Michał usiłował coś sobie przypomnieć. - Tę dziewczynę, to ja chyba znam.

- Pewnie, że znasz - Jolka postukała palcem w odbitkę. - No, przypomnij sobie.

- Kiedy...

- Kiedy? Pierwszego dnia w Sopocie. W „Ermitażu”.

- Racja. Była z takim wielkim, grubym i z drugim małym, chuderlawym...

- A Marek chwalił się przed nimi, że ma znanego ojca, że ojciec pracuje w Instytucie...

Waldek, który z zaciekawieniem spoglądał to na Jolkę, to na Michała, coś sobie zaczął kojarzyć.

- Moi drodzy - zaczął wolno, niemalże dramatycznie. - A gdyby tu nie chodziło o Marka, lecz o jego ojca?

- Coś ty sobie znowu wydumał? - Michał popatrzył na niego ze zdziwieniem. - A co jego ojciec może mieć wspólnego z babką, która mu podrywa synalka?

- A ty wiesz, że może - Jolka pokiwała głową. - No bo pomyśl tylko. Jeżeli ci dwaj z Sopotu i ci z gajówki to jedni i ci sami, trudno mówić o jakimś zbiegu okoliczności. I jeszcze ten mercedes, niewykluczone, że z obcą rejestracją. Miał może obcą rejestrację? - zapytała Waldka.

- Nie wiem, nie zauważyłem.

- Skończyliście? - Jolka wstała od stołu. - To idziemy. Szybciej, szybciej.

- Do gajówki? - Jurek wypił ostatni łyk herbaty, odsunął szklankę. - Mam tylko dwa rowery...

- Na komendę nie musimy jechać. Możemy się przejść.

- To ty chcesz na milicję?

- Jasne, że na milicję! A ty Michał, jak? Wolalbyś na własną rękę?

Michał nie odpowiedział.

- Nic z tego, mój drogi. Jeżeli to jest to, o czym myślał Waldek, gra będzie o wiele poważniejsza niż wtedy, przy skrzynkach z węgorzami.

W dyżurce zastali sierżanta Paterę.

Na ich widok zamrugał i aż się pochylił do przodu.

- Niemożliwe, to znowu wy!? Czwarty raz, a powiadają, że do trzech razy sztuka.

- Panie sierżancie - Jolka zaczęła takim tonem, że sierżant machinalnie poprawił pas i odchrząknął.

- No słucham, słucham.

- To może być nic, a może też być i coś naprawdę bardzo poważnego.

- Pamięta pan mojego przyjaciela... - wtrącił się Michał.

- Taki biały... To co?

- Obawiamy się, że wpadł.

- Jak śliwka w kompot - uzupełnił Jurek.

- Niewiele mi to mówi - stwierdził sierżant. - Może któryś z was uporządkowałby to wszystko.

- To ja powiem - zgłosił się Waldek. - Oni zresztą wiedzą ode mnie.

Zaczął od rozmowy w „Zaciszu”.

- Obawiałem się o Marka - mówił dalej. - Ta gajówka gdzieś na bezludziu... jakiś prywatny samochodziarz dorabiający na łebkach... Nie podobało mi się to... Chciałem się tej gajówce przyjrzeć z bliska...

- A może byłeś zazdrosny... - sierżant urwał, poprawił się. - Może był pan zazdrosny o tę babkę...?

- O tamtą, nie - Waldek poczerwieniał, a Jolka uśmiechnęła się.

- No proszę i co dalej?

Kiedy doszedł do ponownego przyjazdu mercedesa, a Michał przerwał mu i opowiedział o spotkaniu w „Ermitażu” i o doktorze Witoldzie Zagajewskim, sierżant cichutko gwizdnął.

Waldek skończył, w dyżurce na chwilę zapadło milczenie.

- No cóż - Patera sięgnął po słuchawkę. - Przekażę was dalej.

Dalej znaczyło - na pierwsze piętro. Przyjął ich tam sympatyczny porucznik, z uwagą wysłuchał relacji, zamyślił się nad zdjęciem.

- Znajomi - stwierdził chowając odbitkę do szuflady. Na pytające spojrzenia całej czwórki odpowiedział pytaniem:

- Kiedy wraca ojciec Marka?

- Pojutrze - odpowiedział Michał. - Wiem, bo następnego dnia, to znaczy we wtorek, miał dzwonić do ojca, żeby mu podesłał trochę forsy.

- Czy w domu u nich ktoś teraz jest?

- Gospośia.

- Na razie wam dziękuję - porucznik wstał zza biurka.

- A co z Markiem? - zafrasowała się Jolka. - Zostawimy go tam?

- Marek albo sam wróci i zje z wami obiad, albo...

- Albo...?

- Albo jeszcze przez parę dni będzie gościem Iwony. Nie obawiajcie się - uprzedził ich protesty - mogę wam zaręczyć, że nic mu się nie stanie. Jeżeli moje domysły są słuszne, tylko żywy i zdrowy Marek przedstawia dla tamtych jakąś wartość.

Marek w tym dniu nie wrócił do willi nad jeziorem. Po kolacji, którą zjedli w raczej dość kiepskich humorach, rozeszli się do swoich pokoi. Michałowi nie chciało się spać - wyszedł na taras. Oparł się o balustradę, zapatrzył w wieżę. Tamten wariat był o wiele mniej groźny niż ci z gajówki. Drzwi obok cicho skrzypnęły, usłyszał lekkie kroki. Obok niego stanęła Jolka.

- I co ty o tym myślisz? - spytała.

- To, co już powiedziałem. Wydaje mi się, że to typowe kidnaperstwo.

- Kidnaperzy porywają dzieci - zauważyła.

- A Marek, to kto? Też dziecko, tyle że wyrosnięte.

Roześmiała się.

- A ty się nie śmiejesz, bo to wszystko twoja wina. Gdybyś nie zakochała się w Marku...

- No wiesz!

- Wiem, wiem.

- Nic nie wiesz! O Boże, jakis ty głupi!

- Przy tobie rzeczywiście można czasem zgłupieć.

- Nie wykręcaj się. I jeżeli już mowa o czyjejs winie, to raczej ty jesteś winien.

- No wiesz! - teraz Michał oburzył się.

- A tak! Patrzyłeś na mnie jak na powietrze...

- Jak na koleżankę, Na kumpla.

- Właśnie! A ja nie chcę. Rozumiesz, nie chcę!

Michał nareszcie zaczynał rozumieć.

- Więc ty Jolka... - położył rękę na jej dłoni opartej o balustradę.

- Tak, głuptasie! Tak! - zarzuciła mu ręce na szyję. Podniosła na niego oczy, w których zalśniły łzy i z których wyczytać mógł wszystko. Była taka śliczna, że Michałowi zakręciło się w głowie. Otoczył ją ramieniem, żeby nie stracić równowagi przygarnął ją jeszcze mocniej. Przez cieniutką sukienkę czuł ciepło jej ciała, czarne włosy miały zapach ziół.

Całował ją zachłannie, za te wszystkie dni z nią, a przecież bez niej, za każdą noc, kiedy rozdzieleni ścianą nie śpiąc, myśleli o sobie.

Zdyszana cofnęła głowę.

- Więc jak z tą winą? - uśmiechnęła się.

- Moja wina! - uderzył się w piersi. - Gdybym nie traktował cię jak kumpla, nie podrywałabyś Marka, Waldek nie byłby o niego zazdrosny i nie musiałby szukać kompromitujących dowodów...

- Czekaj, to coś nie tak - przerwała mu. - Bo przecież Marek i tak by został w gajówce, tyle że nikt by o tym nie wiedział. Nie byłoby żadnego świadka.

- Racja! Wobec tego nie ma mowy o winie. Gdyby nie my, Marek byłby bez szans.

- A jednak boję się o niego - szepnęła.

- Niepotrzebnie. O Marku myślą teraz mądrzejsi od nas.

Ci mądrzejsi, kapitan z Komendy Głównej MO i major kontrwywiadu przyjechali z Warszawy następnego dnia.

Minęły jeszcze dwa dni. Grali przed obiadem w ogona oczekując, aż się ugotują kartofle, kiedy w holu zadzwonił telefon.

- Tu porucznik... - przedstawił się. Był to ten sam sympatyczny oficer, któremu przekazał ich sierżant Patera. - Jedziemy po waszego Marka.

- A czy my... - Michał zaniemówił z wrażenia.

- Właśnie po to dzwonię. Jedną osobę możemy ze sobą zabrać. Kogo delegujecie?

- Ja pojedę - zdecydował za wszystkich. Jolka odpadała, Jurek był tylko znajomym, a nie przyjacielem Marka jak on.

- W porządku - zgodził się porucznik. - Czekamy w komendzie. Dziesięć minut czekamy - zastrzegł się.

- Słuchajcie! - Michał wpadł do pokoju. - Marek dzisiaj wraca. Jadą po niego. Ja jadę z nimi.

- A my? - poderwała się Jolka.

- Tylko jedna osoba.

- Chyba, że tak - Jolka nie mogła odmówić Michałowi prawa pierwszeństwa. - Tylko wracajcie szybko.

- Najszybciej, jak tylko będzie można - obiecał już w drzwiach. - A wy tu tymczasem przygotujcie świąteczny obiad.

- Zrobi się! - odkrzyknął Jurek. - Idę po kuraki.

- A ja po ciacha! - zawołała za nim Jolka.

Wyruszyli sprzed komendy dwoma samochodami. W czarnej wołdze obok kierowcy siedział kapitan z Warszawy, z tyłu Michał, major i dystyngowany, szpakowaty pan, tak podobny do Marka, że Michał tylko lekko się uśmiechnął. Nie musiano ich ze sobą poznawać; od razu wiedział, że to doktor Witold Zagajewski.

Doktor przez cały czas milczał. Ożywił się tylko na chwilę, kiedy skręcili z szosy w leśną drogę i zatrzymał ich tam milicjant.

- Droga wolna - zsalutował nachylając się do otwartego okna wołgi. - Jest tylko stróż, a i on kręci się poza ogrodzeniem. Rwie trawę dla królików.

- W porządku - ucieszył się kapitan. - Zdejmiemy go razem z trawą.

Nie dojeżdżając do polany, obydwa samochody zatrzymały się na chwilę, a gdy ich pasażerowie; szybko wysiedli, minęły gajówkę i pojechały dalej.

Dozorca był tak zaskoczony i przerażony, że bez oporu poprowadził ich do gajówki, zszedł z nimi do piwnicy i otworzył ciężkie drzwi, wzmocnione żelaznymi okuciami.

Marek leżał na wąskim tapczanie, który stanowił tu jedyny mebel. Wsparty na łokciu czytał jakąś książkę. Na widok kilku mężczyzn ubranych po cywilnemu usiadł i spojrzał zaniepokojony. Zobaczył Michała.

- To i ciebie też... - zaczął oszołomiony i urwał, bo Michał nie dał mu dokończyć.

Skoczył do niego, szarpnął za rękę, poderwał z tapczanu i zaczął go na przemian ścisnąć i walić po plecach.

- Co „mnie też”? - śmiał się uszczęśliwiony. - Myślałeś, że i mnie przyhaczyli? Nie, stary. Przyjechaliśmy po ciebie. Jesteś, bracie, wolny!

Dopiero teraz Marek oprzytomniał. Dojrzał też ojca, który stał z boku patrząc na syna ze wzruszeniem, a zarazem z naganą.

- Przepraszam cię, tato - z opuszczoną głową stanął przed panem Zagajewskim. - Ja naprawdę nie chciałem... Nie przypuszczałem, że to tak się skończy...

- Bądź zadowolony, że właśnie tak się skończyło - ojciec przytulił go do siebie i zaraz odsunął, obrzucił go krytycznym spojrzeniem. - Jak ty wyglądasz! Wymiętoszone to,

wyblakłe...

Marek istotnie wyglądał jak półtora nieszczęścia. Biały ongiś golf mocno poszarzał, ubranie było wygniecione, a niebieskie oczy miały żaloszny wyraz.

- Dokończenie w domu! - zakomenderował wesoło porucznik. - Opuśćcie teraz panowie - odnosiło się to do obydwu Zagajewskich i do Michała - ten niezbyt gościnny dom i powróćcie do Ostródy, ale już inną drogą. Musicie kawałek podejść, ze dwieście metrów.

Pojedziecie warszawą.

W domu nad jeziorem czekali na nich z obiadem. Był również i Waldek. Kiedy przy ciastkach i kawie Michał powiedział, że gdyby nie Waldek, być może nigdy nie trafiono by do gajówki, pan doktor zadumał się, popatrzył raz na Waldka, raz na swojego Marka i widocznie powziął jakieś postanowienie, bo uśmiechnął się lekko i przymknął powieki.

- Czy może mi pan coś obiecać, ale z góry? - zapytał filmowca, gdy przy stole na moment zapanowała cisza.

Wszyscy z zaciekawieniem spojrzeli na doktora, a najbardziej zaintrygowany był Waldek.

- Z góry?

- Tak. W ciemno. Zaręczam panu, że nie będzie to nic, czego nie mógłby pan spełnić.

- Jeżeli tak...

- Chciałbym mieć jakąś pamiątkę, która by przypominała to pożałowania godne wydarzenie...

- A czy nie lepiej o tym zapomnieć? - wyrwała się Jolka.

- Nie. Źle to sformułowałem... która by Markowi przypominała, że postąpił jak... - szukał właściwego określenia.

- Jak baran! - wypaliła Jolka i zarumieniła się. - Przepraszam. Tak mi się wyrwało.

- Może być baran - zgodził się pan doktor, a Marek spojrzał na dziewczynę z wyraźnym niesmakiem.

- Mnie zaś taka pamiątka - mówił dalej Zagajewski-senior - nie dałaby zapomnieć o roli, jaką w tej całej historii odegrał pan Waldek.

Nikt jeszcze nie wiedział, do czego zmierza starszy pan, zaciekawienie rosło.

- Ten kolorowy samochód przed domem, to zdaje się, pana - doktor spojrzał na Waldka.

- Tak, mój.

- Mam taką propozycję: pan mi odda swoją syrenę, a ja dam panu fiata.

To było mocne uderzenie. Waldek otwierał i zamykał usta, Jolka rozpromieniła się,

Michał i Jurek zaczęli bić brawo, tylko Marek miał minę w sam raz pasującą do określenia, jakim obdarzyła go Jolka.

- Wprawdzie ten mój fiat nie jest całkiem nowy - ciągnął dalej Zagajewski-senior - mam go ponad pół roku...

Wszyscy oprócz Marka roześmieli się.

- Ale myślę - kończył doktor - że jeszcze trochę pan nim pojeździ. Więc co, umowa stoi?

- Kiedy... kiedy ja... - Waldek wreszcie przemówił. - Przecież taka zamiana, panie doktorze...

- Każda zamiana jest dobra, jeśli obie strony są z niej zadowolone. Mnie odpowiada to jak najbardziej. A panu, nie?

- No tak... tylko, że... pan sam rozumie, panie doktorze... Ja naprawdę - plątał się i jękał.

- Obiecał pan i sprawa zakończona - stwierdził doktor. - Umawiamy się tak: jedziemy razem do Warszawy, pańską syreną oczywiście, tam pan zostawia swój wóz i wraca moim.

Przepraszam, już wtedy swoim. Formalności z przepisaniem własności załatwimy w ciągu jednego dnia - wstał, wyciągnął rękę. - Zaklepane?

- Zaklepane - wykrztusił Waldek.

Teraz już wszyscy bili brawo, Marek również, ale najślabiej. Michał nie mógł się powstrzymać, żeby nie mrugnąć do niego na temat: dobrze ci tak. Marek odpowiedział takim spojrzeniem, jak przed paroma minutami Jolce. Fiat był formalnie własnością ojca, ale praktycznie to najczęściej korzystał z niego Marek. Teraz będzie go musiał zamienić na czterokolorową syrenę.

- No i co tata zrobił?! - wybuchnął, kiedy doktor przeprosił towarzystwo i zabrał go na spacer nad jezioro. - Za chińskiego boga nie wsiądę do tego grata!

- Wsiądziesz, wsiądziesz - zapewnił go ojciec. - I nie tylko wsiądziesz, ale będziesz nim jeździł.

- Nie będę! - upierał się.

- Słuchaj, Marek - doktor zatrzymał się. - Czy ty naprawdę jesteś baran? Nie rozumiesz, że ten chłopak, mimo woli, bo mimo woli, ale ocalił nas obojgu? Zadzwoił do mnie wczoraj ten z gajówki...

- Właśnie! - wykrzyknął Marek. - Nic jeszcze o tym nie mówiłeś. Ile zażądali? Sto tysięcy, dwieście? Może milion...?

- Gorzej.

Chłopcu zrobiło się zimno.

- Czy może... - zniżył głos. - Może coś z Instytutem...?

- Zgadłeś. Postawili warunek, że albo podzielę się z nimi pewnymi informacjami, albo...

- zawiesił głos.

- Albo... - Marek wiedział, jaka będzie odpowiedź.

- Albo ty zginiesz - dokończył twardo doktor. Nie śmiał zapytać ojca, na co by się zdecydował.

A kiedy uzmysłowił sobie, co też on musiał przeżyć między tymi dwoma telefonami - rano zadzwonił major z kontrwywiadu z wiadomością, że wiedzą, gdzie jest syn, i że po niego pojedą - spojrzał na ojca z czułością, o jaką nigdy by siebie nie podejrzewał.

- Prawdziwy baran ze mnie - wyszeptał. - Przepraszam. Bardzo cię przepraszam - i nim się doktor spostrzegł pochwycił jego rękę i ucałował ją.

- No, już dobrze, zostaw - Zagajewski, żeby ukryć wzruszenie, nawiązał do syreny. - Więc jak będzie z tymi kolorowym cudem? Wsiądziesz?

- Wsiądę! - zapewnił go żarliwie.

- I pojedziesz? - doktor już się uśmiechał.

- Pojadę - odpowiedział z uśmiechem.

Przez chwilę szli w milczeniu.

- Tato - pierwszy przerwał Marek. - Ale zrobisz coś dla mnie, dobrze? Obiecuj, że zrobisz...

- W ciemno?

- To nic wielkiego. Możesz to zrobić.

- Jeżeli mogę...

- Dasz mi na lakier, dobrze? Przecież to wszystko jedno - mówił szybko, żeby ojciec mu nie przerwał - czy będę jeździł łaciatą, czy jednokolorową. O Waldku i tak będę pamiętał. I w ogóle o tym wszystkim - dodał ciszej. - To co, dasz?

- Dam - roześmiał się doktor. - I na lakier, i na mechanika. Obejrzałem sobie ten Waldkowy pojazd i wydaje mi się, że poza kolorami jest tam także zbyt wiele plastra.

Rozdział IX

No proszę - pomyślał z uśmiechem maskującym wzruszenie - nic się tu nie zmieniło.

Połowa otwartej bramki zwiślała ciągle na tym jednym, zardzewiałym zawiasie.

Odsunął ją ostrożnie, żeby się całkiem nie oderwała i postanowił, że założy tu jutro nowe zawiasy.

W maliniaku, po lewej stronie żwirowej ścieżki, brzęczały pszczoły. Słaby wiatr tylko nieznacznie łagodził spiekotę od kilkunastu dni dławiącą miasto. Zamarzyła mu się plaża nad jeziorem i ocieniona drzewami alejka, po której jeszcze wczoraj przechadzał się z Jolką.

- Jolka... - westchnął i tak bardzo za nią zatęsknił, że najchętniej by zaraz pobiegł do telefonu. I kto wie, czy by tak nie zrobił popełniając ciężki grzech wobec przyjaciela bosmana, gdyby nie spojrział w okno.

Franki były rozsunięte, złocił się półksiężyc na mauretańskim pałacu, a w jego wnętrzu mieniła się jaskrawymi barwami papuga Fela.

Szybko przeszedł ścieżkę, stanął przed drzwiami. Coś przecież się zmieniło. Na drzwiach wisiała tabliczka z pięknie wygrawerowanym napisem: „Błażej Kiernicki - bosman”.

- No i dobrze - Michał z uznaniem kiwnął głową. - Niech ludzie wiedzą, że mieszka tu nie byle neptek, lecz sam, pan bosman Kiernicki.

Nacisnął dzwonek. Gdzieś w głębi zatrzeszczało - widocznie bosman podniósł się z wiklinowego fotela na biegunach. Ciężkie, człapiące kroki zbliżały się w stronę drzwi.

- Do stu garbatych...

- I łysiejących rekinów! - dokończył ze śmiechem Michał i już był w szeroko rozwartych, potężnych ramionach Kiernickiego.

- Pokaż no się, chłopie. Doskonale wyglądasz! Opaliłeś się, a może i trochę urosłeś... - bosman odsunął go nieco od siebie i lustrował od stóp do głowy. - Nie, urosnąć, to chyba nie urosłeś, ale przytyłeś.

- Ba, gdyby tak pana karmiono jak nas, niemal co dzień kurczakami... kurczakami i jajecznicą z kiełbasą.

- Patrzcie, patrzcie, kurczakami! - bosman wziął chłopca pod rękę, poprowadził do pokoju. - Ciekaw jestem, czy Fela cię jeszcze pamięta.

Ledwie przestąpił próg, powitało go gromkie i wyraźnie radosne „Cześć, stary byku”.

- Cześć! - odkrzyknął wesoło.

Nieraz śnił mu się ten dom i jego gospodarz z czerwoną twarzą w obramowaniu siwych bokobrodów. I oto znowu siedzi w tym samym głębokim fotelu z zielonym obiciem, za plecami ma Felę, a przed sobą bosmana, który rozsiadł się wygodnie i nabija teraz tytoniem potężną, porcelanową faję z bambusowym cybuchem.

- No, opowiadaj - Kiernicki wypuścił pod sufit wonny kłęb dymu. - Masz chyba o

czym opowiadać...

- Ba, nawet nie wiem od czego zacząć.

- Najlepiej od początku. Jak wam się zajęchało, a raczej.- jak wam się chodziło. Bo to były przecież wczasy wędrownie, prawda? Tak przynajmniej mówiłeś.

- Miały być wędrownie, ale Marek, jak zwykle, w ostatniej chwili wyskoczył z innym projektem.

- Czekaj - przypomniał sobie bosman. - Najpierw muszę ci pogratulować.

- Oglądał pan tę zgaduj-zgadulę? - ucieszył się Michał.

- I ja, i Fela. Fela oczywiście od razu cię poznała.

- I zawołała „Cześć, stary byku”.

- A żebyś wiedział. Potem to już tylko kręciła łebkiem, że niby taki jesteś mądry. Bo jesteś mądry - stwierdził z uznaniem. - Miło było posłuchać, jak zaginasz tych wszystkich na estradzie. Tamci dukają, zastanawiają się...

- No, nie wszyscy - Michał chciał być sprawiedliwy. - Ta nauczycielka przecież była dobra.

- Jak na kobietę, nawet bardzo - zgodził się bosman. - Ale gdzie jej tam do ciebie. A ten telewizor, to co? Przywiozłeś do Warszawy? Wyobrażam sobie, jak się mama ucieszy.

- Nie przywiozłem - Michał trochę posmutniał. - Pewnie, że by się ucieszyła, ale nam bardziej potrzebne są pieniądze.

- Sprzedałeś?

- Za dziewięć tysięcy.

- Raketnicę przywiozłeś? Nie zostawiłeś gdzieś po drodze?

- Ja miałbym ją zostawić? - obruszył się Michał. - Przecież gdyby nie ona, na golasa wracalibyśmy do domu.

- Do Warszawy? - zdziwił się Kiernicki.

- Do Warszawy to nie. Z Malborka do Sopotu.

- Serio? Opowiadaj! Albo poczekaj jeszcze - wycelował w Michała cybuchem. - A odznaka, też się może przydała?

- Chyba tak. Jakoś zawsze wszystko się dobrze kończyło. I z tym wariatem, i z węgorzami... A ta historia z Markiem... Nie uwierz pan, ale jego normalnie uprowadzono.

- Niemożliwe! Opowiadaj!

- Chciał pan, żeby od początku.

- Ale ty w ogóle nic nie mówisz.

- Bo mi pan ciągle przerywa - stwierdził Michał zgodnie z prawdą.

- Nie szkodzi, mamy czas. Chyba się nigdzie nie spieszysz?

- A czy mi się kiedyś nudziło z panem? - Michał odpowiedział pytaniem. - A do opowiadania to mam naprawdę tyle, że całą noc mógłbym tu przesiedzieć.

- A czy ja cię wyganiam? Chcesz, możesz przenocować. Rozłożę ci polowe łóżko...

- A mama?

- Prawda. Pewnie by się niepokoiła. Ale przecież wie, że jesteś u mnie. No nic.

Najwyżej rozłożysz sobie na raty te wakacyjne przygody. Więc pojechaliście we dwójkę. Ty i Marek.

- I jeszcze Jolka - Michał zmieszał się nieco i poczerwieniał.

Bosman oczywiście to zauważył. Fela pewnie też, bo chcąc mu dodać otuchy wyskrzeczła z zapalem „Cześć, stary byku!”

- Jolka to koleżanka?

- Od Żmichowskiej.

- Pewnie równa babka jak wy to mówicie...

- O, tak! - wykrzyknął i znowu się zmieszał. - Dobra dziewczyna. I niegłupia. Tylko wie pan, jak to baba. Czasem nie wiadomo, co jej do głowy może strzelić. Już zaraz na początku, w pociągu zrobiła z nas balonów...

Opowiedział tę historię z przedziałem zamkniętym na łańcuch.

- No i niech pan sam powie, nie świnia?

- Słuchaj, Michał - bosman spowaźniał - nigdy tak nie mów o kobietach. Nawet żartem.

- Jaka tam z niej... - nie dokończył. Przypomniawszy sobie tamten wieczór na tarasie i oczy Jolki - promienne i czułe, jej włosy pachnące ziołami, i usta, których smaku nie zapomniał i pewnie nigdy nie zapomni.

Bosman obserwował go dyskretnie.

- Chciałbym poznać tę twoją Jolkę - powiedział i Michałowi zrobiło się przyjemnie, że użył właśnie słowa „twoją”. - Przyjdź z nią tu kiedyś do mnie.

W przedpokoju zadzwieczał dzwonek.

- Otworzę - poderwał się Michał. Wrócił po długiej chwili z... Jolką. Oboje byli nieco zażenowani.

- Ja bardzo przepraszam... - tłumaczyła się dziewczyna. - Byłam u jego mamy... powiedziała, że jest u pana.

Kiernicki patrzył na nią z podziwem.

Wysoka, zgrabna, w dżinsach i w czarnym swetrze ozdobionym czerwonymi koralami

stała teraz zmieszana przed łysym olbrzymem, który ómił potężną faję.

- Nie masz za co przeproszać - bosman wskazał jej drugi fotel, - Siadaj, czemu stoisz. I ty też siadaj - powiedział do Michała. - Chyba, że macie jakieś tam swoje bardzo ważne sprawy albo po prostu nie chcecie się nudzić u mnie.

Obydwoje zaprotestowali.

- No więc siadajcie. Michał już mi tu od godziny obiecuje, że opowie, jak to tam było na tych waszych wakacjach - poskarżył się żartobliwie Jolce - i jakoś nie może zacząć. A podobno mieliście niewąskie przygody. I wariat, i węgorze... Nawet wam Marka uprowadzili...

- Z Markiem to była nielicha heca - Jolka już siedziała w fotelu i już była gotowa grać główną rolę. - Poderwał sobie babkę, a ta babka poderwała jego i zapakowała do piwnicy. I Waldek...

- Czekaj, to trzeba od początku - przerwał jej Michał.

- Ja przecież od początku.

- Jak od początku, to musisz powiedzieć, co było z Waldkiem, dlaczego się do tego wmieszał.

- Ty wiesz dlaczego.

- Ale pan Kiernicki nie wie.

- To już lepiej ty opowiadaj - zrezygnowała.

- A może zrobimy tak - fragmentami. Ty opowiesz o jednym, ja o drugim i sklei się całość.

- To może ja o tym, jak wariat zamknął cię w wieży.

- Ciebie zamknął, czy mnie?. - Michał oburzył się. - Ja to sam przeżyłem, a ty wiesz dopiero ode mnie.

- A ja to może nie przeżyłam? Jak sobie przypomnę te kroki na schodach coraz bliżej, coraz głośniejsze. Brr! - otrząsnęła się - jeszcze teraz robi mi się zimno. Myślałam, wie pan, że to właśnie ten pomylenieć, a to był milicjant.

Bosman słuchał ich rozbawiony.

- Wiecie co - podniósł się z bujaka - wy tu sobie uzgodnijcie, co kto ma opowiadać, a ja poszukam w kuchni czegoś do picia. Powinny tam być jeszcze ze dwie puszkki soku.

Wrócił po paru minutach z otwartymi puszkami, wyjął z kredensu wysokie, pękate kieliszki.

- Takie spotkanie trzeba koniecznie oblać - mówił nalewając do nich sok. - Mam rację, Jolka?

- Pewnie, że trzeba.

- To wasze zdrowie, kochani - bosman podniósł kieliszek, nim jednak zdążył zbliżyć go do ust, od okna skrzeknęło coś donośnie i ostrzegawczo: - Nie pij dżinu, bosmanie!

Jolka odwróciła się przestraszona.

- To tylko Fela - roześmiał się Michał.

Fela zaś dorzuciła serdecznie:

- Cześć, stary byku!